WIEŚ MA DOŚĆ
Czy rolnicy porzucą PiS

TRADYCJA TO JA
Zbuntowany ksiądz, bezsilny Kościół

DNI W PIWNICY
Reportaż z wojny w Karabachu

NOWY NOWY JORK
Miłość, wirus, stan umysłu

ZWROTNIK RAKA
Fantastyka jest literaturą

Kraków 25 października 2020 nr 43 (3720) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Obrona zdrowia

Państwo się poddaje
Lekarze walczą
Dbajmy o siebie

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

„Tygodnik Powszechny” – weź, czytaj!

Dla miłośników i uczestników Festiwalu Conrada wyjątkowa promocja

Kup dowolną prenumeratę, a wydanie specjalne „Moc kobiet” otrzymasz* do domu GRATIS!

Feministki i działaczki, polityczki i prawniczki, teolożki i katoliczki, pisarki i aktorki, naukowczynie i bizneswoman, dziennikarki i reporterki – wśród autorek i bohaterek „Mocy kobiet” plejada wspaniałych nazwisk, m.in. Tokarczuk, Szymborska, Janion, Masłowska, Nosowska, Dymna, Bargielska, s. Chmielewska, Dziewit-Meller, Kubisiowska, Dąbrowska i Radzik.
„Moc kobiet” to rozmowy, reportaże i portrety oraz świadectwa kobiet spełnionych i mistrzyń mówiących o kobiecym losie. O wolności, równości i siostrzeństwie. Bez tabu, bez lukru.

Sprawdź na **powszech.net/odzawszerazem**

*oferta ważna do 31.10.2020
lub do wyczerpania nakładu „Mocy kobiet”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

CONRAD FESTIVAL

od zawsze razem

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

KS. ADAM

Boniecki: *Ludzie, którym zależy*

Początkowo miało się spotkać przynajmniej małe grono. W sali krakowskiego Herbewa, przy wysokich standardach bezpieczeństwa, z dwoma metrami odstępu między miejscami, szczególnymi procedurami przygotowania posiłków itp. – reszta uczestników miała się połączyć zdalnie. Ale choć w Krakowie jeszcze nie było czerwonej strefy, to już było widać, co się dzieje. Ostatecznie IX Zjazd Klubów „Tygodnika Powszechnego", odbył się w dniach 9-11 października w stu procentach online. I był to bardzo dobry zjazd. Co nie znaczy, że forma online może zastąpić spotkanie w realnej przestrzeni. Ale ponieważ Kluby miały już za sobą osiem normalnych zjazdów, ten mógł być tak udany.

W ciągu 13 lat istnienia Klubów „TP" w Polsce, a także poza Polską, powstało ich 31: w Berlinie, Białymstoku, Bielsku-Białej, Brukseli, Bydgoszczy, Chojnicach, Gliwicach, Grudziądzu, Katowicach, Kędzierzynie-Koźlu, Koszalinie, Krakowie, Lipsku, London, Lublinie, Łodzi, Myślenicach, Olsztynie, Oslo, Ostrowcu Świętokrzyskim, Paryżu, Poznaniu, Rzeszowie, Słupsku, Szczecinie, Tarnowie, Trójmieście, Warszawie, Wrocławiu, Zamościu i w Zielonej Górze. Każdy ma własną specyfikę. Każdy działa nieco inaczej, lecz poza wspólnym statutem, poza prawnie łączącym kluby i stanowiącym ich formalną bazę Stowarzyszeniem im. Jerzego Turowicza, kluby podejmują też wspólne działania budujące ponadregionalne więzi międzyludzkie. Służą temu właśnie doroczne zjazdy. Co roku odbywają się też rekolekcje dla chętnych ze wszystkich klubów, w których udział bierze koło stu osób. I wreszcie, co roku kilkadziesiąt osób z różnych klubów wspólnie spędza ponad tydzień wakacji. Odbywają się też warsztaty dla liderów, zloty młodych, wspólne cykle debat itp. O aktywnościach w klubach lokalnych informuje wszystkich internetowy newsletter.

Pilnie śledząc ten dziewiąty zjazd odkryłem, że w ciągu 13 lat istnienia Klubów „TP" powstało coś, co śmiało można nazwać środowiskiem. Z inicjatywy czytelników „Tygodnika Powszechnego" oddolnie powstała i uformowała się społeczność ludzi, którzy – jak czytamy w „dokumencie ideowym" – „czerpiąc z duchowego i społecznego dorobku »Tygodnika«" odnaleźli wspólny język i spotkali się na gruncie wspólnych zainteresowań i wartości. W deklaracji ideowej Klubów czytamy też: „W naszym przekonaniu chrześcijaństwo nie jest tylko doktryną, zbiorem moralnych praw i rytuałów, ale przede wszystkim spotkaniem z Bogiem i drugim człowiekiem. Uczestnictwo w życiu Klubu »Tygodnika Powszechnego« wspomaga naszą chrześcijańską tożsamość, w tym miejscu i okolicznościach, w których przyszło nam żyć. Nasza aktywność obejmuje trzy płaszczyzny: kulturalną, społeczną i misyjną w duchu wolności i poszukiwań. Jako wspólnota klubowa dokładamy starań, by nasza obecność w środowisku była oryginalna i otwarta na wszystkich". Kluby starają się uczestniczyć w ważnych wydarzeniach, jak np. ostatnio, występując w obronie ks. prof. Alfreda Wierzbickiego.

Nie jest moim zamiarem opisywanie tu działalności Klubów „Tygodnika Powszechnego". Obszerne informacje łatwo można znaleźć w internecie. Chciałbym tylko, z okazji niedawnego zjazdu, przypomnieć o ich istnieniu i o tym, jakie mają znaczenie. Trafiło do nich wiele osób, które będąc w Kościele, nie potrafiły się odnaleźć w takim sposobie mówienia i myślenia o wierze, z jakim spotykały się najczęściej. Co gorsza, w ich odczuciu Kościół w Polsce przestał być krytycznym sumieniem demokracji. Zadawali sobie pytanie, czy oni sami jeszcze są w tym Kościele. Niespodziewanie ze swoim zaangażowaniem i doświadczeniem wiary poczuli się samotni, jakby na peryferiach ortodoksji.

Teraz, oglądając ich i słuchając podczas tego zjazdu, nie miałem wątpliwości: oto w Polsce, dzięki „Tygodnikowi", powstało i okrzepło nowe, ważne środowisko. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Więź racjonalna
BARTOSZ JÓZEFIAK
„Piątka dla zwierząt" nie musi zdemolować poparcia dla PiS w wiejskim elektoracie. Bo też i nie ma jednej polskiej wsi.

32 Ksiądz Michał na wojnie
STANISŁAW ZASADA
Oto historia o nawróceniu na tradycję. I bezsile instytucji.

64 Zwrotnik Raka
TOMASZ PINDEL
W polskich powieściach sztuka opowiadania zanika, choć powinna być ich sednem. Tylko na gruncie fantastyki uprawia się jeszcze autentyczne fabuły.

42 Dni w piwnicy
PABLO GONZÁLEZ Z GÓRSKIEGO KARABACHU I MAGDALENA CHODOWNIK:
Trwa azersko-ormiańska wojna o Karabach. Miał być rozejm, ale ledwo się zaczął, został zerwany.

71 Smutek jest fotogeniczny
MACIEJ TOPOLSKI
Twórczość i biografia Julii Pirotte jest ofiarą przemilczeń. Otwarta w Warszawie wystawa „Powtórzenia" powinna to zmienić.

78 Kochałam inny Manhattan
MARTA ZDZIEBORSKA Z NOWEGO JORKU:
Na dwa tygodnie przed wyborami większość nowojorczyków ma więcej zmartwień niż tylko perspektywę reelekcji Trumpa. Oto portret miasta: w cieniu pandemii i polityki.

WŁADYSŁAW CZULAK / AGENCJA GAZETA // ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA GAZETA // UMIT BEKTAS / REUTERS / FORUM // DAVID DEE DELGADO / GETTY IMAGES // JULIA PIROTTE / ŻIH // ANNA REZULAK / KFP

KOMUNIKAT DLA PRENUMERATORÓW

Z uwagi na dramatycznie narastającą liczbę zachorowań w kraju, a co za tym idzie, duże prawdopodobieństwo zakażeń wirusem SARS-CoV-2 także wśród pracowników Poczty Polskiej – naszego głównego dystrybutora prenumeraty – zostaliśmy powiadomieni przez Pocztę Polską o możliwości zaistnienia przejściowych opóźnień w dostarczaniu do Państwa skrzynek pocztowych prenumerowanej prasy, w tym „Tygodnika Powszechnego". W przypadku ewentualnych opóźnień upraszamy Państwa o wyrozumiałość w tej trudnej i niekomfortowej dla nas wszystkich sytuacji. Serdecznie prosimy o cierpliwość, dołożymy wszelkich starań, abyście Państwo otrzymywali nasze pismo bezzwłocznie.
WYDAWCA

6 Kiedy państwo nie odbiera
MICHAŁ OKOŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Więź racjonalna
BARTOSZ JÓZEFIAK

26 Górnik w oślej ławce
RAFAŁ WOŚ:
Spór o polski węgiel

28 Wyższa szkoła alienacji
KAROL WILCZYŃSKI:
Cudzoziemscy uczniowie na nasz system edukacji nie mają co liczyć

WIARA

32 Ksiądz Michał na wojnie
STANISŁAW ZASADA

38 Koncept pustej przestrzeni
PIOTR ADAMEK SVD:
Jak wypada bilans tajnego porozumienia Watykanu z władzami Chin

40 Pektorał i gwiazdy
ARTUR SPORNIAK: *Metody nowej ewangelizacji rozmijają się ze światem nauki – uważa ks. Michał Heller i proponuje środki zaradcze*

ŚWIAT

42 Dni w piwnicy
PABLO GONZÁLEZ, MAGDALENA CHODOWNIK

46 Jedna szansa
PATRYCJA BUKALSKA:
Czechy znalazły się w niechlubnej czołówce epidemicznej w Europie

47 Wstrząsy przy urnach
TADEUSZ IWAŃSKI:
Wybory lokalne mogą przynieść Ukrainie rzeczywistą samorządność

TEMAT TYGODNIKA

JACEK SZYDŁOWSKI

12 Obrona zdrowia
MACIEJ MÜLLER
Zbliżamy się do limitu wydajności systemu ochrony zdrowia albo już go przekroczyliśmy. Państwo nie gwarantuje ani testu, ani karetki, ani miejsca w szpitalu. A gdy pandemia się skończy, problemy zostaną.

18 Długi cień covidu
BARTOSZ KABAŁA
Po kilku miesiącach pandemii wiemy, że osoby, które pokonały infekcję SARS-CoV-2, mogą dalej doświadczać niepokojących objawów. Ludzie młodzi czy bezobjawowi też nie są całkiem bezpieczni.

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **76** JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: PRZED SZPITALEM IM. KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO, LUBLIN
FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

49 Sufit był za wysoki
DALIA MIKULSKA
o syryjskich zbrodniarzach wojennych ukrywających się w Niemczech

52 Najdłuższa szychta świata
MAGDALENA BARTCZAK Z SANTIAGO DE CHILE: *Uratowani spod ziemi 10 lat temu byli bohaterami. Szybko zderzyli się z rzeczywistością*

HISTORIA

54 Rewolucja na Granicie
PIOTR ANDRUSIECZKO Z KIJOWA:
Jesienią 1990 r. w sowieckim jeszcze mieście studenci zorganizowali strajk głodowy

NAUKA

58 Diabelski los
ŁUKASZ SAKOWSKI:
Gdy komórki buntują się przeciw regułom panującym w organizmie

62 Klątwa zwycięzców
RAFAŁ WOŚ
o ekonomicznej Nagrodzie Nobla

KULTURA

64 Zwrotnik Raka
TOMASZ PINDEL

68 Życie na wyspach
MONIKA OCHĘDOWSKA:
W staromodnym stylu Pawła Huellego kryje się wabiąca zmysłową kunsztownością pułapka

71 Smutek jest fotogeniczny
MACIEJ TOPOLSKI

74 Zaklęte w drewnie
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Pinokio" Matteo Garronego

76 Cień nienazywalnego
LEKTOR *o „Opowieściach niesamowitych z języka angielskiego"*

ZMYSŁY

78 Kochałam inny Manhattan
MARTA ZDZIEBORSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Korzystając z kłopotów Zachodu, afrykańscy przywódcy przestają przejmować się tym, by długość panowania wyznaczała dozwolona liczba kadencji – o przedwyborczych ruchach w Gwinei pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Sztuka powszechnie nieznana [Podkast Powszechny]
Co łączy Adama i Ewę z lwami, a Rolanda ze słynną Tkaniną z Bayeux i z... „Grą o tron"? – **MAGDALENA ŁANUSZKA** zaprasza do wysłuchania opowieści o dziełach, które zawiodą nas od Dalmacji po Normandię **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KIEDY PAŃSTWO NIE ODBIERA

Pisząc o epidemii, nie mamy złudzeń w kwestii przygotowania władz. Ale pamiętamy, że od samego wytykania ich błędów nie staniemy się zdrowsi.

MICHAŁ OKOŃSKI

Na płycie stadionu PGE Narodowy ruszyła budowa szpitala polowego dla chorych na COVID-19. Warszawa, 19 października 2020 r.

Sygnał zajętego bądź automatyczny komunikat o braku możliwości połączenia – niejeden z nas próbujący w ostatnich tygodniach skontaktować się z własnym państwem w sprawie dotyczącej stanu swojego zdrowia natrafiał na taką barierę. Bywały i inne, np. wiadomość po wielogodzinnym oczekiwaniu w kolejce do testu, że tego dnia odejdzie się z kwitkiem. Albo teleporada, z której wynikało, że sama utrata węchu nie jest podstawą do skierowania na test, a związku z tym (rzecz dotyczy nauczyciela, kilka dni później już jednego z wielu chorujących w szkole) nie sposób uzyskać opinii sanepidu w sprawie ewentualnego przejścia placówki na nauczanie zdalne. Dodajmy do tego poczucie fikcyjności nadzoru nad kwarantanną, w której teoretycznie znajduje się ponad 300 tys. Polaków. Albo dylemat, jak uszanować przepisy o ograniczeniach w transporcie publicznym, a równocześnie zdążyć do pracy czy szkoły.

Przykłady kryzysu państwa można mnożyć i celowo dobieram nie te najbardziej dramatyczne, by nie narazić się na zarzut epatowania cierpieniem – choć nie da się łatwo zapomnieć nagrań rozmów dyspozytorek pogotowia z zespołami ratunkowymi, które próbowały znaleźć dla pacjentów miejsce w szpitalu; podobnie jak nie da się przejść do porządku nad statystyką ofiar śmiertelnych. To nie jest przejaw jakiejś rzekomo typowo

polskiej skłonności do narzekania – to opis doświadczenia będącego już udziałem milionów rodaków.

Łatwo w tej sytuacji o irytację i wściekłość. Łatwo o oskarżenia, z tymi najpoważniejszymi na czele: że w ostatnich miesiącach rząd, zamiast przygotowywać się na nadejście drugiej fali epidemii, ogłaszał, że właściwie problem zniknął – a później wydatkował mnóstwo energii na wewnętrzny konflikt i zastępczą wojnę ideologiczną. Łatwo o podważanie sensowności wielu wprowadzanych w ostatnich dniach ograniczeń, skoro nie towarzyszy im przejście wszystkich szkół na nauczanie zdalne. Łatwo o frustrację związaną z tym, że przepisy powstają na kolanie i są publikowane za pięć dwunasta. Trudniej o dostrzeżenie dylematu, przed którym stoi władza nie tylko w Polsce: jak walczyć o ograniczenie liczby zachorowań bez wprowadzenia kolejnego lockdownu, czyli bez faktycznego zdławienia gospodarki. Jeszcze trudniej o spojrzenie w lustro i przyznanie, ile razy samemu zlekceważyło się zasady bezpieczeństwa epidemicznego w poczuciu, że przecież żyć trzeba. Najtrudniej o poradzenie sobie z lękiem i obawą przed utratą kontroli nad własnym losem bez próby okiełznania ich kierowaną na zewnątrz agresją – nie tylko zresztą pod adresem rządzących.

Nie mamy złudzeń w kwestii przygotowania władz, ale pamiętamy, że od samego wytykania ich błędów nie staniemy się zdrowsi. Zdajemy sobie sprawę, że cudownych recept nie będzie i że wielu z nas albo już się zaraziło, albo wkrótce się zarazi koronawirusem. W tym sensie jesteśmy minimalistami: jak pisał w poprzednim numerze „Tygodnika" Maciej Müller, cięższy przebieg choroby mogą powodować np. stres i brak snu. Wiemy, że podobnie jak o dystans, dezynfekcję i noszenie maseczek, powinniśmy dbać o dietę i ruch. Wiemy, że ograniczenie kontaktów społecznych, choć przy tym poziomie napięcia tak trudne, jest niezbędnym wsparciem dla robiących wszystko, co w ich mocy, pracowników ochrony zdrowia. Wiemy, że dbając o siebie, możemy pomóc także im.

Naszym strategicznym celem musi być rozłożenie zakażeń na możliwie najdłuższy okres. A wzajemna życzliwość w tym czasie wcale nie brzmi jak postulat minimalistów. ©℗

MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA GAZETA

Szkoły opustoszeją i bez zgody ministra

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Rząd swoje, rzeczywistość swoje: polska szkoła ma dziś dwa obiegi koronawirusowej kwarantanny. Zgodnie z tą oficjalną zdalnie lub hybrydowo pracują od 19 października szkoły ponadpodstawowe i wyższe. Zanim ta decyzja weszła w życie, już ponad 5 proc. placówek zostało częściowo lub całkiem zamkniętych przez sanepidy. Nawet te robiące wrażenie – bo oznaczające ponad tysiącprocentowe wzrosty względem pierwszej połowy września – statystyki nie mówią jednak wszystkiego o skali epidemicznych spustoszeń. Oficjalne dane nie obejmują wszak coraz większej liczby dzieci i nauczycieli na kwarantannach: tych oficjalnych i podjętych dobrowolnie. Nawet jeśli rząd nie podejmie wkrótce coraz bardziej oczywistej decyzji o przejściu w tryb *online* wszystkich placówek – czego domaga się m.in. ZNP – polskie szkoły opustoszeją wkrótce i bez zgody ministra.

Tymczasem po ośmiu miesiącach od wiosennego lockdownu resort edukacji (przemianowany teraz na Ministerstwo Edukacji i Nauki; ozdrowiały z koronawirusa Przemysław Czarnek dostał w poniedziałek ministerialną nominację) nieśmiało otwiera oczy na rzeczywistość. Wcześniej doktryna była jasna: choćby świat się palił i walił, realizujemy pełen program nauczania. W papierach wszak wszystko musi się zgadzać – choćby każdy już dostrzegał, że realizacja podstawy programowej w nowych realiach to fikcja.

Teraz premier zapowiada odchudzenie programu. Nie wiemy co prawda, kiedy to się stanie (prace trwają), ani wedle jakiego klucza odbędzie się to przycinanie (nie brak obaw, że wedle ideologicznego). Na razie jednak odnotujmy pierwszą trzeźwą, choć mocno spóźnioną decyzję edukacyjnych władz. ©℗

Wolna deweloperka, czyli beton w kraju z kartonu

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Domy miały powstać m.in. na terenie rezerwatu Łosiowe Błota pod Warszawą

JAK GRZYBY PO DESZCZU – a raczej jak pleśń – wyrastają nowe budowy rozpoczęte na podstawie niesławnego art. 12 ustawy covidowej. Osiedla domków jednorodzinnych powstają jako „izolatoria dla chorych", wznoszone w strefie ochronnej parków krajobrazowych lub na obszarach wyznaczonych jako zielone w planach zagospodarowania. Adaptacja strychu zabytkowej kamienicy nagle staje się działaniem w walce z epidemią. Chodzi oczywiście o to, by wyjść spod reżimu prawa budowlanego, planów zagospodarowania i pieczy konserwatorów zabytków. Zabawić się na granicy szyderstwa z państwa i z jawnym lekceważeniem dla współobywateli.

Artykuł 12. miał ułatwić rozbudowę szpitali, lądowisk i innych obiektów użyteczności publicznej niezbędnych w trakcie walki z epidemią. Na razie korzystają z niego głównie deweloperzy. Wycinają drzewa, kopią pod fundamenty na skraju jazów odprowadzających wodę z terenów zalewowych, rżną piłami zabytkową tkankę budynków. Wydziały nadzoru budowlanego zamarły w oczekiwaniu, że góra, która wysmażyła taki bubel prawny, podpowie też, co robić dalej. Ale to potrwa – i na to właśnie grają deweloperzy liczący, że koniec końców instytucje państwa winne powstania bałaganu zalegalizują im także szkody, które oni zwą inwestycjami.

Obserwujemy więc państwo w fazie schyłkowej, zdolne jeszcze do ścigania przechodnia za brak maseczki, ale sparaliżowane w konfrontacji z cwaniakiem dysponującym dobrymi prawnikami i linią kredytową w banku. Rząd, który lubi grać twardego szeryfa, powinien czym prędzej wziąć się za to towarzystwo. I udowodnić, że artykuł 12. jest naprawdę wypadkiem przy pracy.

©℗ MAREK RABIJ

Giertych: nieudana obława

TO NIE BYŁO RUTYNOWE DZIAŁANIE – agenci CBA zatrzymali Romana Giertycha, gdy wychodził z sądu po rozprawie. Skuli go w kajdanki i zawieźli do domu. Podczas przeszukania adwokat zasłabł i trafił do szpitala.

Prokuratura stawia mu zarzuty dotyczące współpracy z biznesmenem Ryszardem Krauzem. Chodzi m.in. o wspólne przywłaszczenie ponad 92 mln zł z kontrolowanej przez Krauzego spółki Polnord. Grozi za to nawet 10 lat więzienia. W 2007 r. Krauze był pod lupą CBA przy okazji przecieku w tzw. aferze gruntowej. Miał się przyczynić do ostrzeżenia ówczesnego wicepremiera w rządach PiS Andrzeja Leppera przed zatrzymaniem. Służby deptały po piętach także drugiemu ówczesnemu wicepremierowi – Romanowi Giertychowi. Premierowi Kaczyńskiemu i ministrowi Ziobrze nie udało się doprowadzić do ich aresztowania. Teraz też nie, przynajmniej na razie. Sąd zwolnił Krauzego i wszystkich współpracowników Giertycha. Samego Giertycha aresztować prokuratorzy nawet nie próbowali.

Abstrahując od uczciwości Giertycha oraz partactwa prokuratury, warto zauważyć kilka innych wymiarów sprawy. Po pierwsze, jako adwokat w najważniejszych śledztwach w kraju — afera taśmowa, katastrofa smoleńska, piramida GetBack, korupcja w Komisji Nadzoru Finansowego, próba budowy przez spółkę związaną z PiS wieżowca – Giertych ma unikatową wiedzę. Dlatego ekspresowe przeszukania w jego domu wzbudziły opór nie tylko środowiska prawniczego, ale także opozycji.

Po drugie, sprawa Giertycha, a także wcześniejsze operacje służb wobec Sławomira Nowaka, pokazują jedno: czołowi przedstawiciele opozycji są pod lupą, a materiały na ich temat używane w dogodnym dla władzy momencie.

I po trzecie: Krauzego oraz resztę zatrzymanych uwolniła sędzia Renata Żurowska, którą opanowana przez PiS Krajowa Rada Sądownictwa zaopiniowała niedawno do awansu. A zatem nie każdy sędzia zatwierdzony przez KRS jest bezwolnym realizatorem pragnień władzy.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

KRAJ W SKRÓCIE

START
Z opóźnieniem i podczas transmisji online zainaugurowano działalność ruchu społecznego, którego twarzą jest niedawny kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski. Wśród licznych planów Wspólnej Polski pojawiła się zapowiedź powołania związku zawodowego Nowa Solidarność, który miałby reprezentować m.in. osoby samozatrudnione.

STOP
Dzieląca wciąż partię rządzącą tzw. „Piątka dla zwierząt” przeszła przez Senat. Jej przepisy mają wejść w życie później, niż zakładano, producenci, których działalność zostanie ograniczona, dostaną odszkodowania, a ubój rytualny – źródło wielkich dochodów z eksportu – zostanie utrzymany w przypadku drobiu.

MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA GAZETA

SMRÓD
Skala ustępstw rządzących nie zadowoliła związkowców z AgroUnii, którzy rozrzucili obornik przed domami niektórych polityków PiS, publikując na portalach społecznościowych nagrania z akcji wraz z komentarzem „Każdy zdrajca polskiej wsi będzie naznaczony”.

SPADEK
PiS notuje też spadki w sondażach poparcia: wedle badań IBRiS dla Wirtualnej Polski na partię Jarosława Kaczyńskiego głosowałoby dziś 36 proc. respondentów, o 6 pkt. proc. mniej niż dwa tygodnie wcześniej.

MAREK BISKUP, PACJENT PO PRZESZCZEPIE:

Jestem, żyję, dziękuję

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Zacznijmy od wiosny 2018 r.

ARCHIWUM PRYWATNE

MAREK BISKUP: Wcześniej byłem aktywny. Przed laty założyłem z kolegami firmę badającą rynek. Poza pracą były maratony, treningi, wspinaczki. Pewnego dnia zauważyłem, że nie jestem w stanie przejść od truchtu do biegu. Diagnoza: idiopatyczne włóknienie płuc. Zdecydowałem się na dodatkowe badanie: kriobiopsję, czyli pobranie wycinka. Podczas zabiegu doszło do zalania płuc krwią. Były tak zniszczone, że lekarze rozłożyli ręce.

Jedyna szansa – przeszczep.
Ryzykowny, bo byłem pod ECMO, czyli ciągłym pozaustrojowym natlenianiem krwi. Ryzyko wzięli na siebie specjaliści z Oddziału Transplantacji Płuc Śląskiego Centrum Chorób Serca. Udało się, ratunek przyszedł w ostatniej chwili.

Co Pan wie o dawcy?
Byłem w stanie wegetatywnym, więc lekarze nie mogli obliczyć objętości klatki piersiowej. Ryzykowali: facetowi o wzroście 178 cm wszczepili organ osoby, która miała 170 cm. Powiedzieli później: „Płuca weszły na styk”.

Ze swoją firmą – Kantar Polska – zrobił Pan projekt badawczy, a teraz, z okazji Światowego Dnia Donacji i Transplantacji (26 października), kampanię społeczną.
Badania pokazały, że to nie opór rodzin, tylko system stanowi większą barierę dla przeszczepów. Co nie znaczy, że oporu nie ma. Namówiłem Tomasza Kota, aktora kojarzonego z roli prof. Religi, do przeczytania komunikatu, który będzie nadany przez największe rozgłośnie 31 X i 1 XI. Ludzie wtedy podróżują, są refleksyjni. Może przy okazji dojdzie do rozmów i deklaracji, na jakich nam zależy. Bo choć w Polsce do przeszczepu wystarczy brak sprzeciwu wyrażonego za życia, to zwykle, jeżeli rodzina zgłosi wyraźne weto wynikające często z nieznajomości woli bliskiego, nawet przy braku zarejestrowanego sprzeciwu zmarłego nie pobiera się narządów.

Jaki jest Pana komunikat dla rodziny dawcy?
W Polsce oficjalnie nie komunikuje się ich z osobą, która dostała narząd. Zrobiłem, co mogłem. Wysłałem list do tzw. koordynatora donacyjnego z komunikatem: „Jestem, żyję, dziękuję”. ©℗

ONDREJ DEML / CTK / PAP

Protest w Pradze przeciw restrykcjom sanitarnym zamienił się w starcia demonstrantów z policją, 18 października 2020 r.

Jesienna fala idzie przez Europę

EPIDEMIA PRZYSPIESZA: w minionych dniach we wszystkich krajach kontynentu notowano szybki wzrost liczby infekcji, osób hospitalizowanych i leczonych na OIOM oraz zmarłych. W niektórych państwach wskaźniki podwajały się w ciągu kilku dni. Inaczej niż wiosną, gdy w Europie wprowadzono *lockdown*, próby spowolnienia epidemii koncentrują się wokół dylematu: jak to osiągnąć, nie zamrażając gospodarki i życia społecznego. Widać też wolę, by nie zamykać granic.

NOWE RESTRYKCJE – zwykle polegające na różnych formach ograniczania kontaktów społecznych – spotykają się jednak coraz częściej z brakiem akceptacji, z sabotowaniem, a ich kontrolowanie z agresją. W Pradze 2 tys. demonstrantów (m.in. kibiców hokeja) starło się z policją; w Czechach dynamika epidemii jest największa w Europie, w piątek liczba nowych infekcji przekroczyła 11 tys. (o Czechach piszemy w dziale Świat). W Hamburgu i Berlinie policja musiała siłą rozwiązywać masowe nocne imprezy. W Paryżu i innych metropoliach Francji od weekendu obowiązuje godzina policyjna (w godz. 21-6), poza domem wolno przebywać tylko np. w drodze do pracy (w sobotę w kraju notowano 32 tys. nowych infekcji). Wcześniej wskazywano, że grupą szczególnie roznoszącą wirusa są ludzie młodzi, którzy nagminnie ignorują zasady sanitarne; wskaźnik infekcji w grupie 20-40 lat był kilka razy wyższy niż przeciętna.

KOLEJNI POLITYCY apelują do obywateli o odpowiedzialność. Czy uda się uniknąć drugiego lockdownu, „to zależy od nas wszystkich" – mówił kanclerz Austrii Sebastian Kurz. O „rozwagę, ostrożność i solidarność" prosił premier Bawarii Markus Söder (jego land przyjmie chorych z Czech i Holandii). Kanclerz Angela Merkel argumentowała, że nie wystarcza już dystans i noszenie masek, trzeba też ograniczyć do minimum kontakty międzyludzkie: „Proszę Was: zrezygnujcie z każdej podróży, która nie jest absolutnie konieczna, z każdej uroczystości czy imprezy, która nie jest absolutnie konieczna. Proszę, pozostańcie, gdy tylko to możliwe, w domu, w swoim miejscu zamieszkania. (...) Każdy dzień się liczy".

PYTANIE, jak długo utrzyma się polityczna determinacja wykluczająca nowy *lockdown*. Doradca brytyjskiego rządu ds. kryzysowych Jeremy Farrar uważa, że aby wyhamować epidemię, należy natychmiast wprowadzić trzytygodniowy *lockdown*, który pozwoli „przerwać spiralę transmisji wirusa", da wytchnienie służbie zdrowia i trochę czasu na przygotowania, aby „na nowo wystartować przed zimą".

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Słowacja i Grecja: wyroki na radykałów

CZTERY LATA I CZTERY MIESIĄCE ma spędzić w więzieniu Marian Kotleba, czołowy polityk słowackiej skrajnej prawicy, założyciel radykalnej Partii Ludowej Nasza Słowacja. Sąd w podbratysławskim Pezinoku skazał go za propagowanie symboliki nazistowskiej i działalność mającą na celu ograniczenie praw i wolności obywatelskich.

Dwa lata temu jako prezydent kraju bańskobystrzyckiego (odpowiednik województwa) rozdał kilku rodzinom z niepełnosprawnymi dziećmi czeki o wartości 1488 euro. Sąd zgodził się z prokuratorem, że było to świadome nawiązanie (czemu Kotleba zresztą nie zaprzeczał) do liczb 14 i 88, w środowisku neofaszystowskim maskujących kult Hitlera. Kotleba zamierza odwołać się do Sądu Najwyższego. Wyrok jest kolejnym z serii działań – po skazaniu mordercy dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnirovej – mających rozliczyć ciemny czas w słowackiej polityce. Swoją popularność Kotleba zbudował w dobie kryzysu migracyjnego w 2015 r. Posłowie Partii Ludowej Nasza Słowacja chcą wyprowadzenia kraju z Unii Europejskiej i NATO.

W ostatnich dniach także sąd w Atenach wymierzył kary politykom skrajnej prawicy. Nikolaos Michaloliakos (lider radykalnego Złotego Świtu) i siedmiu członków partii usłyszeli wyrok 13 lat więzienia za kierowanie grupą przestępczą. ©℗ MARCIN ŻYŁA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARTA ZDZIEBORSKA opowie o Nowym Jorku w cieniu pandemii i polityki (s.78) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w środę 21 października, o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PROŚBA
„Zwracam się do wszystkich wiernych z prośbą o przyjęcie ze zrozumieniem i cierpliwością nałożonych ograniczeń” – napisał przewodniczący Episkopatu abp Stanisław Gądecki w komunikacie dotyczącym nowych obostrzeń sanitarnych podczas zgromadzeń religijnych. Od 17 X w kościołach przebywać może 1 osoba na 4 m kw. w strefie żółtej i 1 osoba na 7 m kw. w strefie czerwonej.

POROZUMIENIE
„22 października o godzinie 12 w Rzymie, odpowiadającej godzinie 6 w Pekinie, Stolica Apostolska i rząd chiński jednocześnie poinformują o przedłużeniu tymczasowego i tajnego porozumienia o dwa lata” – poinformował włoski dziennik „Corriere della Sera”. Porozumienie dotyczące mianowania biskupów w Chinach zostało zawarte w 2018 r.

PROTEST
Solidaryzując się z szykanowanym przez rektora KUL ks. Alfredem Wierzbickim aktorka Maja Komorowska zrezygnowała z uczestnictwa w organizowanym w Lublinie VI Kongresie Kultury Chrześcijańskiej. Wcześniej swój wykład inauguracyjny wycofał prof. Rocco Buttiglione.

LICZBA TYGODNIA

438

– tylu młodych ludzi zostało w tym roku przyjętych w Polsce do seminariów diecezjalnych i zakonnych. Jest ich o 60 mniej niż rok temu i aż o 640 mniej niż w roku 2007. Od śmierci Jana Pawła II liczba kandydatów do seminariów systematycznie spada.

PAWEŁ LISIAK

KLASZTOR W TORPEDOWNI. Oto śmiały projekt klasztoru autorstwa Pawła Lisiaka z Politechniki Wrocławskiej, uznany przez Stowarzyszenie Architektów Polskich za najlepszy dyplom architektoniczny roku. Nazywa się „Laudato si” i jest inspirowany proekologiczną encykliką Franciszka. Budynek miałby powstać w miejscu poniemieckiej torpedowni na Zatoce Gdańskiej. Zajęcie budynku miałoby nawiązywać do zakonnej tradycji, wedle której mnisi zmieniali opuszczone miejsce, dając mu nowe życie. Umiejscowienie budynku na wodzie, 300 metrów od brzegu, miałoby ułatwić kontemplację. Budulec pozyskiwaliby sami franciszkanie, wyławiając plastik z morza lub zbierając go na plaży. Wybór termoplastiku, z którego miałyby powstać pustaki, nie jest przypadkowy – to materiał odporny na wilgoć i sól. Zwycięzca konkursu na najlepszy dyplom, oprócz 10 tys. złotych, otrzymał zaproszenie na praktykę w biurze architektonicznym Chaspera Schmidlina, odpowiedzialnym za muzeum sztuki współczesnej Grażyny Kulczyk w szwajcarskim Susch. ©℗ PS

Zdarzyło się to nawet w Watykanie

EDWARD AUGUSTYN

Zaczął się pierwszy proces sądowy o wykorzystanie seksualne osoby nieletniej na terytorium Watykanu. Oskarżonym jest 28-letni ks. Gabriele Martinelli, który w latach 2007-12, sam będąc jeszcze nastolatkiem, molestował swego o rok młodszego kolegę z papieskiego niższego seminarium. Obaj chłopcy pobierali tam naukę na poziomie licealnym, przygotowując się do wstąpienia na drogę kapłańską i pełniąc służbę ministrancką podczas ceremonii z udziałem papieża. Świadkiem molestowania miał być inny alumn, pochodzący z Polski Kamil Jarzembowski, który zgłosił sprawę przełożonemu. Rektor odrzucał jednak wszelkie oskarżenia wobec Martinellego, swojego faworyta, którego sam ustanowił opiekunem młodszych chłopców.

Jarzembowski po odejściu z seminarium poinformował też biskupa diecezji Como, do której należał Martinelli, wtedy już kleryk, niedługo potem ksiądz. Pierwsze śledztwo ruszyło w 2018 r., ale rektor zapewniał, że nic nie wiedział o zarzutach, uznając je za oszczercze i godzące w dobre imię uczciwego chłopca, przykładnego kleryka i gorliwego kapłana. Dziś 71-letni były rektor zasiada wraz ze swym pupilem na ławie oskarżonych.

Proces toczy się na podstawie ustanowionych w ub. roku przepisów odnośnie do przestępstw seksualnych popełnionych na terenie Watykanu na osobie niepełnoletniej. Obrońcy będą niewątpliwie wnosić o inną kwalifikację czynu, przekonując sąd, że skoro obie strony były nieletnie, to można mówić jedynie o nieprzyzwoitym zachowaniu, a fakt, że jedna z nich osiągnęła pełnoletność jako pierwsza, niewiele zmienia. Gdyby sąd uznał ten argument, ks. Martinelli uniknąłby wyroku państwowego (pewnie czekałby go proces kanoniczny). Watykańskie prawo opiera się bowiem na włoskim kodeksie karnym, który – choć pamięta jeszcze czasy Mussoliniego – nie przewiduje sankcji za czyny homoseksualne. W takim wypadku jedynym winnym może okazać się rektor, oskarżany o ukrywanie gorszących zachowań alumnów, krzywoprzysięstwo i fałszowanie dokumentów. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

WIEŚCI Z PRAGI
Była szefowa Muzeum Śląskiego Alicja Knast została dyrektorką Galerii Narodowej w Pradze. Placówka, którą pokieruje, to jedna z najważniejszych instytucji kultury w Czechach i druga po Luwrze najstarsza galeria sztuki w Europie. W tym samym tygodniu dowiedzieliśmy się, że „Szarlatan" Agnieszki Holland został czeskim kandydatem do Oscara w kategorii Najlepszy Pełnometrażowy Film Międzynarodowy. Naszą recenzję przeczytają Państwo na stronie powszech.net/szarlatan.

NAGRODY Z WROCŁAWIA
Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus odebrał słoweński pisarz Goran Vojnović, autor książki „Moja Jugosławia", a laureatami poetyckiego wyróżnienia Silesius zostali Konrad Góra (za tom „Kalendarz majów") i Jakub Pszoniak (debiutujący tomikiem „Chyba na pewno"). Wyróżnienie za całokształt twórczości otrzymał Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki.

PRZEMOC W GARDZIENICACH
„W pewnej sytuacji dyrektor zastosował wobec mnie rękoczyny, a potem zamknął na kilka dni w swoim pokoju, żeby nikt się o tym nie dowiedział i nie zobaczył moich siniaków" – tak pracę z Włodzimierzem Staniewskim wspomina Mariana Sadovska, jedna z głównych artystek słynnego Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice" pod Lublinem. O nadużyciach dyrektora opowiedziała w maju 2020 r. na portalu povaha.org.ua. Jej wyznanie opublikowane po polsku w „Dwutygodniku" zmobilizowało inne aktorki oraz współpracowniczki teatru do opowiedzenia o własnych traumatycznych doświadczeniach w teatrze.

Pan Samochodzik i forum poszukiwaczy

MONIKA OCHĘDOWSKA

Było ich trzynaścioro: Czarny Franek z Ochoty, Roman, Bronka, siedmioro łepków złapanych podczas jednego z włamań oraz Lisia Skórka z kolegami. Gdzie biwakowała cała banda? Albo: czy słynny kolekcjoner sztuki Jerzy Dunin-Borkowski z Krośniewic to pierwowzór Dunina z Wyspy Złoczyńców?

Na te i wiele innych pytań odpowiada wydany latem, pełen zdjęć i map przewodnik zachęcający do podróży śladami pewnego nieznośnego mądrali, który swój przydomek zawdzięcza pokracznej amfibii napędzanej silnikiem Ferrari. Zebrane w książce odkrycia dotyczące postaci i miejsc kultowego cyklu powieści Zbigniewa Nienackiego to wynik badań i śledztw prowadzonych latami na Forum Miłośników Pana Samochodzika. Jego twórcy i użytkownicy nie poprzestają jednak na rozwikływaniu tajemnic Tomasza NN. Kręcą filmy dokumentalne, organizują konkursy, przyznają odznaki (to po ich liczbie odróżnimy starych forumowiczów od nowych). Po raz siódmy wybrali także Samochodzikową Książkę Roku – zwyciężyły „Tajemnice jeziora Szeląg" Sebastiana Mierzyńskiego. Za najlepszą książkę „w samochodzikowym duchu" dla młodszych czytelników uznano powieść Doroty Suwalskiej „Wtajemniczeni. Nie wszystko złoto, co złote" – historię grupy nastolatków, która pewnego spędzanego na Warmii lata odnajduje tajemniczą mapę, nieoczekiwanie zmieniającą nudne wakacje w niezłą awanturkę. Przewodniczką młodych poszukiwaczy skarbów jest podróżująca najzwyklejszym vanem dziennikarka i historyczka Anna. ©℗

KADOORIE FARM AND BOTANIC GARDEN / AFP / EAST NEWS

Mosty linowe pomagają przetrwać gibonom

RAMMASUN – tak nazywał się supertajfun, który sześć lat temu uderzył w Chiny. Na wyspie Hajnan wiatr, deszcz i spływające błoto zniszczyły fragment rezerwatu przyrody Bawangling; w porastającym go lesie utworzyły się luki przekraczające 30 metrów. Rezerwat ten to siedlisko jedynej populacji gibbońca hainańskiego, najbardziej zagrożonego wyginięciem gatunku naczelnych (pozostało zaledwie 30 osobników). Te zwinne małpy patrolują swoje rozległe terytoria, poruszając się niemal wyłącznie w koronach drzew. A fragmentacja lasu przerwała uczęszczane przez nie szlaki.

Chińscy ekolodzy podjęli próbę odnowienia małpiej drogi – wykorzystując mosty linowe. W „Scientific Reports" poinformowali właśnie, że rozwiązanie zdało egzamin. Bardziej umięśnione, większe osobniki są w stanie skakać pomiędzy odległymi gałęziami, ale dla reszty most jest jedynym sposobem przedostania się z jednej części lasu do innej.

Badacze podkreślają, że sztuczne mosty są rozwiązaniem tymczasowym, a priorytetem w ochronie zagrożonych gatunków jest odbudowa lasów. Ich degradacja zwiększa ryzyko ataku drapieżników, podatność na choroby i pasożyty oraz ma negatywny wpływ na żerowanie i możliwości rozrodu. Chociaż pandemia pokrzyżowała plany wymiany lin, to zasadzone pod mostem drzewa wkrótce stworzą alternatywną drogę. © KATARZYNA DZIADOWICZ

CPR

TEMAT TYGODNIKA

Chorzy na COVID-19 w Klinice Anestezjologii i Intensywnej Terapii Szpitala Klinicznego nr 1 w Lublinie, 9 października 2020 r.

JACEK SZYDŁOWSKI

OBRONA ZDROWIA

Zbliżamy się do limitu wydajności systemu ochrony zdrowia albo już go przekroczyliśmy. Państwo nie gwarantuje ani testu, ani karetki, ani miejsca w szpitalu. A gdy pandemia się skończy, problemy zostaną.

MACIEJ MÜLLER

ANESTEZJOLOG Z MAŁOPOLSKIEGO SZPITALA: Ludzie, nie ulegajcie wypadkom. Nie będziemy mieli gdzie was położyć.

Kierowca karetki do dyspozytora: Izba przyjęć zamknięta. Mamy pacjenta zostawić pod drzwiami?

Lepiej teraz nie chorować. Na nic. System ochrony zdrowia jest przeciążony na każdym poziomie.

Lepiej teraz nie zakazić się SARS-CoV-2. Dodzwonienie się do lekarza rodzinnego graniczy z cudem – a to tutaj zaczyna się droga pacjenta potencjalnie zakażonego koronawirusem. Lekarz może skierować na test, ale w kolejkach do punktów drive-thru czeka się wiele godzin, czasem odchodzi się z kwitkiem. A nie wiadomo, ile przyjdzie czekać na wynik.

Lepiej, jeśli już się zakazimy, żeby nasz stan się nie pogorszył. Rezerwy ratownictwa medycznego już nie istnieją. Teoretycznie po pacjentów z ciężkimi objawami powinna przyjechać karetka, w praktyce często jest to fizycznie niemożliwe. A nawet jeśli pacjent trafi do karetki, prawdopodobnie spędzi w niej kilka ↦

godzin w kolejce pod szpitalem. Czasem karetką objedzie pół województwa, a może i całe, zanim znajdzie się szpital gotowy otworzyć przed nim drzwi. Albo inaczej – taki, który je otworzy, jako że akurat ma wolne łóżko. Bo np. w krakowskim Szpitalu Uniwersyteckim, największej placówce zajmującej się chorymi z COVID-19 w Małopolsce, wolnych miejsc nie ma od dawna. Dostać się tam można tylko, jeśli inny pacjent wyzdrowieje albo umrze.

Zaskoczenie

Fala zakażeń narasta i będzie narastać. Pierwsze skutki zaostrzenia reżimu sanitarnego zaobserwujemy najwcześniej za dwa tygodnie – jeśli w ogóle. System, choć na papierze zaopatrzony w spore amortyzatory, w praktyce już sięgnął limitu. Albo nawet go przekroczył. Państwo nie gwarantuje ani testu, ani karetki, ani miejsca w szpitalu.

– Kiedy patrzę na sytuację w województwach mazowieckim czy małopolskim, nie ukrywam, że mam poważne obawy, jak się potoczą losy epidemii – mówi prof. Radosław Owczuk, konsultant krajowy w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii. – Ona może przybrać niekontrolowany przebieg. Możemy wkrótce stanąć przed problemem niedostatków personelu medycznego i sprzętu. Mamy duży współczynnik zakaźności, codziennie przybywa duża liczba zainfekowanych, z których część będzie wymagała hospitalizacji, a część niestety umrze. Minister zdrowia niedawno powiedział, że nie spodziewał się tak dużej liczby zakażeń. Z tego wynika, że system był przygotowany na ich znacznie mniejsze natężenie. Trzeba jednak dodać, że większość epidemiologów twierdziła, iż przebieg pandemii trudny jest do przewidzenia w dłuższej perspektywie, a podobny przyrost zakażeń obserwujemy w innych krajach Europy.

Wzrosty zakażeń obserwowane od ostatniego tygodnia września to efekt otwarcia szkół. Dzieci i młodzież przechodzą zakażenie bezobjawowo, co sprawia, że szkoła przez długi czas może być niewidzialnym ogniskiem infekcyjnym: staje się ono widoczne dopiero, kiedy zachoruje nauczyciel lub dzieci przyniosą wirusa do domu.

Wszystko to sprawia, że rodzice dzieci szkolnych, bez względu na to, czy stosują środki ochrony w pracy, czy podczas zakupów, są nieustannie zagrożeni infekcją.

W każdej specjalizacji liczba lekarzy faktycznie pracujących z pacjentami jest niższa niż wynika ze statystyk Naczelnej Izby Lekarskiej. Według wyliczeń OECD w naszym kraju na tysiąc mieszkańców przypada średnio 2,4 lekarza, co daje nam ostatnie miejsce wśród krajów Unii Europejskiej (średni wskaźnik dla krajów OECD wynosi 3,5).

Polska ochrona zdrowia należy do najsłabszych w Europie pod względem liczebności personelu czy finansowania. Ale rządzący zdawali się żyć w przeświadczeniu, że „jakoś wytrzyma".

Szkół nie przygotowano na funkcjonowanie w warunkach pandemicznych: nie rozgęszczono placówek, nie wprowadzono lekcji „na zakładkę" ani nauczania hybrydowego. Ale nie tylko system edukacji nie był gotowy na jesień: samopas pozostawiono także system ochrony zdrowia.

Zaniedbania państwa wyliczył w mediach społecznościowych Jakub Kosikowski, rezydent pracujący w jednym z oddziałów covidowych. Nie sprawdzono przygotowania 85 oddziałów zakaźnych pod względem sprzętu i personelu. Nie wskazano z góry oddziałów, które staną się covidowymi w razie zapełnienia zakaźnych. Nie ustalono, skąd i w jaki sposób czerpać rezerwy lekarzy, stażystów czy studentów do pracy z chorymi. Nie podzielono SOR-ów na „czyste" i „brudne", by zagwarantować opiekę ofiarom wypadków. Nie zapewniono wymiany informacji, która ułatwiłaby opiekę nad pacjentami covidowymi personelowi oddziałów, które dotychczas się tym nie zajmowały. Nie przeszkolono lekarzy specjalizacji niezwiązanych z intensywną terapią z podstaw wentylacji mechanicznej. Nie stworzono sensownej strategii testowania. Nie zbudowano sprawnego systemu wysyłania na kwarantannę i izolację. Nie wzmocniono kadrowo ani finansowo sanepidu (efekt: wywiad epidemiologiczny, który w założeniu ma odizolować od populacji wszystkie osoby potencjalnie zakażone, jest fikcją). Nie zabezpieczono DPS-ów, stacji dializ ani innych „punktów szczególnie wrażliwych". Nie zapewniono łańcuchów dostaw środków ochrony dla personelu medycznego i służb państwowych.

Listę można ciągnąć. Rzecznik Praw Obywatelskich od wielu miesięcy zwracał premierowi uwagę, że brakuje przepisów, na których można oprzeć powszechny obowiązek noszenia masek. Ustawa o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi pozwala nałożyć go jedynie na osoby chore oraz podejrzane o zachorowanie. W efekcie sądy podważają – bo zgodnie z literą prawa nie mają innego wyjścia – mandaty wystawiane ludziom ignorującym obostrzenia. W obliczu surowego reżimu sanitarnego wprowadzonego od 17 paź-

dziernika sprawa na nowo stanęła na ostrzu noża. I rząd dopiero teraz, w drugiej połowie października, zapowiada uporządkowanie prawnego chaosu maseczkowego.

To już nie medycyna ratunkowa, to medycyna katastrof – mówią lekarze, komentując kolejki karetek pod izbami przyjęć. Polski system ochrony zdrowia należy do najsłabszych w Europie pod względem liczebności personelu czy finansowania – mimo to rządzący zdawali się żyć w przeświadczeniu, że system „jakoś wytrzyma" jesienny atak koronawirusa.

Teraz władze wykonują kolejne rozpaczliwe manewry. Prezes NFZ wezwał do ograniczenia do minimum zabiegów planowych: priorytetem jest zapewnienie łóżek dla pacjentów covidowych. Szpitale powiatowe dostają od wojewodów nakazy utworzenia danej liczby łóżek covidowych. Dyrektorzy zachodzą w głowę: co mamy zrobić z leżącymi tu pacjentami, wyprosić do domu? Jak mamy teraz, w pośpiechu, wydzielać w szpitalu strefy „brudne"? „To trochę tak, jakby ktoś przyszedł do naszego domu i powiedział, że mamy jeden pokój oddać sąsiadowi" – obrazowo komentował decyzje władz immunolog dr Paweł Grzesiowski.

Do tego kadry szpitalne każdego dnia się wykruszają: co i rusz na kwarantannę muszą się udać całe grupy lekarzy i pielęgniarek, trzeba zawieszać działalność oddziałów. Ostatnio listy od wojewodów z nakazem podjęcia pracy w szpitalach zaczęli dostawać lekarze z przychodni POZ.

Nie strzelamy na ślepo

– To absurd. Jeżeli szukamy rezerw, to nie ściągajmy ludzi z pierwszej linii frontu. Dlaczego nie wysyłać tam okulistów, laryngologów czy lekarzy innych specjalności pracujących na co dzień w szpitalach? – pyta Maciej Biardzki, lekarz rodzinny pracujący w dużej przychodni we Wrocławiu. – Zwłaszcza że ponownie wprowadzono ograniczenia wykonywania hospitalizacji planowych. Wydaje mi się jednak, że to po prostu administracyjna głupota: wzywa się zapewne takich, którzy spełniają jedynie kryteria formalne. A że przed skierowaniem jest chroniony np. ten, kto ma dzieci do 18. roku życia, to nakazy dotyczą ludzi starszych, którzy są przecież bardziej narażeni.

W ostatnich trzech dniach 70 pacjentów doktora Biardzkiego otrzymało wynik pozytywny testu na koronawirusa. Eksperci Porozumienia Zielonórskiego, skupiającego właścicieli przychodni POZ, ogłosili, że lekarze rodzinni mają 60 proc. trafności. To coraz większym udziałem skierowań na wymazy ze strony POZ trzeba tłumaczyć gwałtowny wzrost pozytywnych wyników testów w zeszłym tygodniu. Biardzki: – To kwestia tego, że my nie strzelamy na ślepo, ale zlecamy badania osobom z objawami choroby.

Jednak przeciążone punkty drive-thru wprowadzają limity przyjęć: np. krakowski Szpital Uniwersytecki ogłosił, że pobierze tylko 160 wymazów dziennie od pacjentów ze skierowaniem z POZ. Biardzki: – Uważam za wręcz skandaliczne, że szpitale, przy których znajduje się większość punktów drive-thru, wprowadzają limity. To pacjenci przysłani przez POZ, objawowi, powinni mieć priorytet! Tym bardziej że terminy *drive-thru* we Wrocławiu sięgają już trzech dni. I co, mój pacjent ma przez ten czas czekać na test, potencjalnie zakażając innych?

Biardzki uważa, że zasoby POZ uruchomiono zbyt późno. – Powinniśmy zostać włączeni w walkę z epidemią najpóźniej w maju. To na poziomie POZ można wcześnie wychwytywać zakażonych i zahamować w ten sposób transmisję wirusa. Tymczasem nie mieliśmy wcześniej żadnych narzędzi, nie mogliśmy kierować na testy czy nakładać izolacji. W tej chwili czołgi wjechały już za linię frontu, jest trochę za późno na obronę. To frustrujące, że zmarnowano tyle miesięcy – podkreśla.

I dodaje: – Jeszcze niedawno za pomocą rozporządzenia próbowano narzucić normę, że pacjent podejrzany o COVID-19, jeżeli nie spełnia czterech określonych kryteriów, musi być przyjmowany osobiście przez lekarza POZ. To była absurdalna decyzja, wystawiająca lekarzy na wysokie ryzyko zakażenia. A przecież w POZ jest bardzo wysoka średnia wieku zatrudnionych. POZ zostałby zdziesiątkowany w ciągu kilku tygodni i stracona zostałaby cała pierwsza linia obrony. Olbrzymie zagrożenie zaistniałoby także dla wszystkich innych pacjentów – przez zmniejszenie liczby aktywnych lekarzy, ale także przez zagrożenie zakażeniem w przychodni. Tylko nieliczne duże przychodnie, takie jak ta, w której obecnie pracuję, posiadają możliwości lokalowe wyodrębnienia strefy infekcyjnej z odrębnym wejściem.

Pod respiratorem

Co się dzieje z chorymi na COVID-19, którym uda się dostać do szpitala? Większości wystarczy opieka internistyczna: lekarze będą zwalczać objawy choroby, zbijać gorączkę, nawadniać, monitorować wszystkie parametry życiowe. Najciężej chorzy trafią na oddziały intensywnej terapii (OIT), gdzie personel anestezjologiczny zrobi wszystko, by utrzymać ich przy życiu.

– Leżą u nas chorzy w stanie bardzo ciężkim – mówi prof. Owczuk. – Dominującym objawem klinicznym COVID-19 jest ostra niewydolność oddechowa. Chory oddycha bardzo szybko, odczuwa duszność, czasami towarzyszą temu zaburzenia świadomości, bo ilość tlenu we krwi jest zbyt mała, a dwutlenku węgla za duża, co się odbija na stanie ośrodkowego układu nerwowego. Dochodzi do uszkodzenia pęcherzyków płucnych, „zalewa" je płyn, który blokuje wymianę gazową. Mogą nastąpić powikłania zakrzepowo-zatorowe. Naczynia krwionośne są wyścielone śródbłonkiem, uniemożliwiającym w warunkach zdrowia krzepnięcie krwi. W przebiegu COVID-19 śródbłonek naczyń, również w obrębie płuc, ulega ciężkiemu uszkodzeniu, co uruchamia kaskadę krzepnięcia, której często nie da się powstrzymać lekami przeciwzakrzepowymi. Takie powikłania zwiększają ryzyko zgonu. Do tego dochodzi niewydolność krążenia i nerek.

W najgorszej sytuacji są z reguły pacjenci z chorobami współistniejącymi. – COVID-19 sprawia, że następuje ich zaostrzenie. Jeżeli ktoś choruje na cukrzycę insulinozależną, będzie miał cukrzycę rozchwianą, jeśli ktoś chorował na POChP, nasilą się objawy ze strony układu oddechowego – tłumaczy krajowy konsultant anestezjologii i intensywnej terapii.

Mimo że najbardziej narażone na cięższy przebieg choroby są osoby w wieku podeszłym i z chorobami współistniejącymi, to coraz częściej w statystykach zgonów można znaleźć osoby 30-, 40-letnie. Prof. Owczuk: – Trudno powiedzieć, dlaczego zgony zdarzają się też wśród osób młodych, bez istotnych obciążeń chorobowych. Prawdopodobnie chodzi o predyspozycję genetyczną. Niewątpliwie ludzie młodzi nie powinni się czuć do końca bezpiecznie. Znane są też przypadki, m.in. z Francji, ciężkiego przebiegu COVID-19 u dzieci. Jeżeli epidemia się rozszaleje, wszystkie te zjawiska staną się, ↦

↦ na zasadzie proporcji, bardziej widoczne także w Polsce.

W jaki sposób ratuje się chorych na intensywnej terapii? – W umiarkowanej niewydolności oddechowej stosujemy tlenoterapię; potoczne określenie, że chory leży pod tlenem, oznacza, że ma założoną na twarz maskę, przez którą podaje się tlen w różnych przepływach, można też zastosować specjalne cewniki donosowe, tzw. wąsy tlenowe. Istnieją również bardziej zaawansowane formy, np. wysokoprzepływowa tlenoterapia donosowa – tłumaczy prof. Owczuk. – Służy do tego specjalne urządzenie: końcówki przewodu doprowadzającego duże ilości tlenu wprowadza się do nosa pacjenta, co korzystnie wpływa na układ oddechowy, zwiększa dostarczanie tlenu do płuc. Istnieje też wentylacja nieinwazyjna: pacjentowi nie wprowadza się rurki intubacyjnej do tchawicy, tylko zakłada szczelną maskę albo hełm i podaje się tlen pod zwiększonym ciśnieniem.

W sytuacji skrajnej, kiedy pacjent nie jest w stanie samodzielnie oddychać, stosuje się respirator. Prof. Owczuk: – Konieczne jest do tego tzw. protezowanie dróg oddechowych. Rurkę intubacyjną wprowadza się do tchawicy i podłącza się respirator, urządzenie podające mieszaninę tlenu z powietrzem, a czasem stuprocentowy tlen. W tym leczeniu chodzi również o to, by utrzymywać pęcherzyki płucne w stanie rozprężenia, zapobiegając ich zapadaniu się. Oczywiście stosowanie respiratora nie jest obojętne dla organizmu. Istotny jest bilans korzyści do potencjalnego ryzyka. Niemniej w odpowiednich rękach ta metoda leczenia jest bezpieczna, co nie znaczy, że zawsze skuteczna.

Posiłki

Anestezjologia i intensywna terapia to jedna z najtrudniejszych specjalizacji lekarskich. W skali kraju anestezjologów jest ok. 7 tys., z tego ponad tysiąc przekroczyło 65 lat. Problemem poważniejszym nawet niż ograniczona liczba respiratorów są szczupłe rezerwy personelu. Dlatego minister zdrowia dopuścił do pracy na oddziałach lekarzy będących w trakcie piątego i szóstego roku specjalizacji, pod warunkiem odbycia co najmniej sześciu miesięcy szkolenia na OIT. Dotyczy to ok. 500–600 osób. Nie wszystkim podoba się takie rozwiązanie. Zarząd Związku Zawodowego Anestezjologów opublikował stanowisko, według którego zmiany „zmniejszają bezpieczeństwo zdrowotne pacjentów (...), gdyż obniżają dotychczasowe wymagania w zakresie kwalifikacji lekarzy". Związkowcy wyrazili nadzieję, że po epidemii wszystko wróci do normy i przepis zostanie cofnięty.

Ministrowi doradzał w tej sprawie konsultant krajowy. – Wzrastające obłożenie oddziałów intensywnej terapii i braki kadrowe sprawiły, że dyrektorzy szpitali zaczęli rozsyłać pisma wewnętrzne, prosząc lekarzy innych specjalności, by zaczęli się szkolić w podstawowej obsłudze respiratora – mówi prof. Owczuk. – Tak się działo wiosną w Lombardii: mechaniczną wentylację prowadzili wszyscy dostępni lekarze, bez względu na specjalizację. Nie chciałbym, żeby mnie wentylował gastroenterolog po dwutygodniowym przeszkoleniu. Respirator jest urządzeniem trudnym w obsłudze, samo dobieranie parametrów wentylacji wymaga wprawy i doświadczenia. Skoro trzeba się liczyć z brakiem specjalistów, uważam, że lepiej sięgnąć po rezydentów, którzy mają za sobą przynajmniej cztery lata szkolenia, w tym pół roku stażu na OIT. Oni znają zasady monitorowania inwazyjnego i nieinwazyjnego, używają respiratora na sali operacyjnej, więc z punktu widzenia bezpieczeństwa są najlepszą grupą mogącą wspomóc specjalistów.

Efekt uboczny

Ponowne ograniczenie zabiegów planowych to urzeczywistniony właśnie czarny scenariusz dla zdrowia publicznego i jeden z najpoważniejszych skutków ubocznych pandemii SARS-CoV-2. Rozpaczliwe przekształcanie kolejnych zwykłych oddziałów na covidowe i tak nie zaspokoi potrzeb walki z koronawirusem. A tworzenie łóżek covidowych sprawia, że szpitale muszą ze względu na procedury bezpieczeństwa ograniczać liczbę tych zwykłych, by szpital nie stał się ogniskiem zakażeń. Dyrektor Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie wyjaśniał w wywiadzie dla portalu lifeincracow.pl, że „utworzenie 308 miejsc dla zakażonych oznaczało wyłączenie ponad 500 innych miejsc dla cierpiących na inne choroby".

Pacjenci „niecovidowi" znowu znaleźli się poza marginesem zainteresowania. Ich problemy trafiają do opinii publicznej tylko przy tak spektakularnych wydarzeniach, jak wstrzymanie działalno-

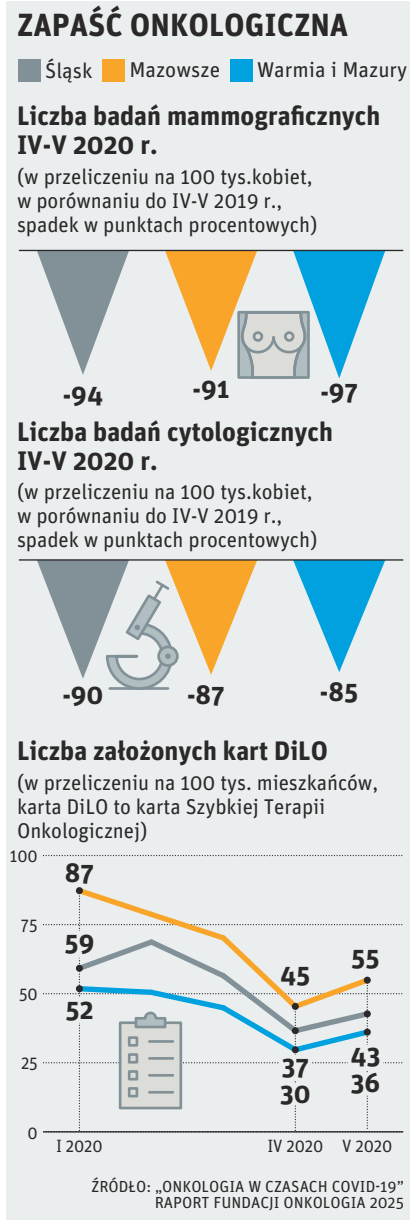

Pandemia postawiła w trudnej sytuacji chorych przewlekle. Są najbardziej zagrożeni ciężkim przebiegiem COVID-19 i rutynowe wizyty w poradni wiążą się dla nich z zagrożeniem życia.

ści bloku operacyjnego Narodowego Instytutu Onkologii na Ursynowie: doszło do kontaktu personelu z osobą zakażoną, konieczna była kwarantanna.

Rządzący w ostatnich miesiącach konsekwentnie ignorowali ryzyko przeciążenia systemu: próbowali skierować społeczną niechęć na lekarzy rodzinnych, podkreślając, że od wiosny tylko niewielka ich część przyjmuje pacjentów, a większość okopała się w gabinetach i całkowicie przeszła na telemedycynę.

– To jest fakt czysto medialny – mówi lekarz rodzinny Maciej Biardzki. – Telemedycyna jest jednym z najnowocześniejszych sposobów uprawiania naszego zawodu, oczywiście jeżeli jest umiejętnie stosowana. Zawsze można zebrać wywiad przez telefon, zlecić potrzebne badania i zaprosić pacjenta z wynikami do przychodni. To może wręcz skrócić proces diagnostyki i być bardziej przyjazne pacjentowi. Oczywiście można tę ideę wykrzywić i przyjmować pacjentów wyłącznie przez telefon. Niestety jest taki margines; próbuje się jednak upowszechniać informacje, że jest to powszechne.

Nawet gdy przyjąć to tłumaczenie za dobrą monetę, to sam POZ nie załatwi wszystkich zdrowotnych potrzeb społeczeństwa: z założenia na tym poziomie diagnozuje się i leczy lżejsze przypadłości, a z poważniejszymi odsyła wyżej, do ambulatoriów specjalistycznych lub szpitali. Pandemia postawiła w trudnej sytuacji chorych przewlekle: cukrzyków, osoby po zawałach serca czy udarach, pacjentów onkologicznych itd. Choroby przewlekłe można „ustawić" na lekach i pod opieką specjalisty żyć wiele lat. Problem w tym, że ta grupa chorych, jako najbardziej zagrożona ciężkim przebiegiem COVID-19, musi ograniczać wychodzenie w domu. Rutynowe wizyty w poradni wiążą się z zagrożeniem życia.

Fundacja Onkologia 2025 w specjalnym raporcie wskazała na dramatyczny spadek wykonywanych badań diagnostycznych (zob. infografika). A im później wykryje się raka, tym trudniej go wyleczyć. Raport cytuje analizę University College London, według której spadek skierowań na diagnostykę i opóźnienia w rozpoczęciu terapii spowoduje w ciągu kolejnego roku niemal 18 tys. więcej zgonów w samej Anglii. Z kolei amerykański National Cancer Institute prognozuje, że na raka piersi i jelita grubego z powodu ograniczonego dostępu do leczenia w czasie pandemii w ciągu dekady umrze w USA dodatkowe 10 tys. osób.

Polskie ośrodki onkologiczne poczyniły ogromne wysiłki, by funkcjonować bez przerw nawet w okresie lockdownu (zob. rozmowę z prof. Jackiem Jassemem z „TP" 15/2020: powszech.net/jassem). Towarzystwa naukowe w wielu apelach podkreślały konieczność kontynuacji leczenia i utrzymania dostępu do diagnostyki. „Mimo to już w kwietniu i w maju 2020 r. zaczęły pojawiać się głosy potwierdzające spadek liczby świadczeń onkologicznych" – wskazuje Fundacja Onkologia 2025.

W Polsce zapaść diagnostyki widać w spadku liczby wydawanych kart DiLO, czyli przepustki do tzw. Szybkiej Terapii Onkologicznej, uruchamianej przy podejrzeniu choroby nowotworowej. Dotychczas przeważającą większość tych kart wydawali lekarze POZ. – To prawda, że wydanych kart jest mniej, ale przecież w przeważającej liczbie przypadków to nie lekarz POZ rozpoznaje nowotwór – zastrzega doktor Maciej Biardzki. – Najczęściej bywało tak, że pacjenta podejrzanego o chorobę nowotworową odsyłał do nas specjalista, abyśmy to my wystawili kartę. Znaczna liczba kart, które wystawiałem, wynikała także z poleceń, które wydawały pacjentom ośrodki onkologiczne, oczekujące od pacjentów wystawienia im kart DiLO przez macierzysty POZ, w którym pacjent był wcześniej, np. dwa, trzy lata temu, a leczył się np. w firmie realizującej abonamenty medyczne czy ubezpieczenia dodatkowe. Myślę, że gdyby przeanalizowano historie chorób pacjentów, którym wystawiano karty DiLO i przesłanki do ich wystawienia przed pandemią i w jej trakcie, wnioski byłyby zaskakujące.

Depresyjna przyszłość

Poważny problem ma nie tylko chory onkologicznie czy cukrzyk, ale i matka noworodka, która otrzymuje wezwanie na szczepienie obowiązkowe. Pojechać i zaryzykować zakażenie siebie lub dziecka czy nie pojechać i narazić dziecko na różyczkę? Lekarze zwracają uwagę, że mierzymy się też z problemem chorych, u których COVID-19 jest... chorobą współistniejącą. Na jaki oddział zawieźć zakażoną kobietę z patologią ciąży? A gdzie zakażonego, który wpadł pod samochód?

– Problemem polskiej ochrony zdrowia zawsze była kiepska dostępność, pandemia spotęgowała to zjawisko – mówi Łukasz Andrzejewski, socjolog i publicysta specjalizujący się w tematach społecznych związanych z ochroną zdrowia. – Onkologia to przykład spektakularny, ale jest wiele innych zjawisk, z którymi się zderzymy za rok czy dwa. Np. prawie nie istnieje w tym momencie opieka dentystyczna, nie tylko NFZ-owska, ale i prywatna. Przyjmuje się jednego pacjenta na godzinę, bo tyle zajmuje odkażenie gabinetu.

Wiele gabinetów specjalistycznych się zamknęło, dochody przestały pokrywać koszty wynajmu pomieszczeń. Ochrona zdrowia niejako się schowała. Inną tego przyczyną jest kwestia wysokiej średniej wieku lekarzy: wielu z nich po prostu przeszło na emeryturę. – Znajomy 70-letni chirurg miał zawsze dwuletnią kolejkę pacjentów – mówi Andrzejewski. – Ale teraz, w sytuacji zagrożenia koronawirusem, wycofał się z działalności.

Andrzejewski obserwuje wzrost nastrojów lękowych. Zna internistę, który mimo że kilka razy w tygodniu przechodzi test (a może właśnie dlatego?), żyje w chronicznym lęku przez zakażeniem. Zna księgową, która co chwilę wącha nasyconą perfumami chusteczkę, by sprawdzić, czy nie straciła powonienia. – Do psychiatry, nawet prywatnie, czeka się we Wrocławiu cztery tygodnie – mówi Andrzejewski. – Przewiduję kilkudziesięcioprocentowy wzrost liczby pacjentów cierpiących na zaburzenia afektywne: nerwice, stany lekowe, depresję i uzależnienia. W perspektywie postpandemicznej na ochronę zdrowia spadnie m.in. problem długotrwałego leczenia uzależnień. To sytuacja podobna do tej z lat 90., kiedy nagle odkryto całą populację uzależnioną od twardych narkotyków. Nasza przyszłość to Polska zaniedbana od stomatologii po psychiatrię.

©℗ MACIEJ MÜLLER

RDC POLSKIE RADIO

ŁUKASZ SAKOWSKI
opowie Grzegorzowi Chlaście o chorobach nowotworowych (tekst na s. 58) w środę 21 października o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Długi cień covidu

BARTOSZ KABAŁA

Po kilku miesiącach pandemii wiemy, że osoby, które pokonały infekcję SARS-CoV-2, mogą dalej doświadczać niepokojących objawów. Ludzie młodzi czy bezobjawowi też nie są całkiem bezpieczni.

SARS-CoV-2 przede wszystkim atakuje płuca, a więc u zakażonych mogą pojawić się kaszel i duszność. Wcześniej, jak gdyby dopiero pukając do drzwi naszego układu oddechowego, wirus pozbawia powonienia i smaku. Infekcja wywołuje też gorączkę, ogólne osłabienie i bóle mięśni.

Dla części osób choroba kończy się tragicznie. Ale nawet ozdrowieńcy mogą odczuwać jej długotrwałe skutki. W lipcu lekarze z rzymskiej Polikliniki Gemelli poinformowali, że u ponad 80 proc. wcześniej hospitalizowanych pacjentów po dwóch miesiącach od zachorowania przynajmniej jeden objaw wciąż się utrzymywał. Co ważne, u połowy występowały duszność i zmęczenie. Podobne wyniki przedstawia m.in. amerykańska agencja CDC (choć te dane zbierane były po zaledwie dwóch-trzech tygodniach). Według danych badaczy z Uniwersytetu Nowojorskiego duszność zgłasza aż 70 proc. pacjentów po 40 dniach od zakończenia pobytu w szpitalu.

Skąd te problemy u ozdrowieńców? Wirus atakuje drogi oddechowe, powodując objawy zapalenia płuc. Czasami jednak patogen tak mocno stymuluje komórki układu odpornościowego, że wytwarzają one ogromne ilości substancji prozapalnych. Pojawia się tzw. burza cytokinowa, a to może w konsekwencji uszkadzać płuca. Ogólnoustrojowa reakcja zapalna, wywołana w dobrej wierze przez nasz układ odpornościowy, może prowadzić do zespołu ostrej niewydolności oddechowej (ARDS). Zmiany widoczne są w badaniach obrazowych w postaci tzw. mlecznej szyby, czyli zagęszczenia w miąższu płuc. Część z nich utrzymuje się po wyleczeniu. Według jednego z chińskich badań zmiany w płucach można wykryć u aż siedmiu na dziesięciu chorych po trzech miesiącach od wyjścia ze szpitala.

Optymistyczne wydają się wyniki badań ze Szpitala Uniwersyteckiego w Innsbrucku, w którym sprawdzono również dynamikę zmian. Z tygodnia na tydzień widoczne w tomografii komputerowej nieprawidłowości występowały u coraz mniejszej liczby pacjentów. Trzeba jednak zauważyć, że wśród 150 uwzględnionych w tej pracy osób tylko 16 leżało na OIOM-ie, a więc długotrwałe następstwa COVID-19 nie dotyczą tylko ciężko chorych. Podobne wnioski można wysnuć z danych z Holandii, gdzie 91 proc. pacjentów z utrzymującymi się objawami nawet nie było w szpitalu.

NIE TYLKO PŁUCA Nasuwa się zatem pytanie, jakie zmiany powoduje wirus u pacjentów bezobjawowych? Czy u osoby, która nie zdaje sobie sprawy z zakażenia, mogą wystąpić powikłania? Jak groźny jest koronawirus w dłuższej perspektywie? Te kwestie wciąż są niejasne, a mogą dotyczyć przecież ogromnej części osób zakażonych.

Według wyliczeń Erica Topola ze Scripps Research Translational Institute nawet 45 proc. przypadków może przebiegać bez jakiegokolwiek objawu. A to oznacza, że w rzeczywistości osób zakażonych może być znacznie więcej, niż podają statystyki. To dobrze i źle jednocześnie. Pozytywnie wpływa to na śmiertelność i odsetek ciężkich przypadków. Uwzględniając rzeczywistą liczbę zarażonych, wskaźniki te znacznie spadną. Z drugiej strony bezobjawowi mają takie same ilości wirusa w górnych drogach oddechowych, co objawowi, i tak samo jak oni mogą zarażać. Nie ma też pewności, czy brak objawów gwarantuje, że wirus nie spowoduje zmian w organizmie, które dadzą o sobie znać później.

W styczniu na pokładzie wycieczkowca Diamond Princess znalazł się 80-letni mężczyzna, który po pięciu dniach podróży opuścił statek, pozostawiając na nim koronawirusa. Kiedy okazało się, że wkrótce po podróży wylądował w szpitalu w Hongkongu, cały statek objęto izolacją. Tym samym populacja wycieczkowca stała się swego rodzaju

modelem epidemiologicznym. Z ponad 3,7 tys. osób na pokładzie wirusem zakaziło się 700. Ponad 300 nie miało żadnych objawów, ale u połowy z przeskanowanych tomografem komputerowym wykazano zmiany w płucach.

Płuca to niejedyny narząd, jaki może ucierpieć w wyniku zakażenia. Niepokoją doniesienia o sercowych powikłaniach COVID-19. Zespół doktor Valentiny Puntmann ze Szpitala Uniwersyteckiego we Frankfurcie przeprowadził badanie serca rezonansem magnetycznym u stu pacjentów, którzy niedawno przeszli infekcję SARS-CoV-2. Aż w 60 przypadkach zaobserwowano zmiany typowe dla zapalenia mięśnia sercowego, niezależnie od ciężkości zakażenia i chorób współwystępujących. Większość z pacjentów miała łagodne lub umiarkowane objawy. Jeden z autorów tej pracy w rozmowie z pismem „Scientific American" stwierdził nawet, że w jego prywatnej opinii COVID-19 zwiększy występowanie niewydolności serca w ciągu najbliższych dekad.

Zapalenie mięśnia sercowego to choroba, w której poza samym procesem zapalnym pojawia się także martwica części komórek budujących ten narząd. Przyczyną najczęściej są wirusy, rzadziej bakterie, ale zapalenie może także być nieinfekcyjne, związane z chorobami autoimmunologicznymi. Ostre i piorunujące zapalenia najczęściej przemijają, ale postać przewlekła tli się, powodując postępującą niewydolność serca.

JACEK SZYDŁOWSKI

Medycy z „czerwonej strefy" oddziału ratunkowego z pacjentem zakażonym koronawirusem. Szpital Kliniczny nr 4, Lublin, 14 października 2020 r.

W klasycznym zapaleniu mięśnia sercowego wirus może atakować komórki bezpośrednio lub poprzez przeciwciała, które poza patogenem atakują również komórki serca. To wszystko powoduje naciek zapalny i niszczenie tkanki. Nie jest do końca jasne, jak rozwija się zapalenie serca w przebiegu infekcji SARS-CoV-2, choć już ukazały się wyniki pośmiertnych badań, w których naukowcy znaleźli wirusa w tkance serca.

SZYKUJMY SIĘ, ZIMA NADCHODZI O problemie stało się głośno, gdy w sierpniu bejsbolista drużyny Red Sox Boston ogłosił, że w związku z powikłaniami sercowymi po COVID-19 nie zagra do końca sezonu. W badaniu rezonansem magnetycznym okazało się, że cierpi na zapalenie mięśnia sercowego. Wkrótce część lig w USA odwołało rozgrywki. Wszystko w obawie przed konsekwencjami zdrowotnymi przejścia infekcji koronawirusem przez młode i zdrowe osoby.

Doniesienia lekarzy potwierdzają, że problem istnieje. Jedno z badań przeprowadzono na niewielkiej grupie sportowców z Uniwersytetu Stanowego Ohio. Wśród 26 przebadanych osób radiologiczne zmiany typowe dla zapalenia mięśnia sercowego wystąpiły u czterech sportowców, z czego dwoje nie miało żadnych objawów infekcji.

W komentarzu opublikowanym na początku października w „Lancet" naukowcy z kilku państw świata zwracają uwagę na brak pewnej wiedzy dotyczącej długotrwałych następstw infekcji SARS-CoV-2. Wątpliwości co do przebiegu choroby w dłuższej perspektywie jest wiele. Są przesłanki, że ostry COVID-19 może wywołać cukrzycę i śródmiąższową chorobę płuc. Wiadomo, że wirus może atakować wątrobę (podniesione markery wątrobowe miało od 40 do nawet 80 proc. hospitalizowanych), nerki (jeden na pięciu pacjentów miał nieprawidłowe wskaźniki pracy nerek) czy mózg. Od 40 do 60 proc. pacjentów hospitalizowanych może mieć objawy neurologiczne lub psychiatryczne związane nie tylko z aktywnością samego wirusa, ale również z reakcją zapalną. Wiele doniesień mówiło o udarach niedokrwiennych, zapaleniach mózgu i innych uszkodzeniach. Jak piszą autorzy komentarza: „Wciąż jesteśmy na początku pandemii i nie wiemy, co odpowiadać swoim pacjentom, gdy pytają o rokowanie i przebieg ich dolegliwości".

Utrzymujące się objawy i późne powikłania na pewno nie grożą wszystkim zakażonym, ale dostępna wiedza nie pozwala z całą pewnością powiedzieć, na ile jesteśmy bezpieczni. Badania dotyczące tych zagadnień rozpoczęły się niedawno. W jednym z nich w Wielkiej Brytanii weźmie udział 10 tys. pacjentów. Przez ponad rok będą obserwowani pod kątem kilku różnych wskaźników, od biomarkerów z krwi po badania obrazowe. Taka analiza przyniesie sporo odpowiedzi. Ale do tego czasu musi wystarczyć nam wiedza, którą mamy, i zdrowy rozsądek.

Dlatego wielu naukowców – wśród nich autorzy „Memorandum Johna Snowa" opublikowanego niedawno w „Lancet" – sceptycznie podchodzi do pomysłów, by złagodzić obostrzenia i w szybkim tempie uzyskać tzw. odporność stadną, czyli taką, w której większa część społeczeństwa nabywa odporność na wirusa, chroniąc tym samym resztę i eliminując patogen ze środowiska. Opierając się wyłącznie na śmiertelności i tak krótkim czasie obserwacji chorych i bezobjawowych, a także mając na uwadze (jak dotąd rzadkie) doniesienia o ponownych zakażeniach, trudno zagwarantować, że całkowite zluzowanie nie przyniesie dużo gorszych skutków. ©

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Napój Noego

Noe nie był mężem idealnie sprawiedliwym i doskonałym (Rdz 6, 9). Oba jego przymioty, wymienione w tym wersie, relatywizuje pokolenie, na tle którego został ukazany. Choć rabini widzą w nim po czterokroć pioniera, bilans jego dziedzictwa nie wypada pomyślnie. Noe jako pierwszy sadził rośliny (w 9, 20 winnicę), przeklinał („Przeklęty niech będzie Kanaan, sługą sług będzie u swoich braci!"; 9, 25) i wprowadził niewolnictwo (ten sam wers) oraz pijaństwo (wers 21).

Według midraszu, czyli opowieści rabinicznej, w tym ostatnim maczał palce diabeł, z którym Noe wszedł w dobrowolną komitywę przy sadzeniu winnicy. Diabeł zarżnął kolejno cztery zwierzęta: owcę, lwa, wieprza i małpę, po czym ich krwią podlał winne krzewy. To miała być aluzja do ludzkich zachowań w kolejnych etapach prowadzących do upojenia alkoholowego. Niewinni jak owieczka, po kilku głębszych wierzymy, że mamy siłę lwa i nikt nam nie dorówna. Po przebraniu miarki jak świnia nurzamy się w fekaliach. Pijani w sztok, fundujemy gapiom iście małpie widowisko. Skoro przydarzyło się to sprawiedliwemu Noemu, tym bardziej może się przydarzyć zwykłym śmiertelnikom...

W święto Purim – zwane czasem w wielkim uproszczeniu „żydowskim karnawałem" – i pobożni Żydzi bywają zawiani. Rawa, jeden z najczęściej cytowanych w Talmudzie rabinów, jest zdania, że należy w Purim wypić tyle, by nie wiedzieć, jaka jest różnica między błogosławionym Mordechajem a przeklętym Hamanem. Na pierwszy rzut oka bohater i antybohater odczytywanej w to święto biblijnej Księgi Estery są skrajnie różni, jednak Rawa zdaje się tym okiem mrugać do tych, którym nieobca gematria. Ta numerologiczna metoda egzegetyczna w wersji podstawowej sumuje wartości numeryczne liter hebrajskich tworzących dane słowa bądź wyrażenia. Otóż zarówno „przeklęty Haman", jak i „błogosławiony Mordechaj" to 502!

Z prorokiem Micheaszem (Mi 4, 4) marzymy o czasach, gdy każdy – jak za Salomona (1 Krl 5, 5) – bezpiecznie zamieszka pod swoją winoroślą. Jak zauważa wdzięczny psalmista, Bóg obdarzył nas „winem, które rozwesela serce śmiertelnika" (Ps 104, 15). Król Dawid używa w tym wersie – jako serce – słowa *lewaw*, a nie zwykłego hebrajskiego *lew*. Dualność naszych skłonności, symbolicznie wyrażona podwojeniem litery, może w ekstremalnej sytuacji pchnąć nas – jak córki Lota – do nadużycia tego daru w niecnym celu (Rdz 19, 30-38). Jeśli nie będziemy się miarkować, możemy – jak prawdopodobnie dwaj starsi synowie Aarona – przyjść na spotkanie z Najwyższym nieprzetrzeźwiali (Kpł 10, 1-2. 8-9). Możemy też, wyposażeni w napój Noego, na chwilę przekroczyć ograniczenia własnego intelektu: czyż czasem wiedzieć naprawdę nie oznacza nic nie wiedzieć? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Wciąż to samo

Czego to się nie robi dla utrzymania dobrobytu i dobrego samopoczucia, najlepiej widać w sprawie uchodźców. W zasobnej Europie i USA, począwszy od pojedynczych ludzi, a skończywszy na narodach i rządach, używa się najróżniejszych sposobów, byleby tylko trzymać ich od nas jak najdalej. Te poczynania próbuje się też uzasadniać względami społecznymi, kulturalnymi, politycznymi i religijnymi. Ponoć przyjęcie uchodźców ma stanowić śmiertelne zagrożenie dla wiary, w Polsce oczywiście rzymskokatolickiej. Kiedy tymczasem właśnie głowa tegoż Kościoła, Franciszek, mówi, że do napisania najnowszej encykliki „Fratelli tutti" zainspirowali go nie tylko św. Franciszek z Asyżu czy Karol de Foucauld, ale również sułtan Malik-al-Kamil, wielki imam Ahmad al-Tayyeb, prawosławny patriarcha Bartłomiej, Martin Luther King, Desmond Tutu, Mahatma Gandhi i wielu innych.

Ale jak daleko można zniekształcić religię i teologię, niech świadczy wypowiedź Susannah Heschel, córki Abrahama Joshuy Heschela: „Któregoś wieczora ojciec opisał też swoje poczucie opuszczenia przez chrześcijan. Wyobrażam sobie, jak musiał się czuć (...) kiedy był świadkiem debaty protestanckich i katolickich wykładowców Starego Testamentu na temat tego, czy kanon chrześcijański powinien składać się tylko z Nowego Testamentu. Nawet ci, którzy opowiadali się po stronie Starego Testamentu, bronili swojego stanowiska twierdząc, że Stary Testament tak naprawdę nie jest księgą żydowską; uważali oni, że judaizm był zjawiskiem pobiblijnym i przejawem degeneracji".

W encyklice „Fratelli tutti" Franciszek pisze: „Między religiami możliwa jest droga pokoju. Punktem wyjścia musi być spojrzenie Boga. Bo »Bóg nie patrzy oczami, Bóg patrzy sercem. A miłość Boża jest taka sama dla każdego człowieka, niezależnie od wyznawanej przez niego religii. Jeśli jest ateistą, jest to ta sama miłość. Kiedy nadejdzie ostatni dzień i będzie wystarczająco dużo światła na ziemi, aby zobaczyć rzeczy takimi, jakimi są, będziemy mieli wiele niespodzianek!«". Ten cytat w cytacie pochodzi z filmu Wima Wendersa „Papież Franciszek i jego przesłanie".

Powyższa wypowiedź papieża to nic innego, jak praktyczne zastosowanie przykazania wspólnego żydom i chrześcijanom: „Będziesz miłował Pana, swego Boga, całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie jest podobne do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy". Ale nie koniec na tym. Jezus zostawił jeszcze inne przykazanie, nakłaniające nas do miłości innych bliźnich – nieprzyjaciół. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Groby niewidoczne

„Biada wam [faryzeusze], bo lubicie pierwsze miejsce w synagogach i pozdrowienia na rynku. Biada wam, bo jesteście jak groby niewidoczne, po których ludzie bezwiednie przechodzą" (Łk 11, 43-44) – te mocne słowa Jezusa liturgia przypomniała nam niedawno. Słowa te jednak – inaczej niż u św. Mateusza – nie są fragmentem wielkiej, wypowiedzianej z pasją i ogniem w świątyni „Mowy przeciwko faryzeuszom" (Mt 23, 1-39); przeciwnie, zostają wypowiedziane raczej w dyskretnych okolicznościach – w prywatnym domu, przy stole, podczas uczty u pewnego faryzeusza, na którą Jezus przyjął zaproszenie. Uczta, stół, gościna – to znaki i przestrzeń nie ostrej kontrowersji, lecz wspólnoty i miłości – nawet jeśli ta sięga czasem po zdecydowane słowo. W takim kontekście istnieje zapewne duża szansa, że naszą pierwszą reakcją na usłyszane napomnienie nie będzie zaprzeczenie i obrona, ale raczej refleksja i rachunek sumienia.

„Miłujecie" (tak trzeba by tłumaczyć dosłownie – Łukasz używa tu greckiego słowa *agapate*; inaczej niż u Mateusza, gdzie pada słowo *fileo*) „pierwszą katedrę" (grec. *protokathedria;* u Hieronima: *prima cathedra*) – czy chodzi tu tylko o ławkę w pierwszym rzędzie w kościele, czy raczej o pierwszą ambonę? O ambicję bycia uznanym za najwyższy autorytet nauczający?

Być może jednak to drugie. Tak więc to nie jedynie pretensje o pierwszeństwo duchownych „przed" pozostałymi wiernymi; to także wyścig próżnej ambicji z innymi duchownymi liderami i pożądanie pierwszeństwa wśród nich.

Liczymy również na „pozdrowienia na rynku", a więc na to, że będziemy rozpoznawalni nie tylko w zgromadzeniu religijnym, w świątyni, ale też poza nią. Jedno jest pewne – nikt z nas się nigdy nie przyzna do takich pragnień; nikt nie obnosi się z takimi motywacjami. Każdy z nas się raczej kryje ze swoją pychą i próżnością. Potrafimy je umiejętnie schować za piękną fasadą wzniosłych deklaracji, takich jak: „służba", „ofiarność", „gorliwość", „posłannictwo".

Do tego właśnie nawiązuje następne zdanie Jezusa: „jesteście jak groby niewidoczne!". I znów, w tej – Łukaszowej – wersji wypowiedzi (u Mateusza jest „groby pobielane" – zob. Mt 23, 27) akcent pada nie tyle na naszą „trupią" kondycję, lecz na dramatyczne jej konsekwencje w życiu ludzi, dla których przecież mamy być przewodnikami. Po owych grobach niewidocznych „ludzie bezwiednie przechodzą" – tzn. zupełnie nieświadomie stają się „nieczyści". Niczego nie podejrzewając, zostają zainfekowani śmiertelną chorobą. Niewidoczną.

Trudne słowo. Ale powtórzmy: wcale nie wypowiedziane po to, by ranić, by obnażać publicznie czy oskarżać. Raczej po to, by wskazać źródło choroby, której konsekwencje dotykają innych. ©

W czasie pokusy umysł doznając zamętu nie widzi dokładnie, co się dzieje.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Odpowiedź otrzymasz w swoim czasie.

SZAJCH REWGARI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (25 X – 1 XI)

30. niedziela zwykła: Wj 22, 20-26; Ps 18; 1 Tes 1, 5c-10; Mt 22, 34-40;
Poniedziałek: Ef 4, 32 – 5, 8; Ps 1; Łk 13, 10-17;
Wtorek: Ef 5, 21-33; Ps 128; Łk 13, 18-21;
Środa: Ef 2, 19-22; Ps 19; Łk 6, 12-19;
Czwartek: Ef 6, 10-20; Ps 144; Łk 13, 31-35;
Piątek: Flp 1, 1-11; Ps 111; Łk 14, 1-6;
Sobota: Flp 1, 18b-26; Ps 42; Łk 14, 1. 7-11;
31. niedziela zwykła – Uroczystość Wszystkich Świętych: Ap 7, 2-4. 9-14; Ps 24; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a.

WIĘŹ RACJONALNA

„Piątka dla zwierząt" wcale nie musi zdemolować poparcia dla PiS w wiejskim elektoracie. Bo też i nie ma jednej polskiej wsi.

BARTOSZ JÓZEFIAK

WŁADYSŁAW CZULAK / AGENCJA GAZETA

Protest rolników na S3 pod Sulechowem, Zielona Góra, 7 października 2020 r.

Gwizdki i trąbki niosą się po centrum Warszawy. To pomruk niezadowolonej wsi. Na placu Trzech Krzyży startuje pochód wielki, jakby pandemię odwołano. Transparenty: „Chcemy tylko spokojnie żyć", „Prezydencie, nie podpisuj", „Nie zabijajcie polskiej wsi".

Z ciężarówki liderzy związków rolniczych przemawiają ramię w ramię z przedstawicielami branży futrzarskiej. Ze sceny słychać: „Każdy polski rząd dostawał władzę z rąk rolników i z rąk rolników ją tracił. I tak będzie i tym razem".

W głośnikach dudni marsz żałobny, na przód pochodu wysuwają się trumny z podpisami „Hodowle polskie". Gwizdki, trąbki i syreny wyją bez przerwy. Kilka tysięcy rolników przyjechało pokazać Kaczyńskiemu, co myśli o „Piątce dla zwierząt".

Rolnika naprawdę boli

Arek z dumą podkreśla: nie jest jakimś tam rolnikiem, głupim wieśniakiem, co głosował na PiS. On jest ho-dow-cą. Ma fermę pod Żurominem. 50 tysięcy kurczaków. Minimum, żeby biznes się opłacał. Miastowi by chcieli kurczaka kupować za 6 zł w Biedronce, i do tego żeby był ekologiczny, bez antybiotyków, z wolnego wybiegu. A to się tak nie da! Arek już taniej nie może sprzedawać, bo nie wyżyje.

Boi się, że mniejszy eksport drobiu spowoduje spadek cen i zabije branżę. A przecież zatrudnia 20 osób, każdej płaci po 3,5 tysiąca na rękę. Jego pracownicy zarabiają więcej niż on! Fermę przejął razem z braćmi po ojcu. Na kurnik wzięli kredyt na dwa miliony. Od 27 lat zasuwa, a wszystko, czego się dorobił, to opel astra z 2007 r.

Miastowym się nie chce nawet kupy z chodnika zbierać po psie, a chcą Arka uczyć, jak hodować zwierzęta? Przecież gdyby Arek nie dbał o swoje kury, to nikt by od niego nie kupował. Ale też nie dajmy się zwariować: to są tylko zwierzęta! Mówił Bóg: czyńcie ziemię sobie poddaną.

Kazimierz tylko w tym miesiącu dołożył 20 tys. zł do hodowli świń. Tak niskie są ceny. Dokłada już od maja i nie wie, jak długo pociągnie. Co ma robić dalej? Kto zatrudni chłopa ze wsi pod Łomżą? A do emerytury jeszcze 11 lat. Dotąd nigdy nie protestował. Ale jak rolnik do Warszawy przyjeżdża, to znaczy, że już go naprawdę boli.

Żeby przeżyć, musiał być jak kanibal: zjeść sąsiadów. Kazimierz wydzierżawił wszystkich wkoło, dzisiaj ma 80 hektarów i kilkaset świń. Zakaz uboju na mięso *halal* go nie dotyczy, ale boi się, że następny będzie zakaz chowu klatkowego. A przecież maciora, która rodzi prosięta, musi w klatce siedzieć przez pięć dni, nie da rady inaczej.

Znęcać się nad zwierzętami nie wolno, ale od tego jest weterynaria, żeby pilnować gospodarzy. Jeśli Żydzi i Arabowie chcą kupować określone mięso, to czemu im zabraniać? Zresztą: jak nie kupią w Polsce, to kupią gdzie indziej. Jak ktoś chce chodzić w futrze z norki, to też jego sprawa. Czemu rząd się wtrąca do wszystkiego? Kaczyński w ręku trzyma dziś bat na rolników. Ale rolnicy mu tego nie zapomną.

Rytualna furtka

Na razie tragedii nie ma. Ceny skupu wołowiny spadły o 48 groszy za kilogram, obecnie wróciły do normy i są na podobnym poziomie jak rok temu. Ceny drobiu spadły o 15 proc., ale to głównie efekt pandemii, a nie zapowiadanej ustawy „Piątka dla zwierząt".

Obawy rolników nie są jednak wzięte z kapelusza. Nowe przepisy sprawią, że nie będzie wolno eksportować mięsa *halal* i koszernego za granicę. Już raz to przerabialiśmy. Zakaz uboju rytualnego wprowadzono w 2013 r. Przetrwał dwa lata, póki Trybunał Konstytucyjny nie stwierdził, że przepisy naruszają wolność religijną. Dlatego „piątka" Kaczyńskiego zakazuje eksportu takiego mięsa, ale pozostawia produkcję dla polskich gmin wyznaniowych.

– W 2013 r. ceny skupu spadły o 10 proc. Tym razem może być gorzej – obawia się prof. Benedykt Pepliński z Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. – Mięso z uboju bez ogłuszenia to ok. 30 proc. eksportu polskiej wołowiny i 58 proc. eksportu drobiu.

Branża będzie miała rok, zanim ustawa wejdzie w życie. To da eksporterom czas na znalezienie nowych rynków zbytu, przede wszystkim w Azji. – Ale na pewno nie uda nam się zrównoważyć strat z eksportu w całości. Część wyprodukowanej wołowiny zostanie w Polsce. Zwiększy się podaż, spadną ceny – mówi prof. Pepliński.

Po protestach rząd zgłosił poprawkę (przyjętą przez Senat) wyłączającą drób z zakazu eksportu. Pozostała wołowina i baranina. Nawet drobny spadek cen może być dla rolników zabójczy, bo narzut ze sprzedaży drobiu to raptem kilka procent, przy wołowinie góra 25 proc. – Bankructwa rolników i zakładów mięsnych są pewne – prognozuje ekspert.

Rozwiązaniem mają być rekompensaty. Nie wiadomo jednak, jak duże i do kogo trafią, bo obecny projekt ustawy w ogóle o nich nie wspomina. ↦

↦ Paweł Rawicki, prezes stowarzyszenia Otwarte Klatki, tłumaczy, że projekt ustawy mówi o „zakazie uboju bez ogłuszenia", a nie uboju rytualnego. To ważna różnica, bo niektóre muzułmańskie środowiska, np. w Turcji czy Europie, są mniej restrykcyjne i dopuszczają mięso *halal* od zwierząt ogłuszonych przed ubojem. Polscy rolnicy nie stracą więc całego rynku uboju rytualnego. W Senacie okres przejściowy dla uboju bez ogłuszenia wydłużono do 31 grudnia 2025 roku.

– Nie mamy nic przeciwko nieco dłuższemu *vacatio legis* tych przepisów, byle nie rozciągać go w nieskończoność – dodaje Mikołaj Jastrzębski z Fundacji Viva!.

Rolnicy chcą całkowitego wycofania się z ustawy – w czym poparła ich nawet zdominowana przez PiS senacka komisja rolnictwa, a politycy PSL żądali minimum dziesięcioletniego okresu zamrożenia przepisów. O kompromis może być trudno.

Obcy nie wejdzie

Żałobny kondukt dochodzi do Pałacu Prezydenckiego. Na scenę wdrapują się politycy PSL, ale nie wzbudzają zachwytu. Z przemówieniami spieszą też Krzysztof Bosak i Robert Winnicki z Konfederacji. Związkowcy dziękują swoim nowym politycznym przyjaciołom.

Przemówienia jednak nie przekonują chłopaków. Przyjechali spod Piotrkowa Trybunalskiego w piątkę. Mają po 25 lat, do ich klasy w technikum rolniczym chodziło 26 osób. Na wsi została dziesiątka. Dziś każdy ma po 30 krów. Łatwo ludziom się mówi: rzuć wszystko, wyjedź do miasta, ale przecież na ich gospodarstwa pracowało kilka pokoleń. Mają to zostawić? A zresztą: w mieście lepiej się żyje? U nich może rolnik spuści trochę gnojówki na pola, ale nie jak Trzaskowski – całe ścieki do Wisły.

Młody rolnik na dzień dobry musi kupić ciągnik za 200–300 tysięcy. A przecież jeden ciągnik to jest nic. W miastach narzekają, że mają kredyty na mieszkanie. Rolnik ma cztery razy większe kredyty. Najgorsze są wahania cen. Spadek ceny skupu o złotówkę za kilogram zjada Damianowi cały zysk.

Ludźmi łatwo jest manipulować. Wystarczy, że obejrzą jeden filmik w internecie i od razu mają negatywny obraz rolnika. A psy w bloku mają niby lepiej niż ta norka w klatce?

Na scenę wspina się Asia, 23-latka w kamizelce „Solidarności Rolników". – Jak pozwolimy dzisiaj, żeby rolnik był gnębiony, żeby osoby obce mogły wejść na nasze gospodarstwo, zabrać nasze zwierzęta, i pomoże im w tym policja i weterynaria, to nas nie będzie. Mięso przyjedzie, ale z zagranicy. I będzie śmierdzieć!

Asia tłumaczy dziennikarzowi: to byłby efekt wprowadzenia „Piątki dla zwierząt". To tak, jakby obcy człowiek mógł wejść do mieszkania w bloku, zabrać psa, wypisać mandat i jeszcze powiedzieć, że właściciel to sadysta. Ona obcych nie może wpuszczać do chlewni, bo przepisy weterynaryjne zabraniają. Czy ekolog odda jej pieniądze za zniszczenia, których narobi?

Na studiach wykładowca uczył ją, że rolnik to jest zawód o największej śmiertelności, większej nawet niż górnik. I rolnik musi być zarazem budowlańcem, chemikiem, elektrykiem, biologiem. Asia prowadzi rodzinne gospodarstwo z chłopakiem, rodzicami i bratem. Chlewnię budowali własnymi rękami.

– Przez lata dostosowywaliśmy gospodarstwo, dbając o dobrostan zwierząt. Nikt się na wsi nad zwierzętami nie znęca. To nie jest średniowiecze. „Zieloni" będą mieć krew rolników na rękach. Bo rolnicy z kolejnymi długami już sobie nie poradzą.

PROF. ROMAN KOŁACZ:

Rolnicy wiedzą, że zwierzęta z wysokim poziomem dobrostanu nie będą chorować, będą miały lepsze wskaźniki mleczności czy przyrostu masy ciała. Dbanie o ich dobro po prostu się opłaca.

Lobby się przykleiło

Asia w jednym się myli: nie jest tak, że działacze organizacji ochrony zwierząt zyskają prawo do inwazji na jej gospodarstwo.

– My te uprawnienia mamy od 23 lat. Nowa ustawa mówiła tylko, że policja miałaby obowiązek nam towarzyszyć w kontroli. Mam wrażenie, że część osób dopiero teraz się o tym dowiedziała – mówi Mikołaj Jastrzębski. – Jeśli rolnik dba o zwierzęta, to my nie możemy przeprowadzić interwencji. Nie będziemy nawet próbowali, bo odebrane zwierzęta musimy przetransportować, znaleźć dla nich miejsce, potem czeka nas rozprawa, gdzie sąd stwierdza, czy ta interwencja była zasadna. Większość interwencji dotyczy zwierząt domowych. Kontrole gospodarstw rolnych zdarzają się bardzo rzadko, jak ktoś zagłodzi 20 koni albo trzyma lisy zjadane żywcem przez larwy robaków.

Senat usunął jednak zapis o większych uprawnieniach dla organizacji. Zamiast tego premier zapowiedział powołanie Państwowej Inspekcji Ochrony Zwierząt. Rolnicy pukają się w czoło: czym ta nowa służba będzie się różnić od obecnej inspekcji weterynaryjnej?

Niewątpliwie tłem dla dyskusji o „piątce" jest filozoficzny spór o rolę zwierząt w miastach oraz na wsi.

– W miastach więź ze zwierzęciem jest bardziej emocjonalna, na wsi bardziej racjonalna, utylitarna – mówi prof. Roman Kołacz, były rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. – Tłumaczę rolnikom, że dobrostan to ochrona zwierząt przed bólem i cierpieniem, głodem, upałem, mrozem, ale również strachem czy cierpieniami behawioralnymi. Kura ma np. wrodzony instynkt grzebania, a świnia rycia w ziemi. Brak możliwości realizacji tych instynktów powoduje tzw. cierpienie behawioralne. Moim zdaniem polscy rolnicy to rozumieją. Wiedzą, że zwierzęta z wysokim poziomem dobrostanu nie będą chorować, będą miały lepsze wskaźniki mleczności czy przyrostu masy ciała. Dbanie o dobro zwierząt po prostu się opłaca. Może rolnicy nie okazują wrażliwości działaczy ruchu praw zwierząt, ale nie są pozbawieni empatii.

Mikołaj Jastrzębski uważa, że konflikt rolnicy–działacze społeczni jest sztucznie nadmuchany przez futrzarskie lobby, które tylko przykleiło się do prawdziwych rolników.

– Nie kojarzę, żebyśmy przedstawiali hodowców drobiu, krów czy świń jako barbarzyńców. Ja nie jem mięsa i produktów odzwierzęcych, ale jem inne rzeczy, które wytwarzają polscy rolnicy. Mam rodzinę na wsi i szanuję ich ciężką pracę. Żyjemy w kraju, gdzie większość osób je mięso. Nikt nie chce wprowadzać weganizmu na siłę. Chcemy tylko, żeby zwierzęta się nie męczyły.

Czy rolniczka Asia podałaby dłoń obrońcom praw zwierząt? Tak, ale tylko wtedy, gdy przyznają, że nie mają racji.

Odór padliny

U Sabiny na wsi nikt nie jeździ na protesty do Warszawy. Bo oni wiedzą, co to znaczy ferma norek. Smród niesamowity. Nie taki jak z obornika, bo do tego są przyzwyczajeni. Odór padliny. Muchy wchodzą krowom do oczu, siadają na jedzeniu.

Sabina mogłaby długo opowiadać o tym, jak jej sąsiad dostał zgodę na budowę fermy dla królików, a wprowadził tam norki. O tym, jak prokuratura nie chciała zająć się sprawą. O tym, jak podzielił jedną fermę na kilka „mniejszych", dzięki czemu może hodować więcej zwierząt. I jacy z takich hodowców rolnicy? Przecież nie wytwarzają niczego, bez czego nie można przeżyć.

Osiem lat temu przejęła gospodarstwo od ojca. 11 hektarów pszenżyta pod Ostrzeszowem. Mieli też trzodę i krowy, ale Sabina posprzedawała wszystko. Nie miał jej kto pomagać w gospodarstwie. Mąż w Niemczech, pracuje jako spawacz, syn skończył studia, został informatykiem. Z samego pola nie da się wyżyć, dlatego w ciągu dnia Sabina dorabia w zakładzie jako ślusarz.

Stosunek do zwierząt na wsi się zmienił. Dziś jakby się ktoś znęcał nad pieskiem, to zaraz by miał na głowie wszystkich sąsiadów. Dzisiaj to rolnicy ratują psy przywiązywane do drzew. Zostawiają je grzybiarze z miasta, jakżeby inaczej.

Politycznie wieś Sabiny rozkłada się tak: starzy głosują na PiS, młodzi przeciwko. Mają dość rozdawnictwa, nawet jeśli sami biorą 500 plus. Widzą, że wszystko drożeje. Jest nawet jeden gospodarz, co głosował na PO.

Tutaj Kaczyński jedynie zaplusował „Piątką dla zwierząt". Wieś Sabiny stoi w tej sprawie murem za PiS-em.

Trzeba dobrze zjeść

Na wsi pod Starachowicami rolników prawie nie ma. Młodzi powyjeżdżali za granicę lub do Warszawy, miejscowi pracują w budżetówce lub dojeżdżają do roboty w miastach. Przy tych cenach skupu nikomu się gospodarowanie nie opłaca. Tym bardziej, że pola rozdrobnione, każdy ma raptem kilka hektarów.

Ostatnią dumną gospodynią została 35-letnia Kasia. 10 hektarów, pięć krów i 16 świń przejęła od ojca. Mieszkają razem w wielkim domu przy końcu asfaltowej drogi. Jeszcze konia trzymają z sentymentu, tata się przywiązał, więc żal się pozbywać.

Mąż pracuje w kopalni jako kierowca. Kasia już poszła pracować do ciucholandu, ale wróciła do gospodarstwa. Przyciągnęły ją dotacje dla młodych rolników – kilkaset tysięcy na nowy ciągnik. Ojciec przeszedł na rentę, a ona od szóstej rano biega do obory, zmienia ściółkę krowom, gotuje obiad i dogląda paroletniego synka. Mąż po pracy jeszcze wskoczy na traktor i objedzie pole. Dużo na tym gospodarstwie nie zarobią, ale żal marnować pracę rodziców i dziadków.

Kasia nie boi się spadku cen przez nowe przepisy. Gorzej chyba już nie będzie. A co do ekologii, to na kursie młodego rolnika oglądali wielkie gospodarstwo nieopodal. Kasia się przeraziła. Krowy ubrudzone po wymiona spacerowały po gnoju. Duży rolnik do wszystkiego zatrudnia ludzi, ona wszystkiego dogląda sama. Jak za starych czasów ścieli krowom trzy razy dziennie. Pilnuje przepisów, żeby weterynarz nie miał się do czego przyczepić. W jednym budynku ma świnie, w drugim krowy, na podłogach wszędzie specjalne maty, środki dezynfekcyjne. Do obory nie można wejść bez ubrań ochronnych, obcych osób w ogóle nie można wpuszczać.

Ochrona zwierząt? Proszę bardzo, psów nie trzyma na łańcuchu, a fermy norek można pozamykać choćby jutro. Ale nie można przeginać w drugą stronę. Ekolodzy bardziej martwią się o zwierzęta niż o ludzi. Wegetarianizm to jest fanaberia. Na wsi nie ma takiej mody. Kasia wie, bo jej 18-letnia siostrzenica nie je mięsa. Ostatnio przyjechała pomagać na polu. Kilka godzin młócenia i prawie zemdlała. Jak się fizycznie pracuje, to się powinno dobrze zjeść. No i Kasi nie byłoby stać, żeby codziennie jeść tylko warzywa, brokuły, musli. To dieta nie na jej kieszeń.

Z tego pola nie jest się łatwo utrzymać. Kasia nie dałaby rady bez 500 plus na syna i córkę. Podoba jej się też patriotyzm partii rządzącej, wcześniej tego nie było. Dlatego „Piątka dla zwierząt" nie zmienia Kasi politycznych zapatrywań. Nadal będzie głosowała na PiS.

© BARTOSZ JÓZEFIAK

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Górnik w oślej ławce

RAFAŁ WOŚ

Łatwo jest potraktować obrońców polskiego węgla jak ekonomicznych głupców albo klimatycznych denialistów. Ale to krzywdzące.

Gdyby Górny Śląsk próbował wystawić nam rachunek za rozwój ekonomiczny kraju w ostatnim stuleciu, to pozostała część Polski dziś by się z niego nie wypłaciła. W rekordowym roku 1979 spod ziemi w polskich kopalniach wyjechało 200 mln ton węgla kamiennego. Cały sektor górniczy zatrudniał wtedy prawie pół miliona ludzi. Nie tylko dostarczał cenne dewizy, za które rozwijano inne gałęzie przemysłu. Na koniec epoki PRL sektor górniczy posiadał 6 nowoczesnych szpitali, 57 przychodni, 187 tys. mieszkań z 630 tys. lokatorów, 220 hoteli pracowniczych na 45 tys. miejsc, 171 szkół, w których uczyło się 41 tys. uczniów, 70 domów kultury i 84 kluby sportowe. Przygniatająca większość z nich znajdowała się właśnie na Górnym Śląsku. Nieprzypadkowo to w tutejszym klastrze technologiczno-medycznym przełomowe innowacje kardiologiczne tworzył Zbigniew Religa. I nieprzypadkowo największe – i dające Polakom wiele radości – sukcesy polskiej piłki nożnej to właśnie drużyny ze Śląska z Górnikiem Zabrze na czele. Przykłady można mnożyć.

Dziś Górny Śląsk to nadal najważniejsze miejsce na mapie polskiego górnictwa. Ale skala jest już inna. W 2019 r. wydobyto w Polsce 62 mln ton węgla kamiennego. Mimo to górnośląskie kopalnie – skupione w spółce o nazwie Polska Grupa Górnicza (PGG) – nadal odpowiadają za mniej więcej połowę polskiego wydobycia. Druga połowa rynku to dwa inne duże podmioty: 15 mln ton rocznie daje Jastrzębska Spółka Węglowa (JSW) – geograficznie to też Górny Śląsk, ale bliżej granicy z Czechami. 10 mln ton przypada zaś na kopalnię Bogdanka położoną na Lubelszczyźnie. Obie te spółki uchodzą dziś za dużo bardziej odporne na próby zamknięcia. JSW specjalizuje się w produkcji koksu stanowiącego składnik konieczny do produkcji przemysłowej, zwłaszcza hutniczej. Z kolei Bogdanka to kopalnia dość nowa (uruchomiono ją w 1982 r.), a co za tym idzie, wydobycie tu jest wciąż tańsze niż na Śląsku, gdzie po surowiec trzeba schodzić głębiej. Prócz tego mamy jeszcze w Polsce węgiel brunatny. Istotny z tego powodu, że bazująca na nim elektrownia Bełchatów wytwarza ok. 20 proc. energii elektrycznej w Polsce.

A Górny Śląsk? Według podpisanego pod koniec września porozumienia pomiędzy rządem a górniczymi związkami przestanie być obszarem górniczym za niecałe trzy dekady. Likwidacja rusza w zasadzie od razu. Pierwszy – już w przyszłym roku – zamknięty ma zostać Pokój w Rudzie Śląskiej. Potem znany z polskiej historii Wujek w Katowicach. I tak dalej. Aż do 2049 r., gdy przewidziano likwidację kopalni Chwałowice i Jankowice znajdujących się na terenie Rybnika. Być może wydarzy się to nawet szybciej, bo wciąż nie wiadomo, czy na plan zgodzi się Komisja Europejska. Może ona zablokować Polsce możliwość udzielenia pomocy publicznej wygaszanym kopalniom i nalegać na ich szybszą likwidację.

Zagadka nierentowności

Znamienne, że ani podpisanie porozumienia, ani podziemny protest 400 górników z PGG nie wywołały szczególnego poruszenia. Nie było wyrazów solidarności, które towarzyszyły protestom nauczycieli czy wcześniej lekarzy rezydentów. Ani popłochu, jak przy okazji niedawnych protestów przedsiębiorców. Większość polityków, komentatorów, ale i postronnych obserwatorów wzruszyła tylko ramionami. Trudno się nawet dziwić. Do powtarzanego w pierwszych dekadach transformacji przekonania, że górnictwo węgla kamiennego jest przedsięwzięciem „trwale nierentownym" i swoje dalsze istnienie zawdzięcza głównie strachowi polityków przed górniczym oporem, doszedł nowy zestaw skojarzeń. Węgiel znaczy emisja dwutlenku węgla, znaczy niszczenie planety, znaczy kataklizm. Niedawno Komisja Europejska wezwała wręcz do zaostrzenia celów klimatycznych: już nie redukcja emisji o 40 proc. do 2050 r. Teraz walczymy o 55 proc. Parlament Europejski chce nawet ten cel podnieść do 60 proc. Z tego powodu normalna rozmowa o górnictwie jest trudniejsza niż w latach 90. Łatwo można dostać łatkę klimatycznego denialisty. Czyli kogoś prawie tak groźnego jak antyszczepionkowcy, i tak głupiego jak płaskoziemcy. Argumenty ekonomiczne i ekologiczne układają się w proste przesłanie: polski węgiel trzeba wygaszać. Nie ma alternatywy. A może jednak jest?

Zacznijmy od ekonomii. Zbitka „trwale nierentowny polski węgiel" funkcjonuje w obiegu od wielu lat. Ale co właściwie oznacza? Oznacza tyle, że wydobywany w Polsce surowiec jest dla wielu odbiorców mniej konkurencyjny od węgla zagranicznego. W 2019 r. polscy importerzy kupili prawie 10 mln ton węgla z Ro-

TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

Rozbiórka kopalni Murcki, Rejon Boże Dary, Katowice 2018 r.

sji i około miliona ton węgla z Kolumbii. Dlaczego? W tym kontekście często pada argument, że węgiel zagraniczny jest lepszej jakości. Owszem, bywa. W większości przypadków decyduje jednak najprostsze kryterium ekonomiczne – czyli cena. W 2019 r. polski węgiel z PGG kosztował ponad 400 zł za tonę. Węgiel rosyjski ok. 300 zł. Kolumbijski zaś 280 zł.

„Zwykle słyszymy w tym kontekście, że polski węgiel jest zbyt drogi. A może jest odwrotnie? Może to węgiel z zagranicy jest zbyt tani? A jego cena wręcz dumpingowa" – dowodzi Jarosław Niemiec, działacz społeczny i przewodniczący zarządu Zakładowego Związku Zawodowego „Przeróbka" w Bogdance. Wyjaśnia, że niska cena importowanego węgla jest efektem albo silnego dotowania przez władze (niemal zerowe koszty państwowego transportu surowca w Rosji) albo (najczęściej) niskich kosztów i złych warunków pracy. Co szczególnie dotyczy krajów Ameryki Południowej, skąd węgiel też chętnie bierzemy. Brak uwzględnienia tego czynnika w naszych rachubach dotyczących przyszłości kopalni skutkuje tym samym mechanizmem, który się pojawił w wielu zachodnich krajach. To znaczy eksportem przemysłu i związanych z nim miejsc pracy często wręcz na inne kontynenty. Oczywiście w ostatecznym rozrachunku z wytworów tego przemysłu i tak korzystamy (w tym wypadku importując węgiel). To, w jakich warunkach jest wydobywany i jakie powoduje zniszczenia dla ekosystemu z dala od naszego domu, już nas nie interesuje. Jedni zyskują tanie produkty i czyste sumienie, inni tracą miejsca pracy i życiowe perspektywy.

Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego w hasło o „trwałej nierentowności" nie wolno bezrefleksyjnie wierzyć. Pod wieloma względami polskie górnictwo jest bowiem jedną z mniej znanych ofiar logiki polskiej transformacji. Już w planie Balcerowicza miało odegrać rolę tzw. kotwicy antyinflacyjnej. Uwolniono wówczas większość cen towarów i usług komercyjnych – z wyjątkiem węgla. Sektor górniczy zapłacił za tamten eksperyment olbrzymią cenę. W całym 1990 r. średni koszt wydobycia tony węgla wynosił 20 dolarów. A średnia cena węgla eksportowanego z Polski 50 dolarów. Kopalnie były jednak zmuszone do sprzedawania węgla po średniej cenie 12 dolarów. Gdy próbowały go eksportować, karano je 80-procentowym podatkiem eksportowym. Dla kopalń oznaczało to wpadnięcie w spiralę długu. To wówczas zaczęło się osławione zadłużenie branży, na które tak chętnie powoływali się zwolennicy wygaszania „nierentownego górnictwa".

Kolejne posunięcia władz również nie pomagały. Prowadzona przez NBP polityka podwyższania wartości złotego obniżała opłacalność eksportu węgla i nie pozwalała odpracować poniesionych na początku dekady strat. Do tego doszedł program restrukturyzacji górnictwa za czasów rządu Jerzego Buzka. Zlikwidowano wówczas 24 kopalnie węgla i zmniejszono wydobycie o 32 mln ton. Z górnictwa odeszło zaś blisko 100 tys. pracowników. Odchodzący – aż do roku 2006, gdy przepis cofnięto – mieli zakaz podejmowania pracy w górnictwie. Program odejść finansowany był kredytem z Banku Światowego. Niektórzy obserwatorzy (jak choćby socjolog przemysłu Gabriel Kraus) krytykując tamte posunięcia, dowodzili, że ich skutkiem nie będzie wcale poprawa efektywności ekonomicznej górnictwa, tylko wyeliminowanie Polski jako liczącego się eksportera węgla z rynków światowych. Stało się to szczególnie odczuwalne, gdy w latach 2003-04 ceny węgla poszły w górę, osiągając poziom nienotowany od 80 lat. Kraus dowodził wtedy, że gdyby polskie górnictwo nie zostało wygaszone, to Polska mogłaby w korzyściach z tego boomu partycypować, utrzymując zatrudnienie w górnictwie na poziomie 200 tys. i wydobycie 140 mln ton. Ale niedofinansowane kopalnie nie były w stanie tego zrobić.

Lepsi od Niemiec?

Wszystkie te rozważania ekonomicznie bledną, gdy na horyzoncie pojawia się postulat ekologiczny. – Zanim grzecznie zajmiemy wskazane nam miejsce w oślej ławce światowych trucicieli, spójrzmy na liczby – przekonuje Adam Gierek, emerytowany profesor Politechniki Śląskiej i trzykrotny europoseł zajmujący się w Brukseli i Strasburgu m.in. kwestiami klimatycznymi. Co zobaczymy, sięgając po te dane? Tyle, że nasza wciąż węglem stojąca gospodarka emituje rocznie ↦

↦ ponad 300 mln ton CO_2. Niemcy zaś, będący zielonym sumieniem Europy, mają emisję na poziomie 800 mln ton. Z kolei Rosja, od której kupujemy węgiel, emituje 1,7 mld ton. W przeliczeniu na głowę mieszkańca wychodzi ok. 9 ton dla Polski, ok. 10 dla Niemiec i 12 dla Rosji.

Wielu zwolenników szybkiego odchodzenia od energetyki węglowej odpowie na to pewnie, że celem wygaszania wydobycia w Polsce jest nie tyle zmniejszenie bieżącego zużycia i emisji, tylko raczej zachęcenie nas, byśmy odważniej wkroczyli na ścieżkę ku zielonej energetyce. Trochę na zasadzie, że najlepszą szkołą pływania jest zabranie delikwentowi kajaka, którym się do tej pory poruszał. Wtedy – chcąc nie chcąc – musi zacząć pływać.

Tyle że z zieloną energią to nie do końca tak. Nie mamy tu do bowiem do czynienia z wyborem albo-albo. Dzieje się tak dlatego, że energia ze źródeł odnawialnych (OZE) ma wciąż olbrzymi problem z zapewnieniem społeczeństwu i gospodarce stałych dostaw. Krótko mówiąc: nawet tacy gracze jak Niemcy wiedzą, że nie mogą w stu procentach polegać na ustawionych na Morzu Północnym farmach wiatrowych i zlokalizowanej w najbardziej słonecznych landach energetyce słonecznej. Ryzykowaliby bowiem niechybnym blackoutem. Musi więc istnieć energetyka zapasowa. Ale tu właśnie rozpoczyna się gra interesów o bardzo wysoką stawkę. I trudno czasem odróżnić, w którym miejscu kończy się troska o planetę, a zaczyna próba jak najbardziej dogodnego usadowienia się w energetycznej kolejności dziobania w XXI wieku.

Najpotężniejsi gracze w Europie (np. Niemcy) rozwiązali to sprytnie. Sami są mistrzami w produkowaniu i eksportowaniu technologii OZE, energię zaś (której tak potrzebuje ich przemysł) pokrywają importowanym węglem oraz gazem z Rosji. Jednocześnie próbują również zarabiać na reeksporcie nadwyżek swojej energii do krajów ościennych, np. do Polski. Polska takiego importu węgla nie potrzebuje. No, chyba że opieranie się na rezerwach węglowych stanie się dla niej (nie ma ani atomu, ani własnego gazu) nieopłacalne.

Węgiel jak armia

Oczywiście żaden obcy rząd nie jest władny pozamykać kopalń w Polsce. Można jednak tak zwiększyć presję na Polskę, by zrobiła to sama. Trochę ze strachu, że będzie wytykana palcami w Europie, a trochę z konieczności, bo dalsze śrubowanie norm emisji CO_2 musi skutkować podnoszeniem kosztu pozyskiwania energii z węgla poprzez konieczność kupowania coraz droższych praw do emisji tego gazu. W ten sposób dochodzimy do miejsca, w którym temat ekologii spotyka się z zagadnieniem suwerenności. Wygląda bowiem na to, że w XXI wieku kwestia posiadania własnych rezerw energetycznych jest równie ważna, co wojsko czy waluta. Jeśli ich nie mamy, to *de facto* nie mamy większych możliwości przeciwstawiania się tym, którzy dysponują źródłami energii i systemem sieci przesyłu.

Na koniec argument społeczny. Górniczy związkowcy są dziś gotowi rozmawiać o redukcji wydobycia węgla i zmniejszaniu zatrudnienia w branży. Domagają się jednak prostych i przejrzystych zasad. „Po pierwsze: za każde miejsce pracy tracone w górnictwie nowe i pewne miejsce pracy w innym sektorze gospodarki. Jeśli zielonej, to tym lepiej. Po drugie: za każdy kilowat energii węglowej kilowat energii z OZE. Ale zielonej energii pochodzącej z Polski. A nie importowanej z zagranicy" – streszcza związkowe postulaty Jarosław Niemiec. Warto wziąć je pod uwagę.

Z tych wszystkich powodów grzebanie górnictwa zdaje się być mocno przedwczesne. A nawet przeciwskuteczne. Powinniśmy wyciągać wnioski z poprzednich faz transformacji. Celnie opisał to ostatnio jeden z liderów OPZZ Piotr Ostrowski: „Bezrefleksyjne i bezalternatywne wpisywanie się w model modernizacji imitacyjnej w kwestii klimatyczno-surowcowo-energetycznej w Polsce, obecne u wielu polityków, do złudzenia przypomina mi »ukłucie« neoliberalnym paradygmatem z lat 90. Chciałbym się mylić, ale to skończy się równie tragicznie. I to znów w zdecydowanie większym stopniu dla ludzi pracy, a nie dla tych polityków". Jest jeszcze czas, by tak się nie stało.

©℗ RAFAŁ WOŚ

Wyższa szkoła alienacji

KAROL WILCZYŃSKI

Cudzoziemscy uczniowie zdani są na łaskę i niełaskę nauczycieli, rodziców i rówieśników. Na polski system edukacji nie mają co liczyć.

Że jest źle, okazało się po zakupie wanny.

Ibrahim wraca z treningu, kąpie się nawet półtorej godziny. Jego mama, Izabela, nie wie, co się dzieje. W końcu staje się jasne, że jej 12-letni syn od dłuższego czasu próbuje zmyć z siebie ciemny kolor skóry. Kupił nawet w tajemnicy pumeks.

Ibrahim jest z Krakowa. Wraz z mamą i tatą – pochodzącym z Afryki Północnej Ahmedem – mieszka na jednym z bogatych osiedli domków. Ma 14 lat i próbuje zapomnieć o traumie, jaka spotkała go w szkole podstawowej oraz lokalnej szkółce sportowej. – Chcieliśmy zapewnić mu rozrywki w sobotę. I żeby poznał kolegów poza szkołą – tłumaczy jego mama.

– Mówiłem jej, że to nic nie da. Przecież nie ma tygodnia, by ktoś nie obtarł karoserii mojego auta lub nie zaczął za mną krzyczeć. Jak jesteś czarny, w Polsce nie masz życia – uzupełnia słowa żony Ahmed.

Ibrahim, wysoki i chudy chłopak o śniadej cerze i przenikliwym, bursztynowym spojrzeniu, był najlepszy w drużynie. Wszyscy mu zazdrościli. W końcu chłopaki z klubu się zmówili. Zaczęli skarżyć się do trenera, że podkrada im ubrania, że pluje na nich. Wyzywali go. Trener przymykał na to oko. W końcu dla „świętego spokoju" i „dobra drużyny" odsunął go od zespołu.

– Wtedy zaczęły się też najgorsze problemy w szkole – mówi Izabela. Podczas wycieczki wskutek nękania ze strony innych dzieci oraz jednej z opiekunek chłopiec podjął próbę samobójczą.

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

Szkoła Podstawowa w Berezówce na Podlasiu. Tutaj razem z dziećmi polskimi uczą się dzieci z Czeczenii i Ukrainy – stanowią one ponad połowę wszystkich uczniów szkoły.

Matura dla wybranych

Wielu pracowników oświaty przyznaje, że dzieci cudzoziemskie lub z rodzin mieszanych nie mają łatwego życia w naszych szkołach. – Dramaty zaczynają się już w szkole podstawowej – mówi Katarzyna Wach, dyrektorka Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Lęborku. Autorzy „Raportu Alternatywnego dla Komitetu Praw Dziecka ONZ" przygotowanego przez 13 polskich organizacji pozarządowych wskazują również, że jedną z najbardziej dyskryminowanych grup są dzieci umieszczone w strzeżonych ośrodkach dla cudzoziemców. O ile, teoretycznie, polski system broni interesu dzieci uczęszczających do szkół, o tyle w „istotny sposób ogranicza dostęp do edukacji" tych, które przebywają w detencji.

Tylko w ostatniej dekadzie liczba cudzoziemskich uczniów zwiększyła się pięciokrotnie. W 2019 r. do polskich szkół zaczęło chodzić niemal 52 tys. cudzoziemców (w tym niemal 31 tys. z Ukrainy), przy czym ta liczba nie zawiera dzieci z rodzin mieszanych, takich jak Ibrahim. Tegoroczny raport NIK nie pozostawia wątpliwości: ich sytuacja jest bardzo trudna. Kontrola pokazała „zupełny brak zainteresowania tą kwestią Ministra Edukacji Narodowej". Wedle Izby resort „nie monitoruje sytuacji (...), praktycznie nie ma na ten temat żadnej wiedzy i nie uczynił nic, aby ją uzyskać".

Konieczność przeprowadzenia badań i analiz oraz przeszkolenia nauczycieli sygnalizują też dyrektorzy placówek. – Nikt mnie nie rozumie. Sprawa moich uczniów otarła się o ministerstwo, ale oprócz przytoczenia przepisów nie otrzymałam żadnej porady – mówi Katarzyna Wach.

Do jej szkoły w Lęborku trafiła niedawno dwójka uczniów z Kuby oraz uczennica z Grecji. Stanęli przed wyzwaniem, jakim była matura z polskiego. – Sugerowaliśmy, że dla uczniów, którzy są w Polsce od niedawna, a którzy z wielu powodów nie są w stanie wrócić do swoich ojczyzn, musimy opracować inny rodzaj arkuszy maturalnych – tłumaczy Wach. – Tak się nie stało. W odpowiedzi usłyszałam: „Nie każdy musi mieć maturę". To jawna dyskryminacja!

Pandemia jak wybawienie

Dawid przyjechał do Polski z Odessy wraz z rodzicami i siedmioletnią siostrą, Oksaną, trzy lata temu. W ukraińskiej szkole był jednym z najlepszych uczniów. Dużo czytał, jego pasją są angielskie audiobooki. Rodzice pracują na wysokich stanowiskach w korporacjach. Wysyłają dzieci na wszystkie możliwe zajęcia dodatkowe.

O ile jednak nowy początek przebiegł sprawnie w przypadku siedmiolatki, o tyle Dawid miał coraz większe problemy. Nie chciał uczyć się polskiego, nie znał wersji historii z polskich podręczników, wreszcie przestał nawet słuchać angielskich audiobooków. Rodzicom tłumaczył, że nie ma kolegów i chce wracać. – Nie cierpię stać z boku do samego końca, gdy wybierane są drużyny do gry w piłkę na WF-ie – mówi Dawid. – Gdy tylko mogę, uciekam ze szkoły. I tak nikt nie chce tam ze mną rozmawiać. Nawet nauczyciele.

Rodzice przyznają, że robili, co mogli, by wesprzeć syna. Wynajęli prywatnych nauczycieli, poświęcają mu dużo uwagi. Dziwią się jednak, że Dawid nie otrzymał wsparcia od dyrekcji i nauczycieli. Podobno reagowali obojętnie na prośby rodziców Dawida. Szkoła uznała, że dwie dodatkowe lekcje języka – z polonistką niemającą kwalifikacji do nauczania polskiego jako obcego – będą wystarczające. Po ponad dwóch latach nauki pandemia okazała się wybawieniem. Dawid mógł skończyć podstawówkę, nie chodząc do znienawidzonej szkoły. Rodzice postanowili umieścić go w prywatnym liceum, gdzie – jak twierdzą – jest nieco lepiej.

Nie wszystkich cudzoziemskich rodziców stać jednak na taki ruch.

Język bardzo obcy

Z raportu NIK: aż 44 proc. nauczycieli wskazało kwestię komunikacji z nowo przybyłymi uczniami jako najważniejszy problem. Ogromny kłopot sprawia też brak podręczników do nauki polskiego jako obcego oraz odpowiednich materiałów dydaktycznych. I nikłe wsparcie pracy nauczycieli przez szkołę (7 proc. respondentów wskazało to jako największy problem). Jak jednak podkreśla Jakub Niewiński, polonista i nauczyciel polskiego jako obcego w szkole podstawowej w Murowanej Goślinie, każdego miesiąca pojawiają się nowości metodyczne z rozwiązaniami i pomocami dla nauczycieli i nauczycielek. ↦

Nie dotyczy to jednak wszystkich regionów Polski, choćby położonego na uboczu Lęborka. Katarzyna Wach mówi o tym, co zrobiła, by ułatwić uczniom z Kuby naukę polskiego. – Otrzymaliśmy środki wyłącznie na dwie dodatkowe godziny polskiego dla tych uczniów – opowiada. – Ale to przecież bez sensu. Tyle czasu zdecydowanie nie wystarczy.

Dyrektorka, która jest polonistką, podjęła się z innymi nauczycielami pracy *pro bono:* – Nauczyciele ideowcy się zawzięli. Pracowaliśmy łącznie dodatkowo 12 godzin tygodniowo, realizowaliśmy dla Kubańczyków indywidualny tok.

Sytuację uczniów uratował nauczyciel hiszpańskiego z Lęborka, *native speaker* oraz inni językowcy, którzy wspierali polonistów. – To było nagłe samokształcenie. Żaden z nauczycieli nie uczył polskiego jako obcego. Dopiero po jakimś czasie część polonistów uczestniczyła w kursie, a jedna z osób poszła na studia podyplomowe – mówi Wach.

Dziś szkoła w Lęborku jest gotowa na przyjęcie kolejnych cudzoziemskich uczniów. Podobnie jednak jak wiele innych placówek, przygotowania nie zawdzięcza systemowej pomocy MEN czy kuratorium. Raport NIK: „stosunkowo mocnym ogniwem są nauczyciele, którzy mimo braku instytucjonalnego wsparcia wykonują swoją pracę w większości z zaangażowaniem".

W przypadku Ibrahima ratunkiem też okazała się jedna z nauczycielek, która pomogła rodzicom znaleźć inną szkołę – prywatną. Jakub Niewiński, nauczyciel z Murowanej Gośliny, opowiada o innowacyjnych pomysłach swojej dyrekcji, która poprosiła o pomoc jedną z dłużej uczących się w Polsce uczennic z Ukrainy, by towarzyszyła nowo przyjętej osobie z tego samego kraju. – To było rewelacyjne rozwiązanie – twierdzi Niewiński. – Ta dziewczynka w ogóle nie mówiła po polsku. Dzięki pomocy drugiej uczennicy mogła szybko nadrobić różnicę programową.

Niewiński podkreśla też, jak ważna jest edukacja rówieśnicza oraz to, by uczniowie i uczennice mogli i mogły się wypowiedzieć, zadać pytania i wyrazić swoje opinie w związku z obecnością cudzoziemców w szkole. Jak dodaje Katarzyna Wach, w integracji Kubańczyków bardzo pomogło to, że byli oni zapraszani na różne imprezy przez pozostałych uczniów.

23 proc. cudzoziemskich dzieci doświadcza nietolerancyjnego zachowania sporadczynie, a 4 proc. często. W wielu takich przypadkach dzieci nie chcą chodzić do szkoły. Rzadziej, jak w przypadku Ibrahima, **mogą się zdarzać próby samobójcze.**

Sytuacja poza miastami jest jednak zupełnie inna niż w dużych ośrodkach. Jak mówi Niewiński, pod tym względem wyróżnia się Wielkopolska, gdzie liczba uczniów cudzoziemskich wzrosła kilkukrotnie w ciągu ostatnich lat, co wymusiło działania na różnych organach: – W Poznaniu mamy tylko w październiku trzy szkolenia dotyczące wielokulturowości i pracy z uczniami z doświadczeniem migracyjnym.

Niewiński dodaje, że Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli realizuje również nowatorski program, i to pomimo trwającej pandemii: – Uczestniczyłem w szkoleniu 16 nauczycieli, którzy teraz są zobowiązani przeprowadzić podobne w każdym województwie dla łącznie 160 osób ze szkół: dyrektorów, nauczycieli, pedagogów i psychologów.

Ale w większości szkół nie prowadzi się żadnych zorganizowanych działań na rzecz integracji uczniów cudzoziemskich. Problemem jest też sytuacja rodziców. Podobnie jak w przypadku uczniów, często nie potrafią oni porozumiewać się w języku polskim. Dochodzą różnice kulturowe. Lidia, uczennica spod Łodzi, opowiada o sytuacji, która się wydarzyła w lokalnej szkole podstawowej. Siedmioletnia dziewczynka pochodzenia arabskiego przyszła do szkoły z mamą noszącą hidżab. Niestety inne dzieci wystraszyły się jej mamy, co ostatecznie wywołało również niechęć do siedmiolatki. Gdyby nie reakcja rodziców Lidii, którzy zaprosili do domu arabską koleżankę córki z rodzicami, a następnie zorganizowali w szkole kilka spotkań, sytuacja mogłaby się potoczyć gorzej.

Kuratorka broni Europy

W przypadku dzieci wietnamskich (ale nie tylko) często dochodzi do sytuacji, w której polscy nauczyciele nie rozpoznają imienia w wieloczłonowych mianach swoich uczniów i zwracają się do nich po nazwisku. – Nie tylko uczniowie, ale i nauczyciele czy rodzice różnie reagują na imię czy nazwisko mojego syna – mówi Izabela, mama Ibrahima. – Mamy też znajomych uchodźców z Czeczenii, którzy musieli po przyjeździe do Polski zmienić imię synka, Islama, tuż przed pójściem do pierwszej klasy. Wiedzieli, co może go tam czekać.

Osobną kwestią jest dyskryminacja. NIK podaje, że 23 proc. cudzoziemskich dzieci doświadcza (wedle ich rodziców) nietolerancyjnego zachowania sporadczynie, a 4 proc. często. W wielu takich przypadkach dzieci nie chcą chodzić do szkoły. Rzadziej, jak w przypadku Ibrahima, mogą się zdarzać nawet próby samobójcze.

Rząd i lokalne władze najczęściej bagatelizują problem. W niewielu placówkach prowadzi się profesjonalne zajęcia antydyskryminacyjne. W niektórych przypadkach, jak np. małopolskiej kurator oświaty, można wręcz usłyszeć wypowiedzi zachęcające do dyskryminacji. Barbara Nowak na rozpoczęcie roku szkolnego we wrześniu 2018 r. mówiła do uczniów II LO im. Jana III Sobieskiego w Krakowie: „patron waszej szkoły to wspaniały król, który potrafił obronić całą Europę przed islamem. Musicie brać z niego przykład".

Choć nie wszędzie jest tak źle, to na stronach większości kuratoriów próżno szukać treści poświęconych dzieciom cudzoziemskim (choć, jak podkreśla Niewiński, są też dobre przykłady, takie jak kuratorium w Poznaniu, które od co najmniej kilku lat pomaga wielkopolskim nauczycielom w tej kwestii).

Raport NIK wskazuje, że edukacja cudzoziemców w Polsce leży nie tylko w gestii MEN, ale również MSWiA. Autorzy rekomendują „podjęcie współpracy pomiędzy odpowiednimi resortami i organami". Ale biorąc pod uwagę brak jakiejkolwiek spójnej polityki migracyjnej polskiego rządu, nie należy oczekiwać, by sytuacja się zmieniła. © KAROL WILCZYŃSKI

Imiona niektórych bohaterów zmieniono.

Autor jest współtwórcą islamistablog.pl; uczy etyki w SP im. Mikołaja Reja w Krakowie.

ANNA

Dziewit-Meller:
Motyw vanitas

Od marca o ciele myślę dużo więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Przez covid oczywiście, ale nie tylko. Taki to rok w moim życiu, że różne bliskie ciała wokół mnie zmieniały dotychczasowe statusy – przeistaczając się w ciała chore, słabe, wymagające szczególnej troski, budzące współczucie, ale i lęk o to, dokąd zaprowadzi je choroba. Szliśmy więc przez ostatnie miesiące dość niepewnie przed siebie, nieraz schodząc na przerażające manowce i nie wiedząc, czy uda się nam zawrócić. To wszystko nie było łatwe, szczególnie w roku 2020, gdy rzeczywistość wydaje się być zrobiona z papieru ściernego. Ostatecznie jednak – w połowie października – jesteśmy znów na znanych nam ścieżkach. Na razie.

Nigdy dotąd nie myślałam o innych – także obcych – przez pryzmat ich ciał. Nawet własne ciało długo niespecjalnie liczyło się w ogólnym rozrachunku. Jeśli myślałam o tym, kim jestem, to rzadko w roli podmiotu widziałam swoje ciało.

Bardzo późno zrozumiałam, że to poprzez nie jestem obecna w świecie – chyba dopiero wtedy, gdy rodziłam dzieci. Ciąże były czasem, w którym te obce sobie dotąd przestrzenie – moje ciało i mój umysł – znalazły punkty styczne. Gdy w moim ciele budowały się struktury innego, obcego życia – objawił mi się jakiś zbiór wspólny. I pomógł mi zrozumieć, że to ciało jest moją kotwicą w świecie. Poprzez ciało j e s t e m.

Nie pamiętam, gdzie przeczytałam o metaforze głośnych i cichych ciał. Choroba, zwłaszcza tak niepojęta jak COVID-19, czyni ludzkie ciało głośnym. Zajęte przez wirusa organy sygnalizują swoje niezauważalne dotąd istnienie. Ci, którzy chorowali, mówią często o bólu całego ciała. Ich ciała krzyczą.

Maseczki na twarzach są dla mnie ciągłym *memento mori* i doprawdy chciałabym ze wszystkimi rozmawiać o tej śmierci, czy się jej boją i co będzie potem. Chyba zmieniam się w barokowego poetę metafizycznego, za dużo Księgi Hioba, za dużo Eklezjasty tej jesieni w mojej głowie.

Zaleciłabym ich za to Donaldowi Trumpowi, który najwyraźniej postanowił pokonać mit śmiertelnego ciała człowieka. Dedykuję mu cytat z – a jakże – barokowego poety metafizycznego. Daniel Naborowski przestrzegał w wierszu: „A żeś był, nieboszczyka imienia nabędziesz", ja zaś, cytując go, składam wyrazy wielkiego współczucia wszystkim mężczyznom: albowiem to do was, panowie, skierował przesłanie prezydent USA: choruj jak mężczyzna, śmierć jest dla cieniasów! Zauważyliście to, prawda?

Trump nie tylko kobiety łapie za to, za co chce. Również mężczyzn. Ci jednak zaskakująco często się nie orientują, że są za cokolwiek trzymani. Tym gorzej dla nich. W uniwersum Trumpa słabość, a taką niewątpliwie jest choroba, nie ma racji bytu. Stąd triumfalny pochód przez prezydencki covid: wyzdrowieć w cztery dni powinien każdy prawdziwy mężczyzna. Boisz się choroby? Czujesz słabość w starciu z nią? Cóż, może nie jesteś wystarczająco męski, myślałeś o tym?

Toksyczne wzorce męskości reprezentowane przez Trumpa wywierają gigantyczny negatywny wpływ na zdrowie i życie wielu mężczyzn. Pokazowa lekcja (nie)chorowania na COVID-19 to tylko kolejny tego przejaw. Patrzyłam na tego starszego, otyłego, sapiącego mężczyznę, jak teatralnym gestem zdziera z pomalowanej na pomarańczowo twarzy maseczkę (namordnik?), salutując ojczyźnie w końcu wolny od krępujących go więzów, i było mi żal wszystkich nieszczęśników, którzy pod wpływem patriarchalnych kodów nie pójdą na czas do lekarza, nie rzucą picia, palenia, nie zadbają o swoją wagę, nie zmierzą ciśnienia, nie zbadają na czas prostaty, płuc i wątroby, nie przestaną się katować nieodpowiednim dla nich wyczynowym sportem, nie pójdą do psychiatry, nie porozmawiają z kimś bliskim. Trump pokazał, jak się obchodzić z przejawami słabości: eliminować je za wszelką cenę, nie licząc się z konsekwencjami.

Ten wzór walki z chorobą trzeba piętnować, dostrzec jego szkodliwość, koszmarny wpływ, bo inaczej... „dźwięk, cień, dym, wiatr, błysk, głos, punkt – żywot ludzki słynie" – barokowi poeci są najlepsi na jesień. Dobrze ich sobie poczytać nim inni poeci napiszą przedwcześnie nasze epitafia. Wszak *memor esto quoniam mors non tardat* (pamiętaj: śmierć się nie ociąga) – wnet i tak zginiemy w zupie. Ale lepiej później niż już. ©

REKLAMA

pomóż → PMM.ORG.PL

Polska Misja Medyczna

66% dzieci
poniżej 5. roku
życia w Senegalu
cierpi na anemię.

uwaga

WIARA

KSIĄDZ MICHAŁ NA WOJNIE

Oto historia o nawróceniu na tradycję. I bezsile instytucji.

STANISŁAW ZASADA

ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA GAZETA

Ksiądz Michał Woźnicki poglądy ma wyraziste. O papieżu Franciszku mówi: „W historii Kościoła byli papieże heretycy". O ostatnim soborze: „To zamach na Kościół". O współczesnej mszy: „Trucizna dla katolickiej wiary. Lepiej na nią nie chodzić". O uchodźcach: „Współcześni Hunowie". O liberalizmie: „Śmiertelna choroba. Jest grzechem". O ojcu Rydzyku: „Sieje w Polsce protestantyzm".

Generał salezjanów wyrzucił go z zakonu. – To zemsta za to, że bronię katolickiej wiary – uważa ks. Michał. Poznańscy salezjanie chcą go usunąć z klasztoru. Gdy odmówił wyprowadzki, poszli do sądu. To bodaj pierwszy w Polsce proces o eksmisję księdza.

KAZANIE O ŻYDACH

„To, co jest nam dzisiaj podane jako dialog, to nie jest dialog w ramach Kościoła katolickiego z Żydami. Tylko dialog Żydów z Żydami. Ci, którzy się nam jawią jako przedstawiciele strony katolickiej, to nie katolicy, to są Żydzi. I oni dialogują z samymi sobą. Bo katolik z Żydem nie ma jak dialogować. Musi się przed nim bronić".

Disco polo i Pavarotti

Nawrócił się w piwnicy. Pomiędzy stertą węgla i słoikami po kapuście leżała oprawiona w czarne płótno gruba księga. Otworzył, w rękach trzymał stary mszał z roku 1907. Wertował pożółkłe kartki: Chrystus na krzyżu, obok Matka Boża i apostoł Jan, bogato zdobione inicjały, staranny druk, wszystko po łacinie.

Porównał z nowym mszałem, którego używał do odprawiania współczesnej mszy. W starej liturgii tajemnica, misterium, prawdziwa katolicka wiara. A w obecnej czysty protestantyzm. Zrozumiał, że przez kilkanaście lat tkwił w błędzie, był jak heretyk. Gdy przekonał się do starej mszy (kapłan celebruje ją po łacinie, twarzą zwrócony do tabernakulum, plecami do wiernych), poczuł się, jakby z disco polo poszedł na koncert Pavarottiego. Złożył ślub, że nowej mszy więcej nie odprawi. Diabelstwa się nie tknie.

KAZANIE O KORANIE

„I znalazłbyś tysiąc katolików, którym by podstawiono Koran. Może by na niego nie napluli, bo to tak jakoś nieładnie. Ale nie pocałowaliby nigdy. A on tak! Oni by wiedzieli. A on jako papież nie. Czemu? Bo głupi liberał".

Po bułki w sutannie

Po zakupy do Żabki chodzi w sutannie – księdzu, który broni wiary przed zakusami modernizmu, nie wypada nosić świeckiego stroju.

W średnim wieku, w okularach. Kulturalny. Ciepły, miły głos. Czasem go podnosi. Jak wtedy, gdy na byłego przełożonego polskich salezjanów wydzierał się na cały kościół: „Kozi synu!", „Gnoju!". O bracie z zakonu powiedział: „Łysy grubas". „Tchórzliwy pachołek" – to o biskupie kaliskim Edwardzie Janiaku. Nie za to, że krył księży pedofilów. Ale że poszedł do sądu w garniturze i pozwolił sędziemu zwracać się do siebie „pan".

Przełożeni już kilka lat temu zakazali mu „głoszenia Słowa Bożego, czyli przedstawiania wiernym w imieniu Kościoła, »w co należy wierzyć i co trzeba czynić dla chwały Bożej i zbawienia ludzi«". Zakaz ma za nic. Kazania rozpowszechnia na YouTubie. Ma za to wiernych zwolenników. Kilkanaście osób. Przychodzą na jego msze, chodzą z nim na pielgrzymki, przynoszą obiady. Nazywają siebie „obrońcami tradycji katolickiej".

KAZANIE O PEDOFILII

„Ksiądz winien iść pod osąd Kościoła i kościelnego sądu. Bo tak kazała katolicka wiara: budować takie instytucje, łącznie z więzieniami dla księży. Bo mimo wszystko ten, który tej zbrodni dokonał, to jest ksiądz, jest wyświęcony. I w związku z tym karanie jego nie idzie na linii: to taki sam śmiertelnik jak ja. Bo tak myśli liberał, nigdy nie katolik. Nie jesteśmy równi wobec prawa".

Piątką do nieba

Patrzą z portretów. Młodzi, chłopcy właściwie jeszcze. Cała piątka w marynarkach, pod krawatami. Przed każdym znicz. Obok księga, do której można ↦

Ks. Michał Woźnicki podczas zorganizowanej przez siebie publicznej modlitwy o przywrócenie mszy trydenckiej, Poznań, 14 lipca 2020 r.

↦ wpisać pobożną prośbę albo podziękowanie. Czesław Jóźwiak, Edward Kaźmierski, Franciszek Kęsy, Edward Klinik i Jarogniew Wojciechowski byli przed wojną wychowankami oratorium księży salezjanów przy ulicy Wronieckiej w Poznaniu.

Oratoria to rodzaj świetlicy, pomysł księdza Jana Bosko. W połowie XIX w. chodził po Turynie, spotykał włóczących się bez celu wyrostków – bez szkoły, bez pracy. Dał im dach nad głową, zajęcie, mogli się uczyć. Tak powstało Towarzystwo Salezjańskie, które zajmuje się młodzieżą. Założyciel propaguje nowoczesny jak na tamte czasy model wychowania: zakazuje kar cielesnych, nie prawi morałów. „Żadne kazanie nie jest bardziej skuteczne od dobrego przykładu" – powtarza Bosko.

Salezjanie to jeden z najliczniejszych zakonów na świecie. Prawie sto lat temu przybyli do Poznania. Dostali gotycki kościół po dominikankach na rogu Masztalarskiej i Wronieckiej. Garną się do nich starsi i młodsi chłopcy z okolicy. Rano służą do mszy, po południu odrabiają lekcje, grają w ping-ponga, ganiają za piłką. „Mój drugi dom", będą mówić.

Jóźwiak, Kaźmierski, Kęsy, Klinik i Wojciechowski też przychodzą. Gdy Poznań zajmują Niemcy spod znaku swastyki, konspirują – salezjanie zaszczepili im patriotyzm. Gestapo wszystkich wyłapie, nazistowski sąd skaże na śmierć. „Do zobaczenia w niebie" – piszą ołówkiem ostatnie słowa do bliskich. W więzieniu w Dreźnie jest 24 sierpnia 1942 r. Za chwilę kat zaprowadzi ich na gilotynę. Najstarszy ma 23 lata, najmłodszy nie skończył 20. Jan Paweł II ogłosi ich błogosławionymi. „Poznańska Piątka", mówią o nich poznaniacy.

Oratorium już nie ma. W domu zakonnym mieszkają studenci. Kościół na Wronieckiej popadł w zapomnienie. Podobno salezjanie mieli nawet przebąkiwać, że gdyby nie kult „Poznańskiej Piątki", oddaliby świątynię. Głośno zrobiło się znów pięć lat temu – na Wroniecką przyjechał ksiądz Woźnicki.

KAZANIE O JANIE PAWLE II

**„Dlaczego święty od zaraz?
Dlaczego otworzył różne granice
czy wiele granic? Papież przyjaciel
wszystkich ludzi. Wszystkich?
Nie tylko ludzi, ale papież, który jest
gotowy okazać przyjaźń wobec tego
wszystkiego, za czym ten człowiek stoi,
który jest jego przyjacielem.
Wprost: papież wszystkich ideologii,
wszystkich religii, wszystkich wyznań".**

Nawrócił się w piwnicy. Pomiędzy stertą węgla i słoikami po kapuście odnalazł mszał z roku 1907. Zaczął czytać.

Wymodliła babcia

To babcia Stanisława miała wymodlić wnuka księdza. Tak uważa siostra Michała Woźnickiego. Urodzony w 1966 r. w Ostrowie Wielkopolskim wnuk idzie jednak po maturze do wojska (służba była obowiązkowa), studiuje prawo. Na trzecim roku czyta „Miłość i odpowiedzialność", książkę Karola Wojtyły. „Być czystym znaczy: mieć »przejrzysty« stosunek do osoby drugiej płci" – pisze przyszły papież. Po lekturze Michał zrywa z dziewczyną, idzie do seminarium.

Kilka lat później. Leży krzyżem na posadzce świątyni. Za chwilę będzie przyrzekał biskupowi „cześć i posłuszeństwo". Tak 20 lat temu diakon Michał Woźnicki został księdzem. Posłuszeństwo przyrzeka też zakonnym przełożonym.

Pracuje w salezjańskiej parafii na Dolnym Śląsku, w Irlandii uczy się angielskiego, w Sudanie głosi ewangelię czarnoskórym plemionom na południu, prześladowanym przez muzułmański rząd z północy, w Rzymie studiuje i oprowadza pielgrzymów po katakumbach. Wraca do kraju: Wrocław, Środa Śląska, wreszcie Marszałki pod rodzinnym Ostrowem – to tutaj znajdzie stary mszał.

Marszałki to miejsce wyjątkowe: w czasach stalinowskich więziono w klasztorze bp. Antoniego Baraniaka, też salezjanina, bliskiego współpracownika prymasa Wyszyńskiego. Salezjanie mają tu parafię, ale nie są jej w stanie utrzymać. Latem 2015 r. oddają ją księżom diecezjalnym. A ksiądz Woźnicki przyjeżdża na Wroniecką. Z życiową misją.

KAZANIE O EKUMENIZMIE

**„Ekumenizm to jest diabelska pułapka
dla Kościoła, żeby nie napiętnował
heretyków. Przez co daje możliwość
heretykom nawrócić się i zbawić.
I każdy papież, każdy biskup,
który prowadzi dni ekumeniczne,
tak naprawdę nie miłuje Boga i bliźnich.
Bo sobie dał zamknąć gębę".**

Plecami do wiernych

Księdza Michała nie ma na świecie, gdy w Watykanie kardynałowie i biskupi debatują, jak odnowić Kościół, żeby był zrozumiały dla współczesnego świata. Jedna z decyzji: trzeba uprościć liturgię. Kościół rezygnuje ze starego mszału. Zamiast łaciny – języki narodowe. W miejsce dotychczasowych ołtarzy, stojących przy ścianie – nowe, na środku prezbiterium, przypominające stół. Stojący zaś przed tabernakulum kapłan, który szepce pod nosem niezrozumiałe modlitwy, ma odwrócić się w stronę wiernych.

Rewolucja nie wszystkim się podoba. Francuski arcybiskup Marcel Lefebvre po staremu celebruje nabożeństwa plecami do wiernych, po łacinie, zakłada Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X. Żeby zostawić następców, w 1988 r. wyświęca czterech biskupów. To wbrew kościelnym przepisom – biskupów mianuje tylko papież. Jan Paweł II nie ma wyjścia: ekskomunikuje francuskiego arcybiskupa.

W Bractwie rozłam: tradycjonaliści, którzy chcą być wierni papieżowi, zakładają Bractwo Kapłańskie Świętego Piotra. Zostają przy tradycyjnej mszy, ale nie uznają schizmy Lefebvre'a. Dlatego za patrona obierają apostoła Piotra – każdy kolejny papież to jego następca.

– Łamistrajki – zżyma się na nich Woźnicki.

A lefebryści robią swoje. I choć Benedykt XVI zdejmie z nich kościelną klątwę, polscy biskupi zakazują chodzić na ich msze. Ksiądz Michał też ma do nich pretensje: – Nie potrzebują takiego księdza jak ja.

KAZANIE O KUBIE KATOLIKU

**„A Kuba katolik, jakby nie rozerwał szat,
jakby nie wziął szabelki
– Prać, Panie Jezu? Prać! Łby ciąć? Ciąć!
– toby podczas rewolucji soborowej
w bazylice Świętego Piotra padł.
A głupi polski episkopat nie!
I głupi polscy księża nie!".**

Kronika walki

Tak więc pięć lat temu ksiądz Woźnicki przyjeżdża do Poznania. Przywozi ze sobą stary mszał, który znalazł między węglem i słoikami po kapuście. Zaczyna walkę o powrót dawnej mszy.

3 sierpnia 2015: na ołtarzu stawia krzyż. Przełożony krzyż zdejmuje. Kłócą się.

Październik: na Wroniecką przyjeżdża współpracownik generała salezjanów. Woźnicki wygarnia mu, że głosi heretyckie kazania. Doradca generała wysłał go na badania psychiatryczne. Ksiądz Michał: – Zaczęto mnie traktować jako czubka.

15 maja 2016, uroczystość Zesłania Ducha Świętego: Woźnicki wytyka w kazaniu, że jego salezjańscy współbracia słuchają spowiedzi albo zbierają tacę w strojach cywilnych, a powinni w sutannach. Prosi Ducha Świętego, żeby obronił Kościół „przed zeświecczeniem". Przełożeni zakazują mu odprawiania samodzielnie mszy, czytania ewangelii, głoszenia kazań. – Zostałem wyrzucony z kościoła jak pies – mówi.

Sierpień: w Licheniu uczy się odprawiać mszę trydencką.

Październik: zgromadzenie wysyła Woźnickiego do sióstr urszulanek w Sokolnikach pod Poznaniem – ma być kapelanem. Jedna z sióstr wyciąga rękę po komunię, ksiądz odmawia, hostię podaje jej do ust. Nie podoba mu się, że zakonnice przyjmują komunię na stojąco. Kupuje klęcznik – chce go podarować pod choinkę, żeby wszyscy klękali do komunii. Siostry prezentu nie chcą. Po sześciu tygodniach wraca do Poznania.

Grudzień: na powitanie słyszy, że nadal nie może sam odprawiać mszy ani głosić kazań. Wolno mu tylko stać przy ołtarzu, gdy nabożeństwo celebruje inny ksiądz. Woźnicki się nie zgadza. Odprawia mszę trydencką w swojej celi. Składa ślub, że nowej mszy więcej nie odprawi.

Czerwiec 2017: na Wroniecką przyjeżdża z Rzymu generał salezjanów. Woźnicki żali mu się, że współbracia oskarżają go o chorobę umysłową. Prosi o przywrócenie mszy trydenckiej w kościele. Tłumaczy, że taką odprawiał ksiądz Bosko, do takiej służyła „Poznańska Piątka".

Lipiec: idzie pieszo do Częstochowy. Z intencją, żeby stara msza wróciła na Wroniecką.

4 sierpnia: jest zgoda, msza trydencka znów może być sprawowana codziennie na Wronieckiej. Odprawia ją ks. Woźnicki. O szóstej rano. Przychodzi po kilka osób.

– Przywrócono ją na zasadach suweniru – mówi. – Jako jedną z atrakcji Starego Miasta, na którą przyjdą wierni i dadzą pieniądze. Nie liczono się, że msza święta w tradycyjnym rycie rzymskim wiąże się z powrotem kapłana do nauczania, którego Kościół się trzymał przez dwa tysiące lat.

21 grudnia: salezjanie wywieszają na drzwiach kościoła kartkę, że mszy trydenckich na Wronieckiej nie będzie. Ksiądz Michał ma jechać do salezjanów w Marianówce, pod czeską granicę. Nie jedzie.

22 i 23 grudnia: Woźnicki odprawia na chodniku, pod drzwiami kościoła, na walizce.

24 grudnia, Wigilia: odprawia w holu klatki schodowej klasztoru. Za ołtarz służy mu pianino.

Sierpień 2018: czyta list z Rzymu: „z powodu uporczywego nieposłuszeństwa prawnym nakazom przełożonych" generał salezjanów wyrzuca go ze zgromadzenia. Nie wolno mu odprawiać mszy, nie może też mieszkać w domu zakonnym. Zakazami się nie przejmuje: odprawia u siebie, nabożeństwa umieszcza na YouTubie, domu nie opuszcza. – Jestem salezjaninem. Złożyłem śluby wieczyste – mówi.

30 września–1 października: z grupą zwolenników jedzie z pielgrzymką „tradycji katolickiej" do Gietrzwałdu na Warmii. W czasie zaborów miała się tam objawić Matka Boża.

Czerwiec 2019: dostaje wezwanie do sądu w sprawie opuszczenia domu salezjanów. Mówi: – Nie wyrzucili moich rzeczy, bo rozszedłby się medialny smród, że jest tu prześladowany ksiądz.

6 września: w poznańskim sądzie rozpoczyna się rozprawa o eksmisję.

28 września: pierwsza pielgrzymka księdza Michała i jego zwolenników do sanktuarium maryjnego w podpoznańskich Tulcach. Modlą się „o przywrócenie mszy świętej w tradycyjnym rycie rzymskim" w kościele przy Wronieckiej. W tej intencji pielgrzymować będą w każdą ostatnią sobotę miesiąca. Dziesięć kilometrów pokonują pieszo. Z drewnianym krzyżem.

20 marca 2020: pustymi ulicami Poznania (z powodu epidemii) prowadzi drogę krzyżową. Mówi o zarazie, która od pół wieku (tyle czasu sprawowana jest nowa msza) toczy Kościół.

25 marca: „Nakazujemy natychmiastowe zlikwidowanie pomieszczenia noszącego znamiona nielegalnie utworzonej, prywatnej kaplicy i zakazujemy sprawowania tam mszy świętej oraz jakichkolwiek innych sakramentów" – pisze do ks. Woźnickiego w imieniu abp. Stanisława Gądeckiego bp Grzegorz Balcerek. Metropolita poznański nakazuje Woźnickiemu „zlikwidowanie tabernakulum" i zabrania „przechowywania Najświętszego Sakramentu".

Ksiądz Woźnicki odpowiada biskupowi w kazaniu: „Czy mam być heretykiem jak ty, tchórzem jak ty, zaprzańcem Boga i Kościoła jak ty?".

12 kwietnia, Wielkanoc: podczas procesji rezurekcyjnej chce wnieść monstrancję z Najświętszym Sakramentem do kościoła, ale drzwi są zamknięte. – Salezjanie zamykają przed Panem Jezusem drzwi na klucz – mówi.

24 maja: po zakończeniu mszy na dziedzińcu salezjanów interweniuje policja, ponieważ funkcjonariusze dostali zgłoszenie, że kilkanaście osób modli się bez maseczek. Ksiądz Woźnicki tłumaczy, że nie zakładają masek, bo „mdleją".

27 sierpnia: tym razem ks. Woźnicki sam wzywa policję i pogotowie – po tym, gdy jeden z salezjanów miał wtargnąć do kaplicy w czasie mszy, zabrać z pulpitu mszał i rozpylić wśród uczestników nabożeństwa gaz.

KAZANIE O NOWEJ MSZY

**„Chcemy ofiary mszy świętej,
a nie posoborowej,
żydowsko-protestanckiej uczty
na chwałę piekła i jego aniołów.
Jedyna wiara, która daje zbawienie,
to święta katolicka wiara,
która szerzy się w tym świecie
przez sprawowanie ofiary mszy świętej
w tradycyjnym rycie rzymskim".**

W celi wojownika

Jezus przybity do krzyża, Jan Bosko z małym chłopcem, ojciec Pio. Jest też Matka Boża z Dzieciątkiem na jednym ręku, różańcem w drugim – zasiadła na półksiężycu, który wieńczy kopułę meczetu. Pod obrazem: „Maryjo, Pogromicielko islamu i wszelkich herezji, módl się za nami!".

Tak wygląda kaplica-cela, w której ks. Woźnicki odprawia trydenckie msze. Ołtarz zrobił sam. Tabernakulum ktoś mu podarował. Monstrancję kupił za pieniądze, które zebrał w Gietrzwałdzie. Ciasno. Dla wiernych kilka krzesełek. Jest klęcznik, którego nie chciały urszulanki.

Więcej osób uczestniczy w nabożeństwach zdalnie. Msze transmitowane są ↦

↦ na stronie internetowej księdza Woźnickiego – wobroniemszy.pl. Tytuły zakładek jak z podręcznika sztuki wojennej: „Walka o Mszę Świętą", „Patroni walki". Wśród tych ostatnich arcybiskup Lefebvre. Ksiądz Michał sam bywa nazywany przez swoich zwolenników „wojownikiem".

▪ KAZANIE O WALCE Z HERETYKAMI

„Upraszam łaskę dla tych odważnych mężów Bożych, którzy muszą przyjść, kiedy padnie gong, padnie salwa, Bóg da znak, Matka Najświętsza da znak, że domaga się od nas czegoś więcej. Czynu i przelania krwi, by odbić Kościół z rąk herezji i heretyków".

Ksiądz na wokandzie

Do sądu idzie w sutannie, z brewiarzem. Przed rozprawą klęka pod drzwiami kościoła, odmawia różaniec, prosi o „miłosierdzie Boże dla sądu". – Idę z radością – uspokaja wiernych. Na korytarzu modlą się głośno.

Na sali sądowej oznajmia, że nie będzie odpowiadał na pytania, jeśli sędzia będzie zwracał się do niego „przez pan". Żąda, żeby mówił: „ksiądz". Sędzia będzie używał formy „pozwany". Następnie ks. Woźnicki oświadcza: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Chciałbym przeprosić Pana Boga za grzech współbraci, którzy sprawę należącą do Kościoła kierują przed urząd wysokiego sądu".

Twierdzi, że pozew jest bezzasadny, bo w domu przebywa jako zakonnik, a ze zgromadzenia został wydalony nieprawnie. Przełożony zaś nigdy nie domagał się od niego zapłaty za czynsz.

Rozprawę można obejrzeć na YouTubie. Nagrywał ktoś ze zwolenników ks. Woźnickiego. Kamera kilka razy pokazuje dobrze skrojony garnitur przełożonego i eleganckie lakierki.

Proces się wlecze. – Nawet hieny dziennikarskie przestały się interesować – zauważa po trzeciej rozprawie ks. Woźnicki. Czwarta miała się odbyć 29 kwietnia. Przełożono ją z powodu epidemii.

We wrześniu ksiądz Michał dostaje pismo, że sąd zamierza ogłosić wyrok na posiedzeniu niejawnym. Odwołuje się: chce, żeby sąd prowadził dalej postępowanie i uwzględnił wydarzenia w domu zakonnym z ostatnich siedmiu miesięcy. Jest dobrej myśli: – Nade mną czuwa Pan Bóg.

Oprócz kłopotów z przełożonymi ma wiernych zwolenników. **Nazywają siebie „obrońcami tradycji katolickiej".**

▪ KAZANIE O OBRONIE ŻYCIA

„Jeżeliby za zabicie dziecka poczętego istniała groźba kary śmierci, kobieta nie zgodzi się na podżeganie do zabójstwa, nie pójdzie do ginekologa, żeby jej zabił dziecko, bo się boi tego zapisu, że kara śmierci ją czeka i lekarza, który tego dokonał".

Jesteśmy sektą

W domu zakonnym salezjanów wiszą wielkie kartki opatrzone tytułem „Cechy sekt". Poniżej fragmenty książki „Sekty w Polsce a młodzież". Autor, ks. Władysław Nowak, pisze: „Najbardziej wyróżniającą się cechą sekt jest gorliwość, z jaką członkowie prowadzą działalność rozpowszechniającą swe koncepcje. Wierząc, że tylko oni znają wyłącznie prawdę o Bogu i o jedynym posłaniu, które świat »pragnie« usłyszeć i bez którego jest »skazany na zagładę i potępienie«. Wysuwają oni twierdzenie, że prawdziwe zbawienie można znaleźć zostając ich członkiem i w ten sposób akceptując ich wierzenia. Lider wspólnoty staje się guru sekty i on sam zaczyna mieć przeświadczenie o swojej wyjątkowości".

Ksiądz Woźnicki skomentuje to w kazaniu z rozbawieniem: „Jedna rzecz jest znamienna, że w zasadzie z punktu, który mówi: »tylko oni uważają, że mają prawdę«, wynika, że całe chrześcijaństwo jest sektą. No i tak jest prawdziwie. Żydzi tak nazywali chrześcijan. I dla Żydów dalej nią jesteśmy".

I na poważnie: „Przestrzegają owi salezjanie przed samym sobą? Do salezjanów stosują się te zasady, o których piszą? Który złodziej pisze: uważajże, ja złodziej? A jeśli kierowane są do ciebie, to co masz z tego rozumieć? Że przez pięćdziesiąt lat poddany byłeś praniu mózgu. Że ci, którzy przedstawiali ci się jako wzorce, nie stawali jako wzorce świętego Kościoła".

Chciałem spytać salezjanów, czemu to wywiesili. Nie chcieli rozmawiać.

▪ KAZANIE O KORONAWIRUSIE

„Ogłoszono nam powszechną zarazę czy powszechną epidemię strachu? Bo tego drugiego możemy być pewni: powszechnej epidemii strachu – mogę się zarazić, mogę zarazić ciebie – wsianego w cały świat".

Ksiądz przesłuchuje policjantów

Policja dostaje zgłoszenie, że uczestnicy nabożeństwa majowego, które ks. Michał odprawia na podwórku, nie mają maseczek. Przyjeżdża dwuosobowy patrol.

– Proszę zdjąć maskę, żebym zobaczył pana twarz. Inaczej mam pana za zbrodniarza, za przestępcę – Woźnicki nakazuje jednemu, potem drugiemu funkcjonariuszowi. Policjanci opuszczają maski. Duchowny wita się z nimi przez podanie ręki. Każe ściągać rękawiczki. Egzaminuje:

– Kto zgłosił interwencję?

– Nie wiemy.

– Aha, to tak panowie na „kto nie wie" przyjeżdżają?

– Nas wysyła dyżurny – tłumaczy policjant.

– A dyżurny wie? To proszę zadzwonić do niego i zapytać – ksiądz wskazuje stanowczo palcem.

Podchodzi do polowego ołtarza i pomaga składać ministrantowi sprzęt liturgiczny.

– Panowie na mszy świętej już dzisiaj byli czy będą? – przepytuje dalej funkcjonariuszy. Wraca do maseczek.

– Pan wie, że pan się zatruwa wydechami swoimi?

– Jest rozporządzenie ministra i musimy tego pilnować.

– A jakby ten minister kazał panu na głowie stać, też pan będzie stał? Albo jak będzie kazał, żeby do interwencji pan spodnie zdjął, to pan zdejmie?

– To jest moja strefa intymna.

W końcu daje dojść policjantom do głosu. Sam odpowiada za wiernych, że nie nakładają maseczek, bo mdleją. Policjanci spisują dane księdza, odchodzą.

– Idźcie z Bogiem – żegna ich Woźnicki.

Nagranie z interwencji robi furorę na Facebooku. Rzecznik poznańskiej policji tłumaczy się, że funkcjonariusze „działali taktownie". Internauci naśmiewają się: „Osobę świecką pewnie powaliliby na glebę". „Gazu i pałek zabrakło?".

KAZANIE O OJCU RYDZYKU

**„Radio Maryja i Telewizja Trwam.
O 21 jest Apel Jasnogórski, potem jest coś
tam, a potem są filmy. Jakie to są filmy?
Wszystko to protestancki chłam.
Nie znajdziesz tam eucharystii,
nie będzie Matki Najświętszej,
będzie zredukowana wiara.
Ojciec Rydzyk za to odpowiada!
Liberał z obżartą gębą,
że sieje nam w Polsce protestantyzm".**

Nieme psy

Msza zaczyna się o szóstej, ale mam być kwadrans wcześniej. Jestem pierwszy. Chwilę potem zjawia się starsze małżeństwo. Przyjechali spod Poznania. Są codziennie.

– Żeby usłyszeć prawdę – tłumaczy ona.

– Ksiądz mówi czasem ostro – odzywa się on. – Ale tak trzeba.

Przyszły jeszcze trzy inne kobiety. Od razu zauważają, że jestem nowy. Dzwony wybiły szóstą. Niecierpliwimy się. Po prawie dwóch kwadransach słychać klucz w zamku.

– Wcześniej było tak, że jak zaspałem, to wierni modlili się przed drzwiami kościoła – ksiądz zaczyna tyradę. – A wy stoicie tutaj jak nieme psy! Proszę iść do domu, ksiądz sam mszę odprawi.

Wszyscy patrzą po sobie. Klękają na chodniku przed kościołem, mówią na głos różaniec. „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Mario" po łacinie. Po polsku po każdej dziesiątce: „O Maryjo, bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy, i za wszystkimi, którzy się do Ciebie nie uciekają, a zwłaszcza za masonami".

Zjawia się ksiądz. – Gdybym nie słyszał, że się modlicie, odprawiłbym sam.

Prowadzi do swojej kaplicy. Kobiety nałożyły na głowy chusty, jak na audiencji u papieża.

– Trzy lata ćwiczony scenariusz i niezdany egzamin – ksiądz wraca do incydentu sprzed mszy. – Salezjanie naprawdę walczą z mszą świętą, żeby tu nie wróciła. Nuncjusz, arcybiskup i inni. Z ich strony to nie jest zabawa, to jest walka. A jeszcze mają po swojej stronie prawdopodobnie papieża. Jaką siłę stanowimy? Tylko taką, jeżeli oprzemy się o Pana Boga, o Matkę Najświętszą.

Komunia tylko do ust – ksiądz na rękę nie udziela. „Ite missa est" – słyszę wreszcie formułkę na zakończenie.

Za szybko się ucieszyłem. Jeszcze „Godzinki do Matki Bożej", „Kiedy ranne wstają zorze", „Litania do Najświętszego Serca Pana Jezusa". Wszystko na klęczkach. Ledwo wytrzymuję.

Zgadza się na rozmowę. Mówię, że pisuję do „Gazety Wyborczej", „Tygodnika Powszechnego". – Ścieki – ocenia.

Ale częstuje kawą w eleganckiej filiżance, sadza w najlepszym fotelu. Opowiada ze szczegółami, jak w piwnicy znalazł stary mszał i jak oczy mu się otworzyły; o tym, jak przełożeni go źle traktują, o wyższości mszy trydenckiej nad posoborową. Pokazuje obraz Maryi Pogromicielki Islamu (kolaż zrobiony ze starego proporca maryjnego ze współczesnymi elementami). Dostał od „pobożnych Polaków" z Salzburga.

– Wykonali go, gdy przez to mozartowskie miasto przechodzili współcześni Hunowie. Wierzą, że to Matka Boża ich uratowała przed nachodźcami, którzy poszli dalej – opowiada. Ma na myśli uchodźców, którzy w 2015 r. uciekali z ogarniętej wojną Syrii.

Siedzę do południa. Ksiądz zaprasza na mszę, gdybym kiedyś miał ochotę. Przeprasza, że nie zrobił śniadania.

KAZANIE O WYBORACH

**„Głosuję na Jezusa.
Nie ma Go na liście. Nie idę".**

Szaweł czy Paweł

Na drugi dzień ksiądz ma wątpliwości, czy dobrze zrobił, że ze mną rozmawiał. Rozterkami dzieli się z wiernymi. „Mógłby służyć piekłu, mógłby służyć niebu", charakteryzuje mnie w kazaniu.

Nie zdradza, dla kogo pracuję. „Bo byście z krzesełek pospadali". Ale daje mi szansę, nie przekreśla: „Być może Szaweł, który stanie się Pawłem".

© STANISŁAW ZASADA

Fragmenty kazań i wypowiedzi księdza Michała Woźnickiego pochodzą ze strony **wobroniemszy.pl.**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraków
kbf: operator programu
KRAKÓW UNESCO CITY OF LITERATURE
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
ORGANIZATORZY
CONRADFESTIVAL
TYGODNIK POWSZECHNY
allegro
PARTNERZY STRATEGICZNI FESTIWALU CONRADA 2020

wylicytuj portret Conrada
i wesprzyj Festiwal Conrada

nadal możesz – aukcja trwa do 25 października do godz. 21

weź, licytuj na allegro.pl/zobacz/conradfestival

albo kup teraz cegiełki na rzecz festiwalu z reprodukcją obrazu Albina Talika:
„karnet dobrej woli" – torbę na zakupy,
„bilet dobrej woli" – pliki do samodzielnego tworzenia t-shirtów,
pinsów, zakładek, magnesów i plakatów

Koncept pustej przestrzeni

PIOTR ADAMEK SVD

Po dwóch latach bilans tajnego porozumienia Watykanu z władzami Chin wypada niejednoznacznie. Papież jest jednak zdeterminowany, by je przedłużyć.

Nie wiem, czy to zrozumiesz – powiedział mój chiński przyjaciel Zhang – ale dla nas Chińczyków pustka oznacza życie, z pustki wszystko powstaje. Wiersz jest najpiękniejszy tam, gdzie kończą się słowa; muzyka tam, gdzie cichnie dźwięk; najwięcej można zobaczyć na obrazie tam, gdzie nie dotarł pędzel. Pustka jest pustką, ale otwiera na nowe możliwości, budzi nadzieję. Dobrze, że jest.

Minęły dwa lata od podpisania w Pekinie we wrześniu 2018 r. pierwszego w historii „tymczasowego" porozumienia między Stolicą Apostolską i Chińską Republiką Ludową. Jego treść do dziś nie została podana do wiadomości publicznej, budząc wiele domysłów, obaw i nadziei. W ostatnich tygodniach, ze względu na prawdopodobne przedłużenie porozumienia na następne lata, pojawiło się wiele komentarzy omawiających jego rezultaty i próbujących nakreślić perspektywy. Przypominają one często interpretacje pustej przestrzeni na chińskim obrazie.

Polityka religijna

Aby zrozumieć sytuację, w jakiej podpisano porozumienie, należy wspomnieć, że od końca rewolucji kulturalnej (1966-76) Chiny prowadzą konsekwentną politykę (anty)religijną. Konstytucja ChRL z 1982 r. gwarantuje wszystkim obywatelom wolność religijną i ochrania „normalne" religijne praktyki, tzn. sprawowane w nadzorowanych przez państwo organizacjach, nieszkodzące porządkowi społecznemu i niekontrolowane z zagranicy. Do tej kategorii z zasady nie należą niezarejestrowane grupy religijne, jak np. liczne protestanckie „kościoły domowe", czy wspólnoty religijne, którym zarzuca się separatyzm, jak np. muzułmanie w Xinjiangu. Jedną z podstawowych zasad chińskiej polityki religijnej jest też zakaz jakiegokolwiek administracyjnego i finansowego wpływu spoza ChRL oraz niezgoda na prowadzenie ewangelizacji przez zagranicznych misjonarzy.

Działalność religijna w ChRL może odbywać się tylko w określonych miejscach. W praktykach religijnych nie mogą uczestniczyć dzieci i młodzież do lat 18. Chiny do dzisiaj nie uchwaliły prawa wyznaniowego i wszystkie sprawy związane z religią są regulowane uchwałami Komunistycznej Partii Chin i władz lokalnych. W konsekwencji, podczas gdy np. w Pekinie prawo jest surowo egzekwowane, w wielu oddalonych miejscowościach władze bywają bardziej tolerancyjne. Jednak od przejęcia osiem lat temu władzy przez Xi Jinpinga wyraźnie zaostrzono kontrolę nad wspólnotami religijnymi, dążąc do ich pełnej „sinizacji", tzn. pełnego podporządkowania celom partii komunistycznej.

Chrześcijaństwo jest w Chinach prześladowane od dziesięcioleci. Podczas rewolucji kulturalnej wielu kapłanów i wiernych uwięziono i zamordowano. Od lat 80. represje mają bardziej „subtelny" charakter, ograniczając się najczęściej do czasowego aresztowania, zburzenia kościoła czy utrudniania życia. Największym problemem dla Kościoła katolickiego jest jednak forsowany przez władze chińskie rozłam.

Od czasu, gdy w 1957 r. powstało Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich, mające z ramienia rządu kontrolować całą katolicką działalność religijną, Kościół został rozdzielony na oficjalny („patriotyczny") i podziemny („wierny papieżowi"). Ten pierwszy wyświęcił bez zgody papieża wielu własnych biskupów, co spowodowało realne niebezpieczeństwo powstania niezależnego Kościoła narodowego. Ten drugi, bardzo ograniczony w możliwościach praktykowania wiary, był podzielony i targany wewnętrznymi konfliktami.

Wierni obu części Kościoła doświadczali prześladowań, a także w większości podkreślali łączność ze Stolicą Apostolską. Papież wskazywał, że istnieje tylko jeden niepodzielony Kościół katolicki w Chinach, i nawoływał do pojednania. Uznał też przez lata wielu „patriotycznych" biskupów, którzy prosili o przebaczenie. Od 30 lat prowadzony był dialog pomiędzy Watykanem i Chinami, którego efektem stały się nieliczne wspólnie uznane ordynacje biskupie. Jednak co pewien czas władze chińskie podejmowały decyzje o „demokratycznym" wyborze biskupa na własną rękę, a dialog zamierał.

Porozumienie

22 września 2018 r. Stolica Apostolska i Chińska Republika Ludowa zawarły porozumienie, które miesiąc później weszło w życie. Od razu uznano, że będzie ono miało ogromny wpływ na przyszłość Kościoła w Chinach, choć jego treść na prośbę rządu chińskiego nigdy nie została podana do wiadomości publicznej. Prawdopodobnie zasadniczym punktem był kompromis w sprawie wyznaczania nowych biskupów: kandydaci na biskupów mieli być wybierani „demokratycznie" pod kontrolą rządu, papież otrzymał prawo weta.

MARK SCHIEFELBEIN / AP / EAST NEWS

Usuwanie przez rząd chiński krzyży z dachów protestanckich i katolickich kościołów. Chiny, prowincja Zhejiang, lipiec 2015 r.

Krytycy porozumienia wskazywali na ograniczony wpływ papieża na wybór biskupa. Chińscy eksperci z kolei, jak prof. Wang Meixiu z Pekińskiej Akademii Nauk Społecznych, podkreślali, że uznanie prawa papieża do decydowania o nominacjach biskupich jest decyzją bezprecedensową: władze ChRL dotąd zawsze odrzucały choćby ograniczoną „zewnętrzną ingerencję w wewnętrzne sprawy chińskiego Kościoła".

Przypuszcza się też, że jednym z punktów dokumentu było uznanie przez Watykan ośmiu biskupów nielegalnie wyświęconych z poparciem chińskich władz (trzech z nich zostało wcześniej ekskomunikowanych). Ich akceptacja przez Franciszka została ogłoszona w tym samym dniu, co porozumienie. Krytycy tej decyzji uważali, że legitymizuje ona chińskich księży i biskupów, których lojalność pozostaje niejasna, zachęca do kolejnych nielegalnych święceń, skoro i tak będą później uznane, a także dezorientuje chińskich katolików, którzy zawsze ufali Kościołowi. Inni natomiast wskazywali, że po raz pierwszy od 60 lat wszyscy chińscy biskupi (69 oficjalnych i 31 podziemnych) oraz kapłani ich diecezji są we wspólnocie z papieżem, co daje nadzieję na pojednanie różnych części Kościoła. W przesłaniu do katolików chińskich 26 września 2018 r. Franciszek nazwał uregulowanie kwestii nominacji biskupów głównym celem porozumienia i wyraził jedynie nadzieję, że możliwa będzie teraz stabilna współpraca Stolicy Apostolskiej i władz chińskich.

Jednak tajność dokumentu dała okazję do wielu spekulacji. Podejrzewano, że Watykan i Chiny mogły zawrzeć w tajemnicy ugodę np. w sprawie uznania biskupów podziemnych czy zerwania przez Watykan relacji z Tajwanem i nawiązania stosunków dyplomatycznych z ChRL. Stolica Apostolska była oskarżana o zdradę wiernego Kościoła podziemnego i przymykanie oczu na prześladowania religii w Chinach.

Bilans

Niezależnie od porozumienia dotychczasowa polityka religijna władz chińskich była kontynuowana, a sytuacja częściowo się pogorszyła. Najtragiczniejsze informacje nadchodziły z regionu Xinjiang, gdzie w obozach koncentracyjnych przetrzymywano w ostatnich pięciu latach do miliona ujgurskich muzułmańskich „separatystów". Represje w Hongkongu po protestach przeciwko ustawie o ekstradycji do ChRL szczegółowo relacjonowano w mediach.

Ci, którzy oczekiwali polepszenia sytuacji chrześcijan po podpisaniu chińsko-watykańskiego porozumienia, zawiedli się. Nie uchroniło ono Kościoła przed prześladowaniami. Kościoły uznane za nielegalne zamykano, z innych zrywano krzyże. Katolików uczestniczących w „nielegalnych" nabożeństwach i spotkaniach zatrzymywano. W 2019 r. pobito księdza Paula Zhanga za odmowę wstąpienia do Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich; do dzisiaj jest on uważany za „zaginionego". W ostatnich miesiącach dokonywano aresztowań mających wymusić oficjalną rejestrację – m.in. Juliusa Jia, podziemnego biskupa Zhending (prowincja Hebei), a także księdza Liu z diecezji Mindong (prowincja Fujian).

Niepokojące było również ostrzejsze egzekwowanie przepisów zakazujących edukacji religijnej dzieci do 18 lat (nawet przez rodziców), zabraniających dzieciom i młodzieży uczestniczenia w obrzędach religijnych i wakacyjnych obozach kościelnych. Wzmocniono też kontrolę respektowania zakazu sprzedaży literatury religijnej. Najwyraźniej porozumienie nie miało wpływu na osłabienie restrykcji.

Jedyny znany punkt dokumentu realizowano w stopniu ograniczonym. W ciągu dwóch lat mianowano tylko pięciu nowych biskupów, ponad 40 diecezji pozostaje nieobsadzonych. Z drugiej strony, chociaż porozumienie prawdopodobnie nie dotyczyło biskupów „podziemnych", w ciągu dwóch lat chińskie władze uznały siedmiu z nich. Stolica Apostolska zachęcała wspólnoty podziemne do oficjalnej rejestracji, podkreślając, że nie stoi ona w sprzeczności z wiarą. Wielu wiernych Kościoła podziemnego nie ufa jednak władzy, a nawet uważa, że Watykan ich „sprzedał". Tym bardziej że niektórzy lokalni urzędnicy z nich szydzą, powołując się na tekst porozumienia.

Krytycy porozumienia wskazują, że ceną za nie jest też milczenie papieża na temat prześladowania religii w Chinach, czystek etnicznych w Xinjiangu i Tybecie czy w sprawie Tajwanu. Niedawno amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo w czasopiśmie „First Things" oficjalnie ↦

wezwał Franciszka do potępienia religijnych prześladowań w ChRL, zaznaczając, że milczenie godzi w jego autorytet moralny. Choć słowa Pompeo wpisywały się w obecną politykę amerykańską, to jednak wielu innym również nie podoba się brak papieskiej krytyki.

Mimo tego Watykan ocenia porozumienie pozytywnie. Głównie dlatego, że otworzyło ono drogę do bezpośredniego dialogu z chińskimi władzami także w innych kwestiach, dotyczących normalizacji życia Kościoła w Chinach czy stosunków dyplomatycznych. Sinolog Francesco Sisci wskazuje, że alternatywą dialogu mogłaby być tylko krucjata przeciwko KPCh, której rezultaty byłyby wątpliwe. Jak podkreśla – nawet św. Jan Paweł II, bohater antykomunizmu, nie prowadził w Polsce krucjaty przeciwko komunizmowi, lecz rozmawiał z gen. Wojciechem Jaruzelskim, mimo że w Polsce Kościół stanowił olbrzymią siłę, w Chinach zaś jest mały i słaby.

Dlatego Watykan od dawna dążył do dialogu. Starano się o otwarcie biura w Pekinie ze stałym przedstawicielem w celu ułatwienia komunikacji z władzami i lokalnym Kościołem – co się udało w przypadku Wietnamu. Już w 1999 r. ówczesny sekretarz stanu kard. Angelo Sodano wspomniał, że Watykan jest gotowy przenieść swoją ambasadę z Tajpej do Pekinu „nie jutro, ale dziś wieczorem, jeśli władze chińskie na to pozwolą". Jak dotąd Chiny nie wyrażały na to zgody.

Porozumienie watykańsko-chińskie wygasa 22 października 2020 r. Jednak już 14 września watykański sekretarz stanu kard. Pietro Parolin potwierdził zamiar jego przedłużenia i wyraził nadzieję na pozytywną odpowiedź Chin. W tym samym dniu Agencja Reutera podała, że papież zatwierdził propozycję odnowienia tymczasowego porozumienia.

Chińska perspektywa

Stanowisko ChRL w sprawie dalszych losów porozumienia nie jest do końca jasne. Rzecznik chińskiego MSZ Wang Wenbin nie potwierdził jego przedłużenia, a jedynie przyznał, że władze kontaktują się w tej sprawie ze Stolicą Apostolską. Porozumienie może być z chińskiej perspektywy korzystne, gdyż pomaga w integracji niezarejestrowanych „podziemnych" wspólnot katolickich i polepsza wizerunek Chin na arenie międzynarodowej, nadszarpnięty po oskarżeniach w związku z pandemią koronawirusa oraz represjami w Xinjiangu i Hongkongu.

Sinologowie podejrzewają jednak istnienie znaczącej różnicy zdań wśród chińskich przywódców, pomiędzy „demokratami", którzy wspierają porozumienie obiecujące większą stabilność w państwie, a „konserwatystami", którzy obawiają się, że dopuszczenie „zagranicznej ingerencji w wewnętrzne sprawy Chin" zagrozi polityce „sinizacji" religii, a w przyszłości nawet całemu chińskiemu systemowi komunistycznemu. Być może dążenie władz do utrzymania treści porozumienia w tajemnicy wiąże się z trudnością wyjaśnienia, dlaczego naruszono jedno z podstawowych założeń KPCh.

Xi Jinping wielokrotnie podkreślał zasadę „niedopuszczenia zagranicznej ingerencji". Prawdopodobnie ze względu na „konserwatystów", kiedy Xi w marcu 2019 r. odwiedził Włochy, nie zdecydował się na spotkanie z papieżem. Obecna decyzja Watykanu o przedłużeniu umowy stawia Chiny pod pewną presją, a ich ewentualna zgoda uważana jest za wskaźnik, czy komunistyczne zasady są jeszcze przez władze chińskie respektowane.

Bilans porozumienia watykańsko-chińskiego wydaje się skromny: mało konkretnych osiągnięć, o wiele więcej oczekiwań, rozczarowań i niepewności, najwięcej – pustej przestrzeni. Ta pusta przestrzeń ma jednak swój sens. Bo jak mówi mój chiński przyjaciel Zhang – misa jest formowana z gliny, ale to pusta przestrzeń w jej wnętrzu dopiero sprawia, że staje się przydatna.

© PIOTR ADAMEK SVD

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, sygn. akt I Ns 717/19, toczy się postępowanie o zasiedzenie udziału 2/40 we współwłasności nieruchomości zabudowanej w Sulejówku przy ul. Poniatowskiego, KW SI1M/00066460/7, należącego do Frady Marksufeld, ostatnio stale zamieszkałej w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby zainteresowani, zwłaszcza spadkobiercy wskazanej, w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci.

Pektorał i gwiazdy

ARTUR SPORNIAK

Metody nowej ewangelizacji rozmijają się ze światem nauki – uważa ks. Michał Heller i proponuje środki zaradcze.

Pektorał to kawałek materiału z kołnierzykiem i koloratką zakładany pod marynarkę i zastępujący księżowską koszulę. Trzeba to wiedzieć, by móc docenić anegdotę opowiedzianą przez ks. Michała Hellera w wykładzie przesłanym na konferencję „Kościół św. Jana Pawła II – niepodległość ducha" zorganizowaną 9 października w warszawskiej siedzibie episkopatu. Wybitny kosmolog wspomina, że podczas jednego z pierwszych letnich konwersatoriów Wojtyły z polskimi naukowcami w Castel Gandolfo dyskutowano o stosunku świata nauki do świata religii. Ponieważ jako ksiądz i naukowiec Heller egzystencjalnie doświadczał „rozejścia się" obu światów, postanowił to obrazowo ukazać. Pożyczył od astronomów z Watykańskiego Obserwatorium T-shirt z nadrukiem wykresu Hertzsprunga-Russella przedstawiającego ewolucję gwiazd. Przed wystąpieniem ubrał tę koszulkę pod pektorał i marynarkę.

„Do swojego odczytu wplotłem wątek o dwu światach i dwu różnych mentalnościach – opowiada ks. Heller. – W odpowiednim momencie powiedziałem, że sam jestem rozdarty pomiędzy te dwa światy. Gdy w Tarnowie wykładam w Seminarium Duchownym, mówię i myślę jak inni seminaryjni wykładowcy. Natomiast gdy jestem w Krakowie w Obserwatorium Astronomicznym lub na naukowym seminarium, myślę i mówię jak inni tam obecni. Ale w pociągu między Tarnowem i Krakowem, gdzieś w połowie drogi, koło Bochni, muszę się przeobrazić". Pektorał da się szybko ściągnąć: efekt był piorunujący!

WOJCIECH PACEWICZ / PAP

Ks. prof. Michał Heller podczas uroczystości odnowienia doktoratu. Katolicki Uniwersytet Lubelski, październik 2016 r.

Dwa światy

W wykładzie „Nowa ewangelizacja a świat nauki" ks. Michał Heller zastanawia się, jak sytuacja wygląda dzisiaj, i konkluduje, że rozdźwięk między światem nauki a światem religii właściwie się tylko pogłębił. O ile dawniej symbolami napięcia były sprawy Galileusza i Darwina, o tyle dziś dochodzi jeszcze – jak przewiduje kosmolog – nowa „sprawa duszy i nauk neurokognitywnych". Dlatego Kościołowi coraz trudniej jest ewangelizować środowisko naukowców. „Trzeba sobie jasno powiedzieć, metody nowej ewangelizacji, tak jak są obecnie praktykowane, »rozmijają się« ze światem nauki" – stwierdza ks. Heller.

Jego zdaniem nie pomogły „doraźne inicjatywy" Jana Pawła II, jak encyklika „Fides et ratio" czy rehabilitacja Galileusza. „Potrzebne są działania długofalowe i sięgające podstaw, by wyhamować i stopniowo odwracać procesy narastające od stuleci". Tarnowski uczony ma tu przede wszystkim na myśli konieczność inwestowania Kościoła w „ludzi pomostowych", czyli kształcenie księży, którzy jednocześnie zawodowo zajmowaliby się naukami przyrodniczymi.

Ale problem z ewangelizacją – zdaniem ks. Hellera – nie ogranicza się do środowiska naukowców. On rozlewa się na całą społeczność, gdyż to naukowcy dostarczają najważniejszych cegiełek do budowania popularnej wizji świata, którą coraz trudniej jest godzić z tradycyjną wizją religijną. Ks. Heller przekonuje, że aktualne jest stwierdzenie: „jaki dzisiaj jest świat nauki, taka jutro będzie reszta świata".

Widać to wyraźnie w szkole, gdzie młodzież szybko „wyzwala się" spod wpływu lekcji religii. „Nasza katecheza – zauważa Heller – nie wytrzymuje konkurencji z tym, czego młodzież uczy się na innych lekcjach i z czym spotyka się potem na wyższych studiach".

To pociąga dalsze mocne wnioski: zasypywanie przepaści między religijnym a współczesnym obrazem świata wymaga „twórczego fermentu w teologii i w ogóle w myśli katolickiej". A on z kolei domaga się „reformy seminariów duchownych i wydziałów teologicznych", ostatecznie zaś „istotnie nowej teologii i filozofii – takich, które potrafiłyby wkomponować się w sposób myślenia współczesnej nauki" – konkluduje uczony i jest to najważniejsze przesłanie jego wykładu. Czy ma ono szanse się spełnić?

Rewolucji nie będzie

Była taka szansa (przynajmniej jeśli chodzi o reformę seminariów), ale nie została ona podjęta. Pod koniec zeszłego roku episkopat zatwierdził „Ratio institutionis sacerdotalis pro Polonia", czyli nowy program kształcenia kleryków. Jego autorzy wskazywany przez ks. Hellera problem rozejścia się „dwóch światów" zauważają, ale nie traktują go priorytetowo. Ma on zostać omówiony jako jeden z wielu tematów podczas tradycyjnego, 30-godzinnego wykładu z metodologii nauki.

Podejście do nauki (akcentowanie wielości nauk i ich metod, które ma pomóc „rozbrajać" nauki przyrodnicze) oraz język (konieczność przezwyciężania „właściwego współczesnej szkole scjentyzmu") zdradza, że „Ratio institutionis" wciąż tkwi w siatce pojęciowej wypracowanej w latach 70., w dawno już przezwyciężonym sporze z neopozytywizmem. Tymczasem w uniwersytetach na Zachodzie w ostatnich latach pojawił się nowy akademicki przedmiot interdyscyplinarny, zajmujący się wprost zagadnieniami, o których mówi Heller: „nauka i religia". On zapewne lepiej przygotowałby kleryków z polskich seminariów do spotkania z kulturą, na którą coraz większy wpływ ma współczesna nauka. ©℗

DNI W PIWNICY

Trwa azersko-ormiańska wojna o Karabach.
Miał być rozejm, ale ledwo się zaczął, został zerwany.

PABLO GONZÁLEZ Z GÓRSKIEGO KARABACHU, MAGDALENA CHODOWNIK

Ulice opustoszały. Życie Stepanakertu, stolicy regionu Górskiego Karabachu, przeniosło się do piwnic. Ci z Ormian, którzy nie opuścili miasta, w piwnicach chowają się przed pociskami, które na miasto miota wroga artyleria, oraz przed rakietami, które spadają z nadlatujących po cichu dronów.

W jednej z takich piwnic pomieszkuje wspólnie osiem kobiet, w wieku od 35 do 85 lat. Gotują to, co zostało im z zapasów, lub to, co przyniosą wolontariusze. Już kiedyś wszystkie przeżyły wojnę – było to ponad 25 lat temu. Jedna straciła na niej męża, druga syna. Po latach wróciły do tej samej piwnicy. A ich mężczyźni znów poszli na front.

Dni w piwnicach wyglądają podobnie. Obudzeni, cywile nasłuchują odgłosów wojny – artylerii, dronów, alarmów. Jeśli będzie głośno, przeczekają. A jeśli akurat będzie cicho, spróbują wyjść i dostać się do swoich mieszkań. O ile będzie prąd i woda, będą mogli normalnie się umyć.

Po ponad dwóch tygodniach walk resztę swojego życia zdążyli przenieść na dół: zaciągnęli tu koce i materace, nawet telewizory z kablami antenowymi, aby na bieżąco śledzić wiadomości czy oglądać filmy. W zimnych piwnicach urządzili się całkiem domowo, nawet przytulnie.

Ale wciąż się martwią: – Prawie każdy z nas ma na froncie członka rodziny – mówi 50-letnia Rita, która postanowiła nie opuszczać Stepanakertu i teraz większość czasu spędza w podpiwniczeniu swego domu. – Najbardziej zależy nam, żeby młodzi wrócili jak najszybciej.

RÓWNIEŻ RITA PRZEŻYŁA poprzednią ormiańsko-azerską wojnę o Karabach. Szacuje się, że podczas niej zginęło ok. 30 tys. ludzi. Jednak choć tym razem ofiar jest – jak dotąd – nieporównanie mniej, Rita uważa obecną wojnę za bardziej nieludzką – oczywiście na ile nieludzkość w połączeniu z wojną może mieć jakieś odcienie.

Powodem jest nowoczesna technologia: to ona zmieniła postrzeganie Rity, zaburzyła jej poczucie sprawiedliwości. Latające nieustająco nad miastem azer-

Bliscy ofiar i ratownicy w azerskim mieście Gandża po tym, jak spadły na nie ormiańskie rakiety. Azerbejdżan, 11 października 2020 r.

Po prawej: zamieniona na schron i zamieszkana przez samotne kobiety piwnica w Stepanakercie, stolicy Górskiego Karabachu. 8 października 2020 r.

skie drony – zdalnie sterowane, ciche i zabójcze – Rita nazywa „nieludzkimi". Armia Azerbejdżanu używa ich w tym konflikcie na masową skalę i to w znacznej mierze dzięki dronom – zwiadowczym oraz bojowym – rozbudowuje swoją przewagę na polu walki.

– Atakują bez narażania na niebezpieczeństwo tych, którzy nimi kierują – tłumaczy Rita. – To nie jest sprawiedliwe. Taka broń powinna być zakazana.

SYN NUNE, profesorki uniwersytetu ze Stepanakertu, też poszedł na front. Wraz z armią ormiańską stara się odpierać ataki sił Azerbejdżanu, które chcą wtargnąć na terytoria Górskiego Karabachu. Jak chyba większość Ormian jest przekonany, że zagrożone jest nie tylko terytorium, które nazywają swoim domem, ale istnienie społeczności etnicznej Ormian. – Walczymy, aby ludobójstwo z roku 1915 się nie powtórzyło – przekonuje.

Podobnie uważa premier Armenii Nikol Paszynian, który przywołuje pamięć o wydarzeniach sprzed ponad stu lat – o masakrach Ormian dokonywanych przez ottomańskich Turków – i oskarża Azerów o próbę czystki etnicznej, nawet o ludobójstwo. Przekonanie to ma potwierdzać zaangażowanie Ankary w toczący się konflikt.

– Żołnierze azerscy nie dają sobie rady w walce z naszymi chłopcami, więc to Turcja dostarcza im najemników, żeby szli do ataku – dodaje swoje Hovik, który kilka lat temu przybył do Karabachu z syryjskiego Aleppo. Jest Ormianinem i potomkiem tych, którzy ratując życie uciekli przed tureckimi pogromami w Armenii Zachodniej (dziś wschodnia Turcja) i szukali schronienia na Bliskim Wschodzie. Przodkowie Hovika osiedlili się w Syrii, która pomagała wtedy ormiańskim uchodźcom. Kolejne pokolenia dorastały, słuchając historii o tamtych mordach. W końcu on sam i jego rodzina musieli uciekać przed wojną, która w 2011 r. wybuchła w Syrii, aby teraz znaleźć się znów w środku wojny.

HOVIK MA TROJE DZIECI, dwie dziewczynki i chłopca. Gdy tylko w niedzielę 27 września zaczęła się nowa wojna, gdy tylko ruszyła azerska ofensywa, odesłał je do Erywania, stolicy Armenii. On i jego żona Izabel nie chcieli wyjeżdżać. Choć budynki w ich sąsiedztwie mocno ucierpiały od pocisków, a syreny w Stepanakercie co rusz wyją na alarm, ostrzegając przed kolejnymi atakami. Jednak zostali, aby karmić żołnierzy i wolontariuszy. Są właścicielami niewielkiej restauracji, która mimo ostrzału prawie zawsze nakarmi ciepłą zupą chłopców walczących o karabachską ziemię.

Nune też pomaga. Do pracy nie chodzi dziś praktycznie nikt, szczególnie nauczyciele, jak ona. Mówi, że jedyną pracą w Górskim Karabachu jest teraz solidarność. Pomaga więc, gotując czy opiekując się starszymi sąsiadami. I wierząc w kolejną wygraną nad Azerbejdżanem. – To solidarność między ludźmi łączy Arcach – mówi Nune.

Tak Ormianie nazywają Górski Karabach.

75 TYSIĘCY – tylu Ormian prawdopodobnie opuściło Karabach od 27 września. Tak w każdym razie szacuje Artak Beglaryan, miejscowy rzecznik praw obywatelskich. To mniej więcej połowa mieszkańców tego nieuznawanego przez nikogo kraju, który trzy dekady temu proklamował niepodległość od Azerbejdżanu (Karabach należał do azerbejdżańskiej ↦

UMIT BEKTAS / REUTERS / FORUM

PABLO GONZÁLEZ

↦ republiki w Związku Sowieckim, jako region autonomiczny). Uciekinierzy schronili się w sąsiedniej Armenii, drugiej ojczyźnie karabachskich Ormian. Jedni u rodzin, inni w hotelach, gdzie są goszczeni za darmo.

Mieszkańcy Karabachu spodziewali się, że eskalacja konfliktu z Azerbejdżanem w końcu nastąpi. Wojna nie zakończyła się w 1994 r. – zawarto jedynie rozejm – ustanowiona wtedy linia rozgraniczenia obu wojsk nigdy nie była spokojna. Stale dochodziło tu do wymiany ognia, o różnym nasileniu, czasem do większych starć – jak w 2016 r., podczas tzw. wojny czterodniowej. I choć o narastającym napięciu w tym miejscu południowego Kaukazu mówiono od lat, nikt nie spodziewał się, że może przerodzić się w wojnę na pełną skalę, i że tak szybko przyniesie tak dużo ofiar: do połowy października po stronie Karabachu zginęło ponad 500 żołnierzy; Azerbejdżan nie podaje liczby swoich poległych. Giną też cywile: po stronie ormiańskiej 30 osób, w tym dziewięcioletnie dziecko. Rannych cywilów doliczono się dotąd ponad 100.

Groby poległych żołnierzy ormiańskich w Stepanakercie, 14 października 2020 r.

ONUR COBAN / GETTY IMAGES

Ormiański żołnierz obok azerskiego niewybuchu. Stepanakert, 6 października 2020 r.

PABLO GONZÁLEZ x2

AFP / MINISTERSTWO OBRONY AZERBEJDŻANU

MOBILIZACJA I GOTOWOŚĆ do walki o swój – jak go nazywają – kawałek ziemi jest wśród Ormian ogromna. Do Karabachu zjeżdżają ochotnicy nie tylko z Armenii, ale też z różnych miejsc świata. Armenia to mały kraj o niespełna trzymilionowej populacji, ale kolejnych 8 mln Ormian mieszka na Bliskim Wschodzie (np. w Libanie) i Europie (licznie w Belgii i Francji). Zjeżdżają więc, aby pomóc w wojnie o, jak mówią, „historyczne ormiańskie ziemie". Ormiańskie diaspory urządzają też zbiórki pieniędzy.

Jednak w czasie pandemii koordynacja takich działań jest utrudniona. – Pomoc, którą była w stanie zaoferować społeczność ormiańska z Belgii, dotyczyła niezbędnych produktów, jak ubrania, leki czy sprzęt medyczny dla ludności cywilnej, a także środków finansowych – mówi Harout Chirinian, przedstawiciel Ormiańskiej Federacji Europejskiej. – Część tej pomocy nadal czeka na wysłanie, a część jest stopniowo wysyłana samolotami do krajów sąsiednich.

PO DRUGIEJ STRONIE FRONTU, w Azerbejdżanie, cywile również uciekają do piwnic. Ucierpiała zwłaszcza Gandża – drugie największe miasto Azerbejdżanu, oddalone od frontu o kilkadziesiąt kilometrów. Spadają na nią ormiańskie rakiety, są ranni i zabici. „To wygląda jak normalna wojna, a nie żadne zawieszenie broni" – komentują mieszkańcy Gandży. Rzeczywiście, uzgodniony już rozejm nigdy nie wszedł w życie.

Ale choć Azerbejdżan podaje jedynie straty wśród cywilów, przemilczając ofiary wśród żołnierzy, zapewne są one poważne – strona atakująca zwykle ponosi większe straty niż obrońcy. Jednak myliłby się ten, kto by sądził, że liczne ofiary sprawią, iż społeczeństwo azerbejdżańskie wystąpi przeciw tej wojnie. Jest odwrotnie: większość Azerów zdaje się sądzić, że terytorium Górskiego Karabachu należy się Azerbejdżanowi i że należy przejąć nad nim kontrolę. Nawet jeśli cena będzie wysoka.

Podobnie jak Ormianie, Azerowie mówią o Karabachu jako o swojej ziemi – z tą różnicą, że starają się ją odzyskać, a nie bronić. Wielu chwali żołnierzy za walkę i wytrwałość. Za poświęcenie dla narodu. Dla licznych Azerów obecna wojna to moment długo wyczekiwany, który po prawie 30 latach ma przynieść w końcu sukces.

– Ludzie uciekali w popłochu, wszyscy byliśmy przerażeni – Hazi, mieszkaniec Gandży, wspomina moment, gdy miasto znalazło się pod ormiańskim ostrzałem. Mimo wszystko Hazi postanowił zostać. – Nie mogę się doczekać naszej wygranej – deklaruje.

DŻAMILA OPUŚCIŁA MINGECZAUR już kilkanaście dni temu. Uczyniła tak, choć jej rodzinne miasto leży trochę dalej od linii frontu niż Gandża. Pojechała do rodziny, do Baku, stolicy Azerbejdżanu, aby tam bezpiecznie przeczekać najcięższe walki.

Akcja ratownicza w mieście Gandża w Azerbejdżanie po tym, jak zostało ostrzelane ormiańskimi rakietami dalekiego zasięgu, 11 października 2020 r.

Azerska artyleria ostrzeliwuje ormiańskie pozycje. Kadr z filmu opublikowanego przez ministerstwo obrony Azerbejdżanu, 28 września 2020 r.

– Moja siostra studiuje w Baku, szczęśliwie mogę się u niej schronić – mówi. – Ale co mają zrobić ci wszyscy ludzie mieszkający blisko Karabachu, którzy nie mają dokąd pojechać? – pyta retorycznie.

Codziennie wieczorem Dżamila wraz z bliskimi zasiada przed telewizorem, śledzi doniesienia z frontu. – Cały kraj tym teraz żyje! Prawie o niczym innym nie rozmawiamy – przyznaje.

Mingeczaur dzieli od frontu jakieś 65 km, a Dżamila jest młoda, chciałaby pójść na studia, wyjść za mąż, zostać matką. Boi się nie tylko o siebie, ale także o swoje miasto: że wróg obierze za cel swoich rakiet ulokowaną w Mingeczaur hydroelektrownię, która dostarcza energię dla całego kraju.

Ale mimo strachu również Dżamila nie ma nic przeciwko toczącym się walkom i jest pełna nadziei, że tym razem to Azerom przypadnie wygrana. Gdyby tak się stało, wiele zyskałby w oczach społeczeństwa prezydent İlham Əliyev, rządzący surową ręką.

– Myślę, że już czas, żeby uregulować tę sytuację – mówi Dżamila, mając na myśli oczywiście Karabach. – My, kobiety, nie pójdziemy na front, ale kibicuję naszym żołnierzom. Wszyscy na nich liczymy.

NAJNOWSZY KONFLIKT o Karabach ciągnie się od drugiej połowy lat 80. XX w. Ormianie, zamieszkujący w większości ten teren, zaczęli wówczas domagać się włączenia go do armeńskiej republiki sowieckiej. Ale obok Ormian żyli tu też Azerowie. Konflikt między obiema społecznościami szybko doprowadził do pogromów i starć. A w roku 1992 – wkrótce po tym, jak rozpadł się Związek Sowiecki – wybuchła regularna już wojna. Ormianie z Karabachu ogłosili swoją niepodległość.

Po dwóch latach walk, dziesiątkach tysięcy rannych i zabitych oraz setkach tysięcy wygnanych, oraz po ostatecznej wygranej Ormian, ich nieuznane państwo odgrodziło się od Azerbejdżanu obszarem, który Ormianie nazwali „strefą buforową": to pas ziemi, która wcześniej należała nie do autonomicznego regionu Górskiego Karabachu, lecz do azerbejdżańskiej republiki sowieckiej. Żyjąca tu ludność azerska została wygnana. Łącznie swoje domy musiało opuścić kilkaset tysięcy Azerów (obie strony podają różne liczby wygnańców).

Ormiański Górski Karabach nigdy nie doczekał się uznania jako państwo – z punktu widzenia prawa międzynarodowego jest nadal częścią Azerbejdżanu.

UCIEKAJĄCY AZEROWIE zostawiali za sobą wszystko. Ich miasteczka były potem systematycznie niszczone przez Ormian. Gdy rozmawia się dziś z Azerami, w ich opowieściach stale pojawiają się te same elementy, mające status symboli. Jak masakra w Xocalı (Chodżały): po zdobyciu tego miasta w lutym 1992 r. Ormianie otworzyli ogień do cywilów, zginęło ponad 600 Azerów, w tym prawie setka dzieci. Albo jak Agdam: kiedyś 150-tysięczny ośrodek społeczności azerskiej w Karabachu, dziś opuszczone miasto widmo.

– Ci, którzy przeżyli masakrę w Xocalı, udali się do meczetów w Agdam w poszukiwaniu zwłok bliskich, których tam zwożono karetkami i busami. Dlatego są to dla nas symbole tej wojny – tłumaczy Nejla Ayvazi, Azerka. – W 1993 r. Ormianie zajęli także Agdam i wszystko tam zniszczyli.

Ruiny meczetów i zaniedbane azerskie cmentarze – tyle zostało po wspólnej przeszłości Azerów i Ormian, gdy razem zamieszkiwali te górzyste tereny.

Wtedy, niemal 30 lat temu, azerscy uchodźcy często musieli zamieszkać w namiotach. To, co jak sądzili, miało być jedynie tymczasowe, trwało potem latami. – Przez lata przezwyciężali traumę – mówi Nejla Ayvazi.

Wielu nadal wierzy, że będą mogli wrócić do tego, co nazywają domem.

Jeśli tylko Azerowie wygrają.

© PABLO GONZÁLEZ, MAGDALENA CHODOWNIK

Tekst ukończono 15 października.

Jedna szansa

PATRYCJA BUKALSKA

Wskaźniki epidemiczne rosną w całej Europie, ale to Czechy nieoczekiwanie znalazły się w niechlubnej czołówce. Co poszło nie tak?

Mamy tylko jedną szansę, którą musimy skutecznie wykorzystać, abyśmy znowu jako naród opanowali epidemię" – mówił premier Andrej Babiš, informując o drastycznym zaostrzeniu restrykcji epidemicznych w całym kraju. Jako pierwszy kraj europejski Czechy zdecydowały się praktycznie na ponowny lockdown.

Stan wyjątkowy wprowadzono już na początku października, ale wkrótce jeszcze bardziej rozszerzono ograniczenia. W połowie miesiąca na zdalne nauczanie przeszły szkoły podstawowe – choć żywiono nadzieję, że uda się tego uniknąć. Zamknięto gospody i bary. Wcześniej miały już skrócone godziny otwarcia, teraz mogą sprzedawać jedzenie na wynos, ale tylko do dwudziestej. Nieczynne są kina, teatry i siłownie. Nie wolno spotykać się w grupach większych niż sześć osób. A to tylko część nowych zasad, z których wiele obowiązywało już wiosną.

Jeśli po dwóch tygodniach wskaźniki się poprawią, być może niektóre restrykcje zostaną zniesione. Nikt nie chce myśleć, co będzie, jeśli statystyki się pogorszą. Już teraz system opieki zdrowotnej trzeszczy w szwach, a wojsko ma przystąpić do przygotowania szpitala polowego w praskiej dzielnicy Letňany.

Ostro w górę

Najpierw szokujące wydawały się statystyki nowych infekcji na poziomie 2-3 tys. dziennie – tak było w drugiej połowie września i już wtedy sytuację określano jako katastrofalną. Tymczasem w październiku słupki skoczyły jeszcze bardziej, padały kolejne psychologiczne bariery: pięć, sześć, aż wreszcie osiem tysięcy dziennych zakażeń.
Inne wskaźniki też przygnębiają: według Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC) Czechy mają najwyższą na kontynencie liczbę infekcji na przestrzeni dwóch tygodni liczonych na 100 tys. mieszkańców: aż 581. To dużo więcej niż inne kraje środkowoeuropejskie, również liczące ok. 10 mln obywateli, jak Węgry (146) czy Austria (148).

Minister zdrowia i epidemiolog Roman Prymula nie ukrywa, że w najbliższym czasie trudno spodziewać się poprawy. „Czeka nas kilka ciężkich i niewesołych tygodni" – mówił. Przeprosił też, że latem nie obstawał bardziej przy zachowaniu ograniczeń – choć ministrem zdrowia został dopiero pod koniec września. Premier Babiš przyznał, że i on dał się ponieść latu, co było błędem, ale przeprosin za spóźnioną reakcję jesienią Czesi nie usłyszeli.

Praga, 12 października 2020 r.

DAVID W. CERNY / REUTERS / FORUM

Letnie błędy

Rzeczywiście latem Czesi najwyraźniej uwierzyli, że walkę z wirusem mają za sobą. Wiosną, kiedy koronawirus zaczął szerzyć się w Europie, kraj bardzo szybko wprowadził restrykcje, w tym obowiązkowe maseczki, co przyniosło efekty: w maju-czerwcu codziennie notowano jedynie po kilkadziesiąt nowych infekcji. Dość szybko zaczęto więc luzować system obostrzeń. W czasie wakacji maseczek już prawie nie noszono. Wydawało się, że ludzie zapomnieli o wirusie.

Dzisiaj to letnie rozluźnienie i zwłoka z ponownym wprowadzeniem ograniczeń wczesną jesienią, np. obowiązkowych maseczek, są wskazywane jako powód raptownego wzrostu zakażeń. Być może gwałtowne zaciągnięcie hamulca – w postaci zaostrzanych co kilka dni restrykcji – przyniesie efekty. Wśród zupełnie nowych zasad jest np. zakaz picia alkoholu w miejscach publicznych.

Jednocześnie okazuje się, że znacznie więcej osób zaraża się w szkołach niż w lokalach gastronomicznych. Aż 16 proc. wszystkich zakażonych to studenci i uczniowie.

RESTRYKCJE mogą zostać poluzowane, jeśli wskaźnik reprodukcji wirusa spadnie do poziomu 0,8 (oznacza to, że dziesięcioro zakażonych infekuje ośmioro kolejnych). Przyjęto, że będzie to sygnał, że epidemia zaczyna zwalniać. Na razie wskaźnik wynosi 1,5. To bardzo dużo i niektóre prognozy mówią, że wkrótce liczba nowych infekcji może sięgnąć poziomu 20 tys. dziennie.

Czy jednak Czesi podzielają pogląd swych władz, są przekonani, że zdecydowane kroki są nieuniknione? Według sondażu agencji CVVM w skuteczność restrykcji wierzy tylko 48 proc. obywateli, podczas gdy w czerwcu było to 86 proc. Co gorsza, rośnie odsetek tych, którzy w ogóle nie wierzą, że obostrzenia przyniosą efekty – jest ich już 44 proc.

Tymczasem w środę 14 października padł kolejny rekord: odnotowano 9544 nowych zakażonych. Uwzględniając liczbę ludności, to tak, jakby w Polsce przybyło ich ok. 35 tysięcy. ©℗

PAVLO GONCHAR / GETTY IMAGES

Były bokser i obecny mer Kijowa Witalij Kliczko może być pewien swojej reelekcji. Kijów, 8 października 2020 r.

Wstrząsy przy urnach

TADEUSZ IWAŃSKI

Zbliżające się wybory lokalne mogą przynieść Ukrainie rzeczywistą samorządność. Mogą być też początkiem politycznej równi pochyłej dla obozu prezydenta Zełenskiego.

Czerkasy będą stawiać opór. Proszę zapamiętać, Czerkasy to wolne miasto kozackie. Jeśli trzeba będzie zjednoczyć Ukrainę, zjednoczymy": ten wpis na portalu społecznościowym Anatolija Bondarenki – mera Czerkas, niespełna 300-tysięcznej stolicy obwodu na środkowej Ukrainie – zapewni mu reelekcję prawdopodobnie już w pierwszej turze wyborów samorządowych, które odbędą się w ostatnią niedzielę października.

Groźba Bondarenki – adresowana do prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i wyrażona jeszcze przed złagodzeniem w całym kraju najbardziej dotkliwych restrykcji po wiosennej fali epidemii – uczyniła mera popularnym i wywindowała poparcie dla niego w sondażach. Znosząc na własną rękę ograniczenia dla drobnych przedsiębiorców – wcześniej, niż pozwalał na to rząd – Bondarenko stał się wyrazicielem irytacji społeczeństwa i sprzeciwu wielu samorządowców wobec nieumiejętnej walki Kijowa z pandemią.

Niektórym wolno więcej

Epidemia podgrzała – i tak tradycyjnie napięte – relacje między stolicą a resztą kraju. Kością niezgody stał się podział Ukrainy na strefy, wprowadzany odgórnie przez rząd na podstawie danych o rozwoju epidemii. Kolor stref – od zielonego przez żółty i pomarańczowy po czerwony – stopniuje zakres restrykcji. Do ich realizacji zobowiązane są władze lokalne, a tym samym reakcja społeczna na likwidację miejsc pracy czy ograniczenia w funkcjonowaniu transportu lokalnego i dostępności do usług szła – w roku wyborczym – także na ich rachunek.

Co więcej, ekipa rządząca nie ustrzegła się błędów, a nawet nadużyć, które nie spotkały się z zasłużoną karą. Dość wspomnieć o marcowej decyzji premiera Denysa Szmyhala o zamknięciu wszystkich sklepów niespożywczych – z wyjątkiem sieci marketów typu „dom i ogród" Epicentr. Należy ona do małżeństwa Hałyny i Ołeksandra Herehów, aktywnych politycznie w stolicy i regionach, którzy wylobbowali u prezydenta wyjątek w zamian za pomoc w walce z pandemią dla obwodu chmielnickiego – regionu *de facto* już przez Herehów „sprywatyzowanego". Z kolei w stolicy, mimo nakazu zamknięcia lokali, działała restauracja Welur, należąca do deputowanego Mykoły Tyszczenki (z partii rządzącej Sługa Narodu); spotykał się tu polityczny światek stolicy.

Tylko te dwie historie (choć było też wiele innych) wzmocniły przekonanie, że pandemia nie przeszkadza politykom z Kijowa robić interesów z oligarchami, a konsekwencje ponoszą regiony.

Zełenski traci popularność

Idea przedterminowych wyborów lokalnych – krążąca po kijowskich korytarzach na fali euforii po miażdżącym zwycięstwie Zełenskiego w wyborach prezydenckich (w maju 2019 r.) i parlamentarnych (w lipcu 2019 r.) – dziś musi wracać do rządzących jako senny koszmar. ↦

Wówczas – wobec silnego mandatu, jakiego społeczeństwo udzieliło Zełenskiemu i jego partii (w drugiej turze dostał ponad 70 proc.) – świat zapewne przełknąłby ten niekonstytucyjny wariant „skompletowania" władzy w kraju. Jednak dziś po ówczesnej popularności pozostało jedynie wspomnienie. Choć prezydent i jego partia wciąż cieszą się dużym poparciem, oddech konkurentów – zwłaszcza partii Europejska Solidarność byłego prezydenta Petra Poroszenki i prorosyjskiej Opozycyjnej Platformy „Za Życie" – jest coraz bardziej odczuwalny.

Poparcie jedynie rzędu 15–20 proc., które sondaże dają Słudze Narodu, wymusi dobranie koalicjanta w radach miast i obwodów. Bliski prezydentowi deputowany Ołeksandr Kaczura wyjawił niedawno, że na wschodzie i południu kraju partnerem Sługi Narodu będzie Opozycyjna Platforma (spadkobierczyni Partii Regionów; jeden z jej liderów, Wiktor Medwedczuk, to kum Putina). Równocześnie Kaczura wykluczył współpracę z euroatlantycką partią Poroszenki, silną zwłaszcza na zachodzie. Czy to także zapowiedź wyboru koalicjanta na szczeblu centralnym i redefinicji polityki zagranicznej w kierunku wschodnim?

Owoce decentralizacji

Przez ostatni rok ekipa prezydenta nie podjęła nawet próby zbudowania struktur partii w regionach – ufając, że osobisty ranking Zełenskiego pociągnie ugrupowanie do zwycięstwa, jak w roku 2019. Jednak wybory lokalne rządzą się innymi prawami. Tu wybierani są przede wszystkim gospodarze i menadżerowie, często osobiście znani wyborcom. Ich konkretne sukcesy lub porażki znaczą więcej niż pusty radykalizm telewizyjnych spotów.

Na niekorzyść Zełenskiego gra też fakt, że reforma decentralizacyjna państwa – zapoczątkowana po rewolucji godności w 2014 r. – zaczęła przynosić owoce. Do połowy tego roku prawie połowa jednostek terytorialnych, w tym niewielkie i niesamodzielne finansowo wsie, połączyły się w większe, tzw. OTH (zjednoczone terytorialne hromady, tj. gminy zbiorowe). Uzyskując także – dzięki zmianom w ordynacji podatkowej – więcej środków, w tym aż 60 proc. ukraińskiego PIT. Dzięki temu dochody własne budżetów lokalnych od początku reformy wzrosły aż czterokrotnie: z niespełna 2,5 mld dolarów do 10 mld, co pozwoliło na inwestycje w przestrzeń publiczną, nowy tabor, remont dróg i budynków itd. Po dekadach zaniedbań ukraińskie miejscowości zaczęły pięknieć.

Beneficjentami tych zmian stali się politycy, którzy wygrali wybory lokalne w 2015 r. W większości to ludzie z partii Poroszenki i Batkiwszczyny Julii Tymoszenko oraz z ugrupowań prorosyjskich i oligarchicznych, ale także z tych zrzeszających lokalne elity. Partia Zełenskiego wówczas jeszcze nie istniała, a obecny prezydent dopiero startował z serialem telewizyjnym (pt. „Sługa narodu"), który wyniósł go potem do stanowiska głowy państwa.

W rezultacie wpływy prezydenta są dziś bardzo słabe w opozycyjnych, a finansowo okrzepłych regionach i dużych miastach. Zełenski chce zmienić negatywny trend i w szaleńczym tempie objeżdża kraj, chwaląc lub częściej ganiąc miejscowych urzędników. Ale to, co w 2019 r. dało mu sukces, dziś smakuje jak odgrzewane kotlety i skutkuje raczej zgagą.

Miasta kontra prezydent

Urzędujący merowie dużych miast w zasadzie nie mają dziś z kim przegrać. Zełenski nie znalazł kontrkandydatów mogących im realnie zagrozić lub choćby pociągnąć listę Sługi Narodu do rady miejskiej czy obwodowej. Odzwierciedla to też fatalną politykę kadrową prezydenta, która jest – obok braku wizji – największą słabością jego ekipy.

I tak, w Kijowie reelekcję ma w kieszeni były bokserski mistrz świata Witalij Kliczko; jedyny znak zapytania polega na tym, czy nokaut nastąpi już w pierwszej turze. Poparcie dla wystawionej przez władze deputowanej Sługi Narodu Iryny Wereszczuk nie przekracza kilku procent. Większą popularnością w patriotycznej stolicy cieszy się nawet prorosyjski Andrij Palczewski (to lider nowego projektu Zwycięstwo Palczewskiego; jego mocodawcy traktują elekcję lokalną jako szansę na zaistnienie przed przedterminowymi być może wyborami do parlamentu – wielce nad Dnieprem oczekiwanymi przez opozycję i oligarchów).

W Charkowie w cuglach wygra zapewne niezatapialny Hennadij Kernes (jeśli przeżyje: ten bliski współpracownik zbiegłego prezydenta Wiktora Janukowycza z powodu zarażenia COVID-19 dzieli dziś z Aleksiejem Nawalnym korytarz berlińskiej kliniki Charité). Podobnie w Odessie: tu antybohater procesów o korupcję, podejrzewany o kontakty z mafią Hennadij Truchanow dystansuje kontrkandydatów (w tym Micheila Saakaszwilego, byłego prezydenta Gruzji i gubernatora obwodu odeskiego, który od lat szuka politycznego uznania na Ukrainie). Wreszcie: we Lwowie szansę na trzecią reelekcję ma Andrij Sadowy – choć w drugiej turze może mu zagrozić elektorat nacjonalistyczny, w turze pierwszej rozdarty między dwoma kandydatami.

Największe miasta pozostaną więc w rękach dotychczasowych gospodarzy – także dlatego, że ci skupili w nich niemałe środki finansowe z decentralizacji. A użytek, który z nich zrobili, przekonuje wyborców bardziej niż kot w worku ekipy Zełenskiego.

Ukraina samorządna

Wybory lokalne mogą stać się więc początkiem odliczania zwrotnego dla prezydenta i jego ekipy. Jednak ważne, wręcz bezprecedensowe, są one głównie dlatego, że oto – po raz pierwszy w 30-letnich dziejach niepodległej Ukrainy – mogą przynieść jej rzeczywistą samorządność. Odbędą się bowiem według nowej ordynacji i w zmienionej strukturze administracyjnej – co daje szansę na umocnienie lokalnego wymiaru ukraińskiej demokracji.

Pierwsza zmiana wprowadza zasadę proporcjonalności w wyborach do hromad powyżej 10 tys. mieszkańców, a także otwarte listy – znosząc w nich tym samym wielkie źródło „renty korupcyjnej", jakim były na Ukrainie okręgi jednomandatowe. Druga zmiana była jeszcze istotniejsza: rząd postanowił przed wyborami przerwać proces samodzielnego łączenia się hromad (powodujący pewien chaos) i odgórnie stworzył wspomniane OTH na pozostałych terenach, a następnie połączył je w nowe powiaty (rajony) – tworząc tym samym na terytorium całego kraju nową siatkę podziału administracyjnego średniego szczebla.

W miejsce 490 starych rajonów powstało więc 136 nowych, większych, i poza nielicznymi wyjątkami zwykle lepiej odpowiadających potrzebom ludności w dostępie do usług i trendom migracyjnym ze wsi do miast. Te wyjątki to rajony, których granice ustanowiono nie według metodologii (jak liczba szpitali, szkół wyższych itd. na liczbę mieszkańców), lecz wskutek lobbingu lokalnych grup oligarchicznych.

W cieniu wojny i epidemii

Dla potwierdzenia integralności terytorialnej kraju nowy podział wprowadzono też (na papierze) na Krymie i w tej części Donbasu, która pozostaje poza kontrolą Ukrainy. Jednak wyborów tam nie rozpisano – co w przypadku Donbasu spotkało się z protestem Rosji. Organizacja wyborów lokalnych w Donbasie to od dawna postulat Moskwy, która w ten sposób chce zalegalizować lojalnych wobec siebie watażków i uzyskać destrukcyjny wpływ na ukraińskie życie polityczne.

Z kolei Zełenski – mimo wielu kontrowersyjnych inicjatyw i deklaracji – nadal stoi na stanowisku, że wybory na tych terenach nie mogą odbyć się bez wcześniejszego wycofania obcych wojsk (rosyjskich) oraz – co najważniejsze – odzyskania przez Ukrainę kontroli nad ponad 400-kilometrowym odcinkiem granicy. Jednocześnie do uchwały parlamentu o organizacji wyborów politycy Sługi Narodu zgłosili poprawki mające rozwodnić warunki ich przeprowadzenia na niekontrolowanych terenach Donbasu. Na przeszkodzie głosowaniu stanęła pandemia, która zebrała obfite żniwo wśród polityków. Zaraziła się prawie setka deputowanych i pracowników administracji, co ograniczyło prace parlamentu w październiku tylko do jednego dnia głosowań.

Intensywna kampania prowadzona w miastach, miasteczkach i wioskach metodami tradycyjnymi nie sprzyja dystansowi społecznemu. Ukraina jest na siódmym miejscu na świecie pod względem aktywnych przypadków COVID-19. Przy podobnej liczbie testów i podobnej populacji jak w Polsce można oczekiwać wkrótce kolejnych dobowych rekordów zakażeń, rosnącej liczby zmarłych (na początku października przekroczyła stu dziennie), a w konsekwencji możliwej niewydolności służby zdrowia i nowych restrykcji.

© TADEUSZ IWAŃSKI

Tekst ukończono 13 października.

Autor jest kierownikiem działu Ukrainy, Białorusi i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

THOMAS LOHNES / AFP

Wafa Mustafa uciekła z Syrii po zamordowaniu jej ojca. Do Koblencji przyjechała z jego zdjęciem, aby z bliskimi innych ofiar stanąć przed budynkiem sądu. 4 czerwca 2020 r.

Sufit był za wysoki

DALIA MIKULSKA

Jednostkę Al-Chatib narysował sądowi świadek, były strażnik: tu były cele, tam gabinet oskarżonego. Świadek słyszał krzyki więźniów. Czy więc oskarżony Anwar Raslan mógł nie słyszeć?

NIE WIEMY, JAK WYGLĄDAŁ LIST, KTÓRY w lutym 2015 r. wylądował na biurku Corinny Müller-Durmann, inspektor berlińskiej policji. Ale mógłby wyglądać przykładowo tak: „Szanowna Policjo, zwracam się o pomoc, ponieważ jestem śledzony. Gdy siedziałem na fotelu dentystycznym, kątem oka zobaczyłem, że ktoś zagląda przez okno. Kiedy wracałem do domu, na stacji S-Bahn zauważyłem dwóch mężczyzn, którzy wsiedli za mną do pociągu. W uszach mieli słuchawki. Jeden wysiadł na tej samej stacji co ja, a później szedł za mną. Po pewnym czasie zniknął, ale gdy dotarłem do domu, zobaczyłem na podjeździe samochód. ↦

Za kierownicą siedział mężczyzna z lekkim zarostem. Gdy mnie zobaczył, chwycił za telefon i powiedział coś do słuchawki. Kiedy podszedłem bliżej, aby sprawdzić rejestrację, samochód odjechał. Także w ośrodku dla uchodźców widziałem, jak przygląda mi się dwóch mężczyzn, z wyglądu Syryjczyków. Jestem przekonany, że ściga mnie syryjski wywiad, gdyż jestem dezerterem. Proszę o podjęcie działań w celu ochrony mojej osoby. Podpisano: pułkownik Anwar Raslan".

To nietypowy proces. Oskarżonym zarzuca się morderstwa, ale prokuratorzy i sędziowie nie zobaczą ciał. W ich zastępstwie mają zdjęcia, które wywiózł z Syrii dezerter.

Bez emocji

Pięć lat później, wiosną 2020 r., na ławie oskarżonych Wyższego Sądu Krajowego w Koblencji zasiada dwóch mężczyzn.

Pierwszy: siwiejący, z łysiną na czole. Na nosie okulary, pod nosem wąsy. Ma na sobie brązowy sweter i wygląda jak zwyczajny mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Taki, który wieczorami rozwiązuje krzyżówki, a sąsiadom zawsze mówi „dzień dobry". Berlińczycy mijali go wcześniej na ulicy i nikomu raczej nie przeszło przez myśl, że pod nadzorem tego człowieka mogło dochodzić do systematycznych tortur. To 57-letni pułkownik Raslan, były kierownik dochodzeń jednostki wywiadu numer 251 w Damaszku (znanej także pod nazwą Al-Chatib, od dzielnicy, w której się znajduje).

Gdy oskarżeni są wprowadzani na salę rozpraw, obecni na widowni Syryjczycy – wśród nich wielu byłych więźniów – ostentacyjnie odwracają się do nich plecami. Były pułkownik nie daje po sobie poznać emocji.

Drugi z oskarżonych; to Ijad al-Gharib, lat 43. Był niższym rangą oficerem w tej samej jednostce. Zakrywa twarz. Na fotografii, którą wykonano mu tego dnia, naciąga nisko kaptur swojej kurtki. Nie chce, by rozpoznały go ofiary? Boi się czegoś? Wstydzi?

Mężczyźni wysłuchują aktu oskarżenia. A w nim długi katalog zarzutów: tortury, uszkodzenia ciała, przetrzymywanie w nieludzkich warunkach, bicie, przemoc seksualna, zabójstwa. Ijad al-Gharib wciąż kryje twarz pod kapturem i ani spojrzeniem, ani najmniejszym grymasem nie zdradza, co czuje słysząc to wszystko.

Firas pamięta detale

Po miesiącu procesu głos zabiera pierwszy z oskarżonych. „Traktowałem zatrzymanych zgodnie z protokołem. Częstowałem ich nawet kawą, gdy po raz pierwszy przywożono ich na przesłuchanie – obrońca Raslana odczytuje zeznanie w imieniu swojego klienta. – Jednemu z tych, którzy dziś mnie oskarżają, pomogłem wydostać się z aresztu, innemu pomogłem w ucieczce z kraju. Po tym, jak wypuściłem wielu aresztowanych, przełożeni nabrali do mnie podejrzeń i ograniczyli moją władzę. Nic nie wiem o gwałtach. Podwieszanie do sufitu za nadgarstki? To niemożliwe, sufit był za wysoki. Nikogo nie torturowałem ani nie rozkazałem torturować".

Dziesiątego dnia procesu sędzia pyta jednego z byłych więźniów o *shabeh*, podwieszanie do sufitu. Świadek nazywa się Firas i wspomina, jak wieszano go z rękami związanymi kablem. Nie wie, do czego przytwierdzono kabel, nie patrzył w górę. Nie potrafi odpowiedzieć, jak długo. Długo. Wystarczająco, by sprawić mu cierpienie.

Firas nie wszystko pamięta, ale ma oko do detali. Jest z zawodu reżyserem. Nie umknął mu żaden szczegół, gdy kręcił dokument o syryjskich ratownikach wyciągających rannych spod gruzów (nagradzany potem za granicą).

Gdyby nagrywał film o swoim pobycie w areszcie, a jego oczy były kamerą, przez większość czasu widzielibyśmy ciemność. Kiedy wyprowadzano go z celi, miał na oczach opaskę.

„Nie słyszałem krzyków"

Mężczyzna, który go przesłuchiwał, powiedział: „Wiem, że jesteś reżyserem", a Firas uniósł głowę. W ten sposób udało mu się dostrzec jego twarz, a na niej pieprzyk. To był moment, chwila, jak klatka w filmie. Zapamiętał to, bo jego matka ma wiele pieprzyków i często powtarzała, że są one oznaką spełnionych marzeń.

Firas nawet nie marzył o sprawiedliwości, więc po wyjściu na wolność starał się zapomnieć. Wszystko: tego mężczyznę, jego pieprzyk, wieszanie na kablach, leżące na podłodze ciała i nieustające krzyki kobiet, mężczyzn i dzieci. Ale teraz jest przekonany, że mężczyzną z pieprzykiem, który go przesłuchiwał, był oskarżony Anwar Raslan. Swoją pewność szacuje na 60-70 procent.

Nie słyszał, by mężczyzna z pieprzykiem wydał rozkaz torturowania go, ale pamięta, że tortury nastąpiły natychmiast po przesłuchaniu. Pamięta też jego słowa: „Znam sposoby, by zmusić cię do mówienia". Opaska nie pozwalała mu zobaczyć, czy Raslan był wśród torturujących. Ale musiał słyszeć, musiał wiedzieć.

Jeśli wierzyć mowie obrończej Anwara Raslana, należałoby uznać, że były szef wydziału dochodzeń jednostki numer 251 nie miał właściwie żadnej władzy. Był jak jedna z tych trzech małpek, które nic nie widzą, nic nie mówią i nic nie słyszą.

Zdaniem byłych więźniów to niemożliwe. Każdy słyszał krzyki. Według wcześniejszego zeznania al-Ghariba było je słychać nawet w kafeterii, gdzie strażnicy popijali kawę.

Co powiedział al-Gharib

Teraz Ijad al-Gharib milczy. W każdym razie od momentu, gdy publicznie określany jest „Ijadem A." i zarzuca mu się zbrodnie przeciw ludzkości. Wiemy o nim z zeznań niemieckich urzędników, którzy decydowali o przyznaniu mu azylu, oraz policji, która przesłuchiwała go w sprawie Raslana.

W 2018 r., gdy ubiegał się o status uchodźcy w Niemczech, opowiedział Klausowi Wöllnerowi, pracownikowi Federalnego Biura ds. Migracji i Uchodźców, o swojej pracy w Syrii. Według zeznań Wöllnera al-Gharib stwierdził, że do 2012 r. służył w jednostce Al-Chatib przy ul. Bagdadzkiej w Damaszku, a jego zadaniem było „sprowadzanie tam aresztowanych". Dla tych, którzy wiedzą, jak wyglądają łapanki na demonstracjach czy posterunkach kontrolnych, brzmi to jak eufemizm. al-Gharib twierdził w rozmowie z Wöllnerem, że więźniowie byli członkami Państwa Islamskiego. Wöllner wiedział, że to nieprawda – w 2012 r. w Syrii nie było jeszcze Państwa Islamskiego.

W sierpniu 2018 r., gdy Raslan był już podejrzanym, niemiecka prokuratura przesłuchała al-Ghariba jako świadka. Inspektorowi Manuelowi Deußingowi powiedział on, że dowodził posterunkiem

kontrolnym w Dumie koło Damaszku. Każdego dnia zatrzymywano na nim około setki osób, później transportowano je autobusami do Al-Chatib. Zeznał też, że już w autobusach jego koledzy bili zatrzymanych. On sam nie. Według niego bicie w autobusach było niczym w porównaniu z tym, co czekało zatrzymanych na miejscu. Wspomniał o metodach tortur, które stosowano w jednostce, m.in. o polewaniu zatrzymanych wrzątkiem. Od 2011 r. oficerowie mieli więcej swobody w doborze metod.

Zeznał też, że okrucieństwa w aresztach jednostek wywiadu były normą, a oficerowie musieli zachować lojalność. Gdyby się naraził, mogliby go zabić. Pytany o przyczynę dezercji odparł, że nie chciał krzywdzić cywilów.

To wszystko powiedział jednak nie jako oskarżony, lecz świadek i ubiegający się o azyl. Jako oskarżony ma prawo milczeć i nie dostarczać dowodów przeciwko sobie. W sądzie w Koblencji postanowił z tego prawa skorzystać.

Jemu nie wierzę

Akt oskarżenia wobec Anwara Raslana obejmuje okres tylko 549 dni na przełomie roku 2011 i 2012, a wobec al-Ghariba – okres 61 dni.

Pułkownik Raslan zdezerterował pod koniec 2012 r. Ponieważ zwrócił się przeciwko reżimowi, opozycja pomogła mu w ucieczce, być może licząc na to, że ułatwianie dezercji funkcjonariuszom przyczyni się do upadku znienawidzonego prezydenta Baszara al-Asada. Poza tym Raslan obiecał dostarczyć teczki 20 tys. zatrzymanych. Jak powiedział magazynowi „Foreign Policy" Wael al-Khalid, działacz syryjskiej opozycji, od kiedy tylko Raslan przekroczył syryjską granicę, interesowało go głównie to, jak się dostać do Niemiec.

Przyjechał tu w 2014 r. Starając się o azyl przedstawił się jako opozycjonista, a Niemcy przyznały mu szczególną ochronę. Uczestniczył w rozmowach pokojowych w Genewie, ale nikt dokładnie nie wie, jaka była tam jego rola. O tym, co działo się w areszcie jednostki Al-Chatib – milczał. Nie złożył zeznań obciążających syryjski reżim, mimo obietnic nie dostarczył dowodów. Można więc podejrzewać, że wyjechał nie po to, aby walczyć o sprawiedliwość, lecz po to, by jej uniknąć.

Z pewnością nie spodziewał się, że osądzą go ci, którzy wcześniej przyznali mu azyl. Raslan nie bał się niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Bał się byłych mocodawców. Skontaktował się z niemiecką policją z obawy, że ścigają go syryjskie służby. Złożył zeznania na temat swojej przeszłości. Ale jeszcze nie jako oskarżony. W końcu jednak, w lutym 2019 r., śledztwo prowadzone przez Prokuraturę Federalną doprowadziło do jego aresztowania.

W autentyczność jego dezercji nie wierzy Amer Masri, dziś mieszkający w Edynburgu naukowiec, a wtedy, w 2011 r., „wyedukowany brytyjski szpieg", jak nazywali go strażnicy, gdy się nad nim znęcali. Masri jest pewny, jak gdyby wydarzyło się to wczoraj: to właśnie Anwar Raslan bił go w trakcie przesłuchania i próbował złamać psychicznie groźbami i wyzwiskami. Rozpoznał go, gdy tylko usłyszał o procesie w Koblencji.

– Pamiętam też innego strażnika, który był dla nas łaskawy – mówi mi Masri. – Przemycał aresztowanym wodę i jedzenie, a kiedy kazano mu nas bić, starał się nie robić tego mocno. Gdy wyszedłem na wolność, dowiedziałem się, że zdezerterował. Jemu wierzę. Ale nie wierzę Raslanowi, Raslan nie miał litości.

Gdy pytam go, dlaczego w takim razie opozycjoniści pomogli mu w ucieczce, Masri zastanawia się, ile im zapłacono.

Ciała z numerem „251"

To nietypowy proces. Oskarżonym zarzuca się morderstwa, ale prokuratorzy i sędziowie nigdy nie zobaczą ciał. W ich zastępstwie mają wysokiej jakości zdjęcia ofiar, które wywiózł z Syrii inny dezerter, znany pod pseudonimem „Cezar".

Tak zwana „teczka Cezara" zawiera zdjęcia martwych demonstrantów i aresztowanych. Ciała opatrzone są trzema numerami, z których jeden to numer jednostki. Na 110 ciałach napisano „251". To znaczy, że życie tych ludzi zakończyło się w Al-Chatib.

Zaledwie 110 ciał spośród 6786, których zdjęcia „Cezar" wywiózł z Syrii. Wśród nich stu młodych, dziewięciu starszych i jeden nieletni. Szesnastu wychudzonych, dziesięciu z ranami skóry, dwóch z dziurami w ciele. U czternastu stwierdzono ślady stosowania środków chemicznych, u szesnastu ślady zabiegu medycznego. A na zdjęciach „Cezara" uwieczniono tylko ułamek wszystkich ofiar.

Niemieccy prokuratorzy i sędziowie nie zobaczą też miejsca zbrodni. Tylko zdjęcia z map w aplikacji Google i rysunki. Jednostkę Al-Chatib narysował sądowi jeden ze świadków, były strażnik: tu były cele, tam gabinet oskarżonego. Sam świadek pracował na zewnątrz i widział stamtąd, jak przywożono aresztowanych. Słyszał, jak krzyczeli, że są niewinni, że nic złego nie zrobili.

Czy Anwar Raslan mógł tego nie słyszeć?

© DALIA MIKULSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Z Europą w świecie. Naczynia połączone

UNJA

W środę 28 października o godz. 20 zapraszamy na kolejną z cyklu debat online **„UnJa. I co dalej?"** – szczegóły transmisji na **powszech.net/unia2**

Korzystając z zasobów świata musimy być za niego współodpowiedzialni. Czy globalizacja może znaczyć wspólne dobro, nie wzajemny wyzysk?
Jak widzimy nasz udział we wspólnocie? Rozmawiać będą:
Katarzyna Guzek, Janina Ochojska, Klaus Bachmann oraz Marek Rabij.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ORGANIZATOR:
KLUB TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PRZEDSTAWICIELSTWO
KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE

VICENTE TAPIA / GETTY IMAGES

Górnik Florencio Avalosa, jeden z uratowanych z kopalni San José, spotyka się z ojcem. Copiapó, Chile, 13 października 2010 r.

Najdłuższa szychta świata

MAGDALENA BARTCZAK Z SANTIAGO DE CHILE

Dziesięć lat temu w chilijskiej kopalni ocalono górników, którzy pod ziemią spędzili ponad dwa miesiące. Wtedy byli bohaterami. Dziś być może chętnie uwolniliby się od tej przeszłości.

W Chile mówi się o niej camanchaca. Słowo to pochodzi z języka ajmara i określa gęstą mgłę znad Pacyfiku, która spowija zwłaszcza tzw. Wielką Północ – wypełnioną przez bezkres pustyni Atakama, krainy suchego wiatru i słońca. Więcej życia panuje tu nie na powierzchni, lecz pod ziemią. Bo daleka północ należy do kopalń: bije tutaj serce przemysłu wydobywczego Chile, filaru państwowej gospodarki. Perspektywa dobrego zarobku ściąga do kopalń ludzi z różnych zakątków kraju.

Także do kopalni miedzi i złota San José, o której świat usłyszał 5 sierpnia 2010 r. Jej logistyczną bazę stanowiło miasto Copiapó, skąd w tamten poranek busy zabrały 34 górników na 12-godzinną szychtę. Wielu z nich zapamiętało, że *camanchaca* unosiła się nad pustynią długo i towarzyszyła im do godziny ósmej, gdy zaczęli zjeżdżać pod ziemię. Niedługo później przeciągłą obecność mgły można było interpretować jako sygnał nadchodzącej katastrofy. Słowo *camanchaca* ma też bowiem drugie znaczenie: głęboka, nieprzenikniona ciemność.

Błędy na górze

„My, górnicy, wiemy, że kopalnia jest jak góra lodowa. To, co widać na zewnątrz, stanowi tylko mały ułamek tego, co znajduje się pod ziemią" – miał powiedzieć Luis Urzúa, szef zmiany. Kopalnie przypominają ukryte miasta i żyją własnym życiem. 5 sierpnia 2010 r. San José, założona w latach 80. XIX w., według jej pracowników wydawała z siebie niepokojący skowyt. „Kopalnia płakała" – zapisał później w dzienniku Víctor Segovia, który też trafił na szychtę. Około 13.45, na chwilę przed planową przerwą, usłyszał, jak płacz zmienił się w dudnienie, a następnie grzmot przypominający trzęsienie ziemi. Później nadszedł podmuch i ogłuszający huk, jakby kopalnię rozerwała eksplozja.

Okazało się, że doszło do tąpnięcia. Blok skalny ważący ponad 700 ton i odpowiadający wielkością dziesięciopiętrowej budowli odłamał się od góry, osunął przez kolejne poziomy podziemnej konstrukcji i pociągnął za sobą resztę skał, które zniszczyły i zablokowały tę część kopalni, gdzie znajdowali się górnicy.

Dla wielu z nich sytuacja nie była zaskoczeniem, wcześniej parokrotnie doszło tu do wypadków z powodu nadmiernej eksploatacji i technicznych zaniedbań. Najpoważniejszy nastąpił w 2007 r.: rząd nakazał wówczas zamknąć kopalnię, ale już rok później Narodowy Wydział ds. Geologii i Kopalń zezwolił na ponowne otwarcie, choć nie wprowadzono zmian najważniejszych z punktu widzenia bezpieczeństwa.

Spółka San Esteban Primera, właściciel San José, od lat miała długi i nie dysponowała środkami na zakup sejsmografów,

wyposażenie szybów w systemy wentylacyjne czy budowę dodatkowych wyjść ewakuacyjnych. Ostrzegani przez ekspertów dyrektorzy firmy, Alejandro Bohn i Marcelo Kemeny, byli świadomi, czym groziła dalsza eksploatacja.

Historia przetrwania

Jedynym, któremu w chwili tąpnięcia udało się uciec na powierzchnię, był kierowca ciężarówki Raúl Villegas; przebywał w górnej części kopalni. Potem wielokrotnie opowiadał w wywiadach, jak widział we wstecznym lusterku zbierający się, doganiający go pył. Zapiaszczona, brązowa chmura jeszcze przez wiele godzin wydobywała się z „paszczy" kopalni, jak to określił Raúl. Stała się też sygnałem SOS – ściągnęła uwagę i pomoc.

Później zaczęła się ta część historii, którą wkrótce poznało Chile: historii przetrwania 33 pozostałych górników ok. 670 metrów pod ziemią, w ciemności, wilgoci i wysokiej temperaturze. Na czołówki gazet zaczęły trafiać opisy ich solidarności. Uwięzieni stworzyli zgodną drużynę, czekającą cierpliwie na ratunek.

Pod kierunkiem charyzmatycznego Maria Sepúlvedy, który wyrósł na jednego z liderów, zrobili inwentaryzację posiadanego jedzenia – tak, by starczyło go na dłużej. Pomogło im to przeżyć do czasu, gdy po trzech tygodniach ratownicy zdołali przewiercić się na dół i zaczęli przekazywać im żywność. Wcześniej górnicy racjonowali sobie po dwie łyżki tuńczyka, pół szklanki mleka i pół ciastka na każde 48 godzin.

Ustalili też zasady wspólnego życia i podzielili się rolami, nadając sobie przydomki. Był wśród nich „poeta" Víctor Zamora, nazwany tak z powodu miłosnych wierszy pisanych dla żony, „pastor" José Henríquez, który odprawiał regularnie coś na kształt nabożeństw, podnosząc kolegów na duchu. Był „doktor" Yonny Barrios, dodający animuszu niewybrednymi żartami. Oraz „pisarz" – wspomniany Víctor Segovia, który skrupulatnie uzupełniał dziennik podziemnego życia i drzemiącej w nich, na przekór wszystkiemu, nadziei.

Cud i euforia

Choć początkowo nie dawano im szans, nadzieja okazała się uzasadniona: po 69 dniach wszystkich wyciągnięto na powierzchnię. 13 października o świcie specjalnie skonstruowana na tę okoliczność kapsuła Fenix 2 wydobyła ostatniego: „kapitana" Luisa Urzúę. Podobnie jak pozostali, został przywitany na górze przez prezydenta Sebastiána Piñerę i ministra górnictwa Laurence'a Golborne'a. Wspólnie odśpiewali hymn, a w całym kraju zawyły syreny i zabiły dzwony w kościołach. Nad Atakamą poszybowały balony w barwach narodowych.

Uratowanie górników porównywano do cudu. Chilijczyków ogarnęła euforia, a z nimi cieszył się świat. Brawurowa akcja ratunkowa stała się bowiem medialnym wydarzeniem, transmitowanym na żywo przez kilkadziesiąt światowych telewizji. Miała też znaczenie polityczne: nadzorujący ją minister Golborne z dnia na dzień wyrósł na polityka cieszącego się najwyższym zaufaniem społecznym (wzrosło z 16 do 87 proc.). Skok popularności stał się też udziałem prezydenta, który zyskał opinię solidnego wodza, potrafiącego zaopiekować się narodem w trudnych chwilach. Idealnego do rządzenia górniczym krajem, który katastrofy ma wpisane w swoje DNA. Już nigdy potem Piñera nie zdobył tak wysokiego zaufania, jak wtedy.

Ale największymi gwiazdami byli oczywiście górnicy. Zwykli mężczyźni, którzy nagle stali się sławni i kochani. Ich historia szybko trafiła na biurka pisarzy i scenarzystów: przeniesiono ją na ekran, m.in. w hollywoodzkim filmie „Los 33", gdzie w postać Sepúlvedy wcielił się Antonio Banderas, a siostrę Segovii zagrała Juliette Binoche. Wcześniej ich popularność zaczęły wykorzystywać media w Chile i za granicą – niektórzy wystąpili w reklamach, inni ruszyli w *tournée* po świecie, pojawiając się m.in. w amerykańskiej, hiszpańskiej i izraelskiej telewizji. Gratulacje wysłali Benedykt XVI i Barack Obama.

Jednego z górników, fana Elvisa Presleya, zaproszono do Graceland – posiadłości artysty, gdzie dziś mieści się jego muzeum. Inny poślubił przed kamerami Niemkę, którą poznał przez internet: dziewczyna śledziła akcję ratunkową i zakochała się w nim od pierwszego, telewizyjnego wejrzenia.

Dziesięć lat później

Dziś większość ówczesnych górników przyznaje, że gdy chwila sławy minęła, brutalnie uderzyła ich rzeczywistość, w której ciężko było się na nowo zadomowić.

Nadal towarzyszy im wspomnienie podziemnej traumy. Choć paru członków „drużyny San José" wróciło do zawodu, to szok spowodowany wypadkiem i uwięzienie w ekstremalnych warunkach pozostawiły trudny do wymazania ślad. Wielu od lat jest na bezrobociu. Niektórzy – jak „poeta" Víctor Zamora, albo José Ojeda, który 10 lat temu zasłynął jako autor notki, że uwięzieni „mają się dobrze", czy najmłodszy Jimmy Sánchez (miał wtedy 19 lat) – nie ukrywają, że cierpią na depresję i stany lękowe.

Większość z nich wkrótce po ocaleniu poczuła też, jak cienka potrafi być granica między zawiścią i uwielbieniem. Bo gdy euforia opadła, zaczęły pojawiać się głosy krytyki. Nie brakowało komentarzy m.in. na temat przyznanego im odszkodowania, choć w rzeczywistości żadne finansowe rekompensaty nigdy nie zostały im wypłacone. Mężczyźni otrzymują za to rentę, wynoszącą ok. 300 tys. pesos (równowartość ok. 1500 zł).

Jednym z powodów rosnącej niechęci był też koszt akcji ratunkowej. Zaczęto obwiniać górników, że przez „ich" wypadek państwo wydało 22 mln dolarów, które można było spożytkować na inne cele. Sumy tej rząd nigdy nie odzyskał. Władze kopalni San José jeszcze w sierpniu 2010 r. oświadczyły, że nie poczuwają się do winy za katastrofę. Zamknięcie kopalni z powodu bankructwa nastąpiło zaś po zakończeniu akcji ratunkowej – bez pracy zostało wówczas niemal 400 osób. Nie wypłacono im ani ostatnich pensji, ani świadczeń socjalnych. Trzy lata później szefom spółki udało się także oficjalnie uciec od odpowiedzialności: prokuratura umorzyła śledztwo, stwierdzając, że tąpnięcie było nieszczęśliwym wypadkiem, do którego doszło bez winy firmy.

Jedną z dobrych rzeczy, które przyniosła ta historia, stały się częstsze kontrole i sumienniejsze przywiązywanie wagi do bezpieczeństwa pod ziemią. Zaczęto też publikować bardziej szczegółowe dane na temat uchybień ze skutkami śmiertelnymi, do których dochodzi w tutejszym górnictwie.

Okazało się w ten sposób, że los „trzydziestu trzech" przyćmił inną liczbę, bardziej tragiczną: tylko w 2010 r. zginęło podczas pracy, z dala od świateł reflektorów, czterdziestu pięciu górników, anonimowych dla świata. ©

REWOLUCJA NA GRANICIE

Jesienią 1990 r. w sowieckim jeszcze Kijowie studenci zorganizowali strajk głodowy. Gdyby zrealizowano ich marzenia, być może dalsza historia Ukrainy potoczyłaby się lepiej.

PIOTR ANDRUSIECZKO Z KIJOWA

DMYTRO KŁOCZKO

„Głoduję przeciw rządowi": studencki protest w Kijowie, październik 1990 r. Na plakacie widoczny symbol radioaktywności – nawiązanie do katastrofy w Czarnobylu, która miała miejsce cztery lata wcześniej (elektrownię dzieli od Kijowa tylko 90 km).

Trzydzieści lat temu – centralny plac Kijowa wygląda inaczej. Obecny plac Niepodległości – miejsce wszystkich współczesnych ukraińskich protestów – nazywa się placem Rewolucji Październikowej, a z monumentu patrzy Lenin.

W Związku Sowieckim od kilku lat buzuje – trwa pierestrojka. Ale odgórna przebudowa, zainicjowana przez Michaiła Gorbaczowa, uruchamia procesy, których komunistyczny lider nie przewidywał. W poszczególnych republikach dokonuje się przebudzenie narodowe. Wybuchają też pierwsze konflikty, jak w Górskim Karabachu.

Młodzi chcą więcej

Także w Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej jest niespokojnie. W 1988 r. odradza się Ukraińska Grupa Helsińska (wcześniej działała już w drugiej połowie lat 70.). Rok później powstaje największa niezależna organizacja polityczna: Ruch Ludowy na rzecz Przebudowy.

W marcu 1990 r. w całym Związku Sowieckim odbywają się pierwsze wybory z udziałem niezależnych kandydatów. W Radzie Najwyższej (odpowiednik parlamentu) ukraińskiej republiki pojawia się frakcja opozycyjna. Liczy niemało, bo 126 deputowanych, ale komuniści wciąż mają większość. Mimo to nastroje są takie, że 16 lipca 1990 r. Rada Najwyższa przyjmuje Deklarację Suwerenności Państwa Ukrainy.

To ważny krok ku niepodległości. Jednak liderzy studenckich organizacji uważają, że trzeba przyspieszyć ten proces i pójść drogą podobną do polskiej.

W tym czasie działają już różne niezależne organizacje młodzieżowe. Na zachodzie kraju od 1989 r. wpływy wśród studentów zdobywa Bractwo Studenckie Lwowa na czele z Markijanem Iwaszczyszynem, a w Kijowie powstaje Ukraiński Związek Studentów. Lider tej drugiej organizacji, Ołeksandr Donij, uważa, że demokraci powinni zdobyć większość w parlamencie, bo tylko tak uda się szybko uzyskać pełną niepodległość i zbudować demokratyczne państwo.

– Pozycjonowaliśmy się jako organizacja polityczna z cechami związku zawodowego, chcieliśmy wpływać na studenckie masy. Do Ruchu Ludowego odnosiliśmy się sceptycznie. Uważaliśmy, że jest zbyt bierny. Znalazło to zresztą potem odzwierciedlenie w naszych żądaniach – wspomina dziś Ołeksandr, z którym rozmawiam na placu Niepodległości. Czyli w miejscu, gdzie wtedy wszystko się zaczęło.

Planowanie

Organizacje studenckie ze Lwowa i Kijowa współpracują – i to ich liderzy podejmują decyzję o proteście. Pomysł akcji i konkretne działania Ołeksandr rozplanowuje już na pół roku przed jej rozpoczęciem. Pomaga mu Wjaczesław Kyryłenko (później wicepremier). Wszystko w ścisłej konspiracji. Studenci mają już doświadczenie w prowadzeniu protestów – niekiedy nawet dużych, ale nie zawsze udanych.

– Zaproponowałem, aby postawić namioty na placu, zająć uniwersytet, zablokować komunikację miejską – wspomina Ołeksandr.

Każdy z planowanych elementów akcji ma korzenie. Ołeksandr: – Składane łóżka turystyczne widziałem w telewizji na placu Tiananmen w Pekinie. Zajęcie uniwersytetu: słyszałem o strajkach okupacyjnych w Polsce, choć nie wiedziałem, jak to wygląda w praktyce. Masowe akcje protestu: w telewizji widzieliśmy demonstracje w NRD i jak potem pada mur berliński. Opaski na głowach uczestników: to z historii, uczyłem się o powstaniach w Chinach, a na Tiananmen też to próbowali wykorzystać.

Jego dziadek, który ukończył sowiecką Akademię Sztabu Generalnego, uczył Ołeksandra wojskowej taktyki. W fazie opracowania akcja nie różniła się więc od wojskowego planowania: to była analiza sił przeciwnika, szukanie jego najsłabszych punktów, przygotowanie rezerw i wykorzystanie momentu zaskoczenia. Wszystko rozpisane, włączając możliwe reakcje władz.

Detonatorem, który – jak wierzyli – wywoła ogólnoukraiński protest, miał być strajk głodowy.

Ze względów konspiracyjnych kontakty między Kijowem i Lwowem były ograniczone. Zakładano, że telefony są na podsłuchu sowieckiego KGB, i wykorzystywano je tylko do umawiania się na spotkania.

Kompromis

Na kilka miesięcy przed akcją jej organizatorzy spotkali się w Wilnie. Omawiali formę protestu. A ta, czyli strajk głodowy, budziła spory. Dla wielu studentów była zbyt radykalna. Jednak decyzja zapadła.

Pierwsze postulaty Ołeksandr Donij spisał sam. Nie konsultował ich ze Lwowem, żeby, jak mówi, nie doprowadzić ↦

↦ do wycieku. Wspomina: – Pierwszy postulat: powtórne wybory do Rady Najwyższej. To było dla mnie kluczowe, aby znieść władzę komunistyczną i zamienić ją na demokratyczną. Wybory powinny być równe, czyli potrzebna była też nacjonalizacja majątku partii komunistycznej. Dalej: odmowa podpisania nowego układu związkowego, czyli uniezależnienie Ukrainy od Moskwy. Ideę takiego nowego układu promował Gorbaczow.

– Żaden z tych postulatów nie był postulatem Ruchu Ludowego – zaznacza dziś.

Za to postulaty Ruchu przywieźli na spotkanie przedstawiciele lwowskiego Bractwa, które współpracowało z Ruchem. Były to: dymisja premiera ukraińskiej republiki Witalija Masoła i przyjęcie zasady, że mieszkańcy Ukrainy odbywają obowiązkową służbę w armii sowieckiej tylko na terytorium tej republiki.

Dla Ołeksandra postulat dymisji premiera zmieniał charakter ich żądań. W końcu chodziło nie tylko o roszadę personalną, ale o to, by nowe wybory doprowadziły do utworzenia demokratycznego rządu. Wspomina: – Ustąpiliśmy. Gdybyśmy pogrążyli się w sporze, byłaby to śmierć dla akcji. Połączyliśmy nasze postulaty i przez dwa tygodnie trwania strajku głodowego od nich nie odstępowaliśmy.

Kompromisowo uzgodniono też kierownictwo protestu: liderów miało być kilku. Aby podkreślić jedność kraju, do Donija i Iwaszczyszyna dołączył Ołeh Barkow z ówczesnego Dnieprodzierżyńska (dziś Kamieńskie, na wschodzie kraju).

Zakładali, że mogą zostać od razu aresztowani, dlatego na akcji mieli się pojawiać po kolei, pojedynczo, przez pierwsze trzy dni. A gdyby ich zatrzymano, na plac powinni wyjść ich zastępcy. Liczyli, że milicja nie będzie w stanie wszystkich aresztować, a informacja o ewentualnych represjach wzburzy rzesze studentów i kolejni chętni dołączą do protestu.

Początek

W 1990 r. Dmytro Kłoczko miał 17 lat i nie był jeszcze studentem, za to należał do niezależnej organizacji Szczere Bractwo. – To była organizacja kulturalna, powstała pod koniec 1989 r., jej celem było badanie historii Kozactwa i ukraińskiego folkloru. Ale wtedy wszystko, co dotyczyło ukraińskości, było polityką – tłumaczy dziś Dmytro.

Informację o akcji przekazywano łańcuszkiem, od człowieka do człowieka, ustnie lub pod postacią notatek. Dziś, w epoce smartfonów, trudno w to uwierzyć. Ale Dmytro potwierdza, że odbywało się to sprawnie.

2 października 1990 r. przed godziną dziesiątą rano na dzisiejszy plac Niepodległości przybyło kilkudziesięciu studentów. Wyjęli plakaty i ogłosili początek protestu. Milicji wokół było dużo, trwała wojna nerwów. Władza się wahała. O dwudziestej w ciągu kilku minut rozstawiono namioty. O północy władze miejskie zezwoliły na prowadzenie akcji. To oznaczało faktyczną legitymizację protestu i neutralizowało zagrożenie ze strony milicji.

Pierwszego dnia głodówkę zaczęło 108 studentów, sześć dni później było ich 158. Łącznie w ciągu następnych dwóch tygodni przez protest przewinąć miało się ok. 400 osób.

Oksana Kozenko-Kłoczko studiowała wtedy prawo na uniwersytecie we Lwowie. Początkowo uczestniczyła w proteście na swojej uczelni – na znak solidarności z głodującymi w Kijowie – a po kilku dniach przyjechała do Kijowa. Tam pierwszy raz spotkała Dmytra.

Miasteczko

Namiotów było ok. 50, może trochę więcej. Spośród uczestników akcji ci głodujący nosili białe opaski na głowie, a ci stanowiący ochronę – czarne. Ci ze służb pomocniczych (medycznej, prasowej) powinni nosić błękitne, ale rzadko je zakładali.

Rytm codzienności miasteczka namiotowego wyznaczał zegar na sąsiednim budynku związków zawodowych (zachował się do dziś, tylko wtedy godzina wyświetlała się na czerwono, a dziś ekran jest kolorowy). O siódmej rano dźwięk zegara budził miasteczko. Dzień zaczynał się prozaicznie, od toalety. Głodujący nie jedli, ale dużo pili. Najbliższa darmowa toaleta była w przejściu podziemnym na przeciwnym końcu placu, a to oznaczało kilka zejść i wejść po schodach. – W pierwsze dni to nie było problemem, ale po kilku poczułem, że pokonanie tej drogi jest coraz cięższe. Na szczęście któregoś dnia zaczęli nas wpuszczać za darmo do toalety, która była bliżej – wspomina Dmytro.

W ciągu dnia w miasteczku było dużo rozmów. Można było też „wyjść na skraj": przed odgradzającą obóz linką stał rząd łóżek. – Można było się tam opalać – śmieją się Oksana i Dmytro. I dodają: – Ludzie podchodzili, rozmawialiśmy z nimi.

Dmytro wspomina, że rozmawiano swobodnie, na wszelkie tematy – taki Hyde Park.

Przychodzili też politycy. Bywał Stepan Chmara, jeden z nielicznych deputowanych opozycji, który popierał studentów. Zjawił się Leonid Krawczuk, przewodniczący parlamentu i główny zwierzchnik ukraińskiej nomenklatury partyjnej.

Protestujący otrzymywali wsparcie z różnych miejsc świata. W pobliżu jest Poczta Główna, tu trafiały telegramy adresowane do protestujących. Do dziś jeden z uczestników zachował telegram wysłany z Mongolii.

Oksana: – Wieczorami śpiewaliśmy. Nasz repertuar wystarczał, żeby śpiewać niemal bez powtórek całą noc. Przychodzili też profesjonalni artyści, by nas wspierać.

Dmytro wspomina, że wiele osób chodziło na msze ekumeniczne.

Kryzys

Siódmego-ósmego dnia niektórymi uczestnikami zaczęły targać wątpliwości: oni głodują, a ogólnoukraiński strajk nie wybucha...

– W rozmowach pojawiało się pytanie: jak długo mamy głodować? Do śmierci? Ktoś był na to gotowy, ktoś inny nie. Oczekiwaliśmy, że studenci z tego samego roku, z innych uczelni, wesprą nas, a tu cisza. Niektórzy zaczęli rezygnować z głodówki – opowiada Ołeksandr.

Przed akcją ustalono, że kierownictwo protestu nie będzie głodować, ale Iwaszczyszyn przyłączył się do głodujących już pierwszego dnia. Gdy teraz pojawiło się zwątpienie, do głodówki dołączył też Donij.

Ponadto, aby zmobilizować innych studentów i przerwać blokadę informacyjną, Ołeksandr zdecydował o zablokowaniu ruchu na Chreszczatyku, głównej ulicy stolicy. Wspomina: – Za tym pomysłem również stała wojskowa taktyka. Jak działać, gdy nie masz wystarczających sił? Rozkładanych łóżek nie potrzebujesz wiele, w przeciwieństwie do ludzi. A kierowcy bali się uszkodzić zderzaki. Dziesięciu ludzi z jednej strony z czterema łóżkami, dziesięciu z drugiej z czterema łóżkami: to wystarczyło, by zablokować całą ulicę.

Transport stanął. Wieść, że centrum Kijowa jest sparaliżowane, rozeszła się

DMYTRO KŁOCZKO

Strajkujący studenci kijowskich uczelni idą pod Radę Najwyższą. Kijów, 15 października 1990 r.

szybko. Czegoś takiego jeszcze tu nie widziano. Protestowało dwustu studentów, ale wrażenie było takie, jakby odbywała się ogromna akcja.

Władza ustępuje

15 października delegację studentów zapraszają do parlamentu. Ale zamiast odczytywania postulatów Donij żąda godziny na żywo na antenie ukraińskiej telewizji. Żeby przyspieszyć decyzję deputowanych, kolumna studentów pod jego przywództwem zajmuje Uniwersytet im. Szewczenki.

Władze ustępują i jeszcze tego samego dnia studenci odczytują swoje żądania na antenie oraz apelują o przyłączanie się do ogólnoukraińskiego strajku studenckiego.

– Występ w Radzie Najwyższej nic nie znaczył, a godzina w telewizji na żywo to było coś. Wtedy były dwa kanały moskiewskie i dwa ukraińskie. Jeden nasz występ i informacja poszła na cały kraj – podkreśla Ołeksandr.

Do strajku przyłączyły się kolejne uczelnie z Kijowa, Lwowa i innych miast. W stolicy protestowali nawet kadeci szkół wojskowych. Do strajku gotowi byli dołączyć robotnicy.

Zwycięstwo i kara

17 października studenci kończą protest z poczuciem zwycięstwa: władza zgadza się z (prawie) wszystkimi postulatami. Podjęta zostaje decyzja o odmowie podpisania nowej umowy związkowej, a także o tym, by ukraińscy poborowi nie służyli poza Ukrainą. Odchodzi premier Masoł. Pozostałe postulaty zrealizowano tylko częściowo: nacjonalizacja majątku Komunistycznej Partii Ukrainy nie następuje (powstaje komisja w tej sprawie), natomiast o tym, czy odbędą się nowe wybory, ma w ciągu roku zdecydować referendum.

– W tej sprawie zabrakło wsparcia ze strony naszych sojuszników. Utworzono komisję, w której wraz z opozycyjnymi deputowanymi mieliśmy większość. Ale Ruch Ludowy nie chciał wyborów. Dlatego dla nas to było kolosalne zwycięstwo, ale dla Ukrainy stracona szansa – mówi Ołeksandr.

Pytam Dmytra i Oksanę, czy odczuli wtedy, że wygrali.

– Tak. Niestety – odpowiadają po chwili milczenia. – Niestety, bo wszyscy pomyśleli, że się udało, że teraz zajmą się tym dalej politycy. Sądziliśmy, że teraz wszystko pójdzie do przodu jak w Polsce – tłumaczy Oksana.

Stanie się inaczej. Ukraina ogłosi niepodległość dopiero za niemal rok, 24 sierpnia 1991 r., i nie w taki sposób, jak chcieli studenci. Postulat niepodległości przejęła bowiem nomenklatura na czele z Krawczukiem, który został pierwszym prezydentem. Komunistyczna Partii Ukrainy została wprawdzie rozwiązana, ale był to tylko manewr, który ułatwił komunistom zachowanie władzy. Działacze Ruchu Ludowego poparli Krawczuka: uważali, że taka cena jest do przyjęcia, byle tylko zaistniało niepodległe państwo. Ale z punktu widzenia studentów miało być inaczej.

Dziś można tylko spekulować: jak potoczyłaby się ukraińska historia ostatnich 30 lat – a zwłaszcza transformacja polityki i modelu gospodarczo-społecznego – gdyby już wtedy (post)komunistyczna nomenklatura przestała pełnić dominującą rolę w kraju? Czy Ukraina byłaby krajem bardziej demokratycznym, nowoczesnym? To pytania bez odpowiedzi.

– Wtedy oczekiwaliśmy lepszego rezultatu – mówi Oksana.

Ołeksandr nie ma wątpliwości, że po ich akcji jesienią 1990 r. starsi dysydenci z Ruchu Ludowego zaczęli wręcz obawiać się aktywności młodego pokolenia. – Zobaczyliśmy w niedługim czasie zmowę komunistów i Ruchu: podnieśli cenzus wieku dla kandydatów do parlamentu z 21 do 25 lat, żebyśmy nie mogli wziąć udziału w kolejnych wyborach. Oni się nas przestraszyli – uważa Ołeksandr. – A potem było już za późno. Polityka się zmieniła, uzależniła się od pieniędzy i ideowi romantycy z niej wypadli.

Pokłosie

Studencka głodówka z 1990 r. przeszła do historii jako Rewolucja na Granicie (plac pokrywały granitowe płyty, stąd nazwa). Moi rozmówcy podkreślają, że protest „zukrainizował" Kijów – dzięki niemu mieszkańcy stolicy poparli postulat niepodległości. Ołeksandr uważa, że akcja stworzyła też mit ukraińskiego ruchu studenckiego, który mobilizował potem młodzież. A namiot stał się symbolem wszystkich kolejnych ukraińskich akcji protestu.

Dmytro i Oksana spotkali się ponownie na akcji „Ukraina bez Kuczmy". Trwała ona od grudnia 2000 do marca 2001 r., a jej celem (niezrealizowanym) było odsunięcie prezydenta Leonida Kuczmy – kolejnego byłego komunistycznego aparatczyka na tym stanowisku. To wtedy zdecydowali, że będą razem. Później uczestniczyli w kolejnych dwóch rewolucjach, w 2004 i 2014 r. Oksana została wolontariuszką, Dmytro ratownikiem medycznym.

Ołeksandr także uczestniczył we wszystkich kolejnych protestach. Przez siedem lat był parlamentarzystą, dziś zajmuje się edukacją obywatelską.

Podczas protestu w 1990 r. po raz pierwszy padła publicznie propozycja nazwania centralnego placu stolicy placem Niepodległości. © PIOTR ANDRUSIECZKO

DIABELSKI LOS

Gdy komórki buntują się przeciw regułom panującym w organizmie, może dojść do rozwoju chorób nowotworowych. U niektórych gatunków wyewoluowały one nawet w postaci zakaźnej.

ŁUKASZ SAKOWSKI

Budzące grozę, bo wciąż w wielu przypadkach śmiertelne, nowotwory są w istocie bardzo zróżnicowaną grupą chorób. Uświadomienie sobie tego jest ważne, gdyż zwykło się mówić o „raku", „guzie" lub „nowotworze", a nie o chłoniaku (powstałym z komórek limfoidalnych), mięsaku (np. kości), potworniaku (z komórek zarodkowych), tłuszczaku (z komórek tłuszczowych), nerwiaku (z komórek nerwowych), glejaku (z komórek glejowych) czy białaczce (z komórek układu krwiotwórczego). Nawet te bardziej skonkretyzowane pojęcia mają pod swoim parasolem odrębne, dalej klasyfikowane choroby: różne białaczki, chłoniaki (np. Hodgkina czy Burkitta), mięsaki itd. „Rak" to formalnie termin obejmujący wyłącznie złośliwe nowotwory nabłonkowe i nabłonkowo-gruczołowe, ale potocznie stosuje się go zamiennie z „nowotworem".

Niektóre nowotwory (np. tłuszczaki) praktycznie nigdy nie są złośliwe, inne zawsze są (np. raki). Złośliwe nowotwory to te, które rozwijają się szybko, potrafią się rozprzestrzeniać do innych części ciała (dając przerzuty) i w dużym stopniu przebudowują otaczające je tkanki. To wszystko ma znaczenie w dyskusjach o leczeniu, bo gdy zdamy sobie sprawę z tego, że wiele nowotworów to istotnie różne choroby, zrozumiemy, że szukanie uniwersalnego, jednego leku na wszystkie choroby nowotworowe, jakie często oferują różnej maści hochsztaplerzy, może się mijać z celem. Jeden lek będzie działał na określony nowotwór, ale na inny już nie, np. dlatego, że zostały w nich zaburzone różne szlaki ekspresji genów i metaboliczne. Po części podobnie rzecz ma się z prewencją: niejednokrotnie coś, co chroni przed nowotworzeniem w jednej tkance, zwiększa ryzyko w innej; choć warto dodać, że procesy stojące u podstaw powstawania komórek nowotworowych są podobne, więc unifikacja w prewencji jest czymś bliższym prawdzie niż w leczeniu. Nowotworów łagodnych z kolei często nawet się nie leczy, bo w wielu przypadkach stanowią mankament jedynie estetyczny (jak choćby włókniaki). Nowotwory zakaźne, na których w tym tekście się skupimy, są ze swej natury złośliwe, inwazyjne i jak sama nazwa wskazuje – dodatkowo infekcyjne.

Strażnicy i opiekunowie

Komórki nowotworowe, a potem ich skupiska, guzy i przerzuty, wykształcają się wskutek mutacji genetycznych oraz zmian na poziomie epigenetycznym (czyli głównie chemicznych dodatków do DNA i białek, na które jest ono nawinięte). Modyfikacje te pierwotnie muszą zajść w tzw. genach opiekunach oraz genach strażnikach. Te metaforyczne nazwy odnoszą się do genów, których produkty białkowe działają regulująco – hamująco lub pobudzająco – na wzrost i podziały komórkowe (geny strażnicy – z ang. *gatekeeper genes*) oraz do tych zaangażowanych w naprawę DNA (geny opiekunowie – z ang. *caretaker genes*).

Kiedy mutacje sprawią, że mechanizmy te zostaną rozstrojone – aktywność białek hamujących dzielenie komórek spadnie, pobudzających wzrośnie, a te naprawiające uszkodzenia nie będą prawidłowo działać, częściej przepuszczając błędy – komórki zaczną nadmiernie się rozmnażać, wykazywać nietypowe dla swojej tkanki cechy, naciekać na komórki sąsiadujące. Będą rakowacieć.

Istnieje sześć szczególnych, niemal uniwersalnych, stopniowych cech, jakie nabywają komórki, stając się nowotworowymi. Po pierwsze, nawet jeśli nie otrzymują cząsteczek hormonalnych pobudzających wzrost i podziały, to i tak rosną. Dzieje się tak, ponieważ samodzielnie stymulują u siebie te procesy, mając zdolność do ich niezależnej intensyfikacji. Drugi kluczowy etap to brak odpowiedzi na molekularne czynniki hamujące. Komórki znajdujące się na drodze ku nowotworzeniu ignorują sygnały, że powinny przestać się dzielić. Nie ma też dla nich znaczenia to, że zaczynają naciskać na sąsiadujące komórki – nie działa tutaj hamowanie kontaktowe. Ekspansja trwa. Zawodzi także trzeci mechanizm, czyli zjawisko apoptozy, określanej potocznie jako samobójcza, „altruistyczna" śmierć komórki, dokonywana za pośrednictwem enzymów egzekutorowych. Co więcej, komórka o nowotworowym potencjale zyskuje nieśmiertelność replikacyjną – w teorii może się dzielić wiecznie. U większości zdrowych komórek liczbę podziałów znacząco ogranicza żywotność tzw. telomerów (końcowych odcinków DNA w chromosomach, zabezpieczających materiał genetyczny przed zniszczeniem). Komórki nowotworowe, jak również niektóre komórki macierzyste, w przeciwieństwie do „zwyczajnych" komórek, odbudowują po podziałach telomery w nieskończoność.

Piąta rzecz to zaopatrzenie. Rakowaciejące komórki pobudzają rozwijanie się w swoim otoczeniu naczynek krwionośnych, aby otrzymywać potrzebne do metabolizmu, wzrostu i podziałów związki pokarmowe oraz tlen. Dla nowotworów przerzutujących wyróżnia się ponadto szósty etap zmian, polegający na zyskaniu zdolności do migrowania po układzie krwionośnym i limfatycznym i osadzania się w innych tkankach. ↦

ARTERRA / GETTY IMAGES

Diabły tasmańskie słyną z agresywnych zachowań. Ułatwiają one transmisję nowotworu.

Ewolucja w ciele

Jest jeszcze jedna ważna bariera ograniczająca nowotworzenie, stawiająca opór zerwanym ze smyczy molekularnego systemu komórkom. To układ odpornościowy, który aktywnie wyszukuje i niszczy komórki nowotworowe. Produkują one bowiem tzw. neoantygeny, czyli zmodyfikowane antygeny swojego gospodarza – molekularne znamiona, na podstawie których komórki układu odpornościowego (m.in. limfocyty) rozpoznają, czy mają do czynienia ze „swoim" czy „obcym". Ważny dla tego procesu jest składający się z białek różnych klas tzw. główny układ zgodności tkankowej (ang. *major histocompatibility complex* – MHC). Jego nieprawidłowe działanie – np. w wyniku mutacji – może doprowadzić do tego, że komórki nowotworowe nie zostaną zidentyfikowane i usunięte przez limfocyty. Komórka nowotworowa może też zwodzić układ odpornościowy poprzez ingerencję w produkcję związków wabiących bądź odstraszających komórki immunologiczne.

Liczebność diabłów tasmańskich znacząco spadła: od lat 90. do 2015 r. o ponad 90 proc.
Winę ponosi zakaźny nowotwór pyska.

Wyobraźmy sobie nowo powstałą komórkę mającą potencjał, by stać się w pełni nowotworową i by móc stworzyć całą populację komórek potomnych, które w przyszłości doprowadzą do wyrośnięcia guza, przerzutowania i w końcu uśmiercenia swojego gospodarza. Zanim to wszystko nastąpi, komórka musi pokonać szereg przeszkód czy ograniczeń obecnych w jej środowisku, takich jak związki stymulujące czy hamujące wzrost i podziały, komórki sąsiadujące, dostęp do związków odżywczych czy aktywność układu odpornościowego. Wszystko to jest dla komórek nowotworowych otoczeniem w takim samym, biologicznym rozumieniu, w jakim dla roślin czy zwierząt są nim warunki atmosferyczne, nadmiar lub niedobór wody i jedzenia, drapieżcy itd. Przetrwają te komórki, które lepiej sobie w tym środowisku poradzą, a także te korzystniej (dla nich!) i wydajniej mutujące. Dlatego nie powinno nas dziwić, że na komórki nowotworowe działa dobór naturalny, tzn. podlegają one ewolucji w naszych ciałach, do coraz doskonalszych – z ich perspektywy – form. Doskonalszych, czyli skuteczniej przeciwdziałających mechanizmom odpornościowym, lepiej wzrastających, szybciej przerzutujących, a w przypadku rozpoznanych i leczonych nowotworów niejednokrotnie także do form niereagujących na zastosowane uprzednio leczenie (komórki, które przetrwały chemioterapię, mogły nabyć odporność na określony lek).

Akcja kolonizacyjna

Ten ewolucyjny wyścig pomiędzy nowotworem i jego gospodarzem (a na późniejszych etapach także lekarzem onko-

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 342/19 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanych nieruchomości położonych w Dobieszczyźnie:
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 302/1, arkusz mapy 2, o powierzchni 0,01,00 ha,
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 302/2, arkusz mapy 2, o powierzchni 0,01,00 ha,
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 302/3, arkusz mapy 2, o powierzchni 1,16,00 ha,
dla których nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Sąd Okręgowy w Krakowie, III Wydział Karny, na podstawie art. 131 § 2 k.p.k., zawiadamia, że postanowieniem z dnia 24 lipca 2020 r., w sprawie III Ko 262/20, na podstawie art. 1 ust. 1, art. 3 ust. 1, art. 5 ust. 1 ustawy z dnia 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego (Dz. U. Nr 34, poz. 14), stwierdził nieważność wyroku byłego Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie z dnia 8 października 1946 r., sygn. akt Sr 638/46, wydanego w odniesieniu do Juliana Jodłowca, s. Karola i Anny z d. Juraszków, ur. 23 kwietnia 1922 r. w Jeleśnej.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 392/19 postępowanie z wniosku Niny Pańczak o stwierdzenie nabycia spadku po:
– Bożenie Marii Spychaj, zm. 27 października 1992 r. w Jarocinie, ostatnio zamieszkałej w Jarocinie;
– Mieczysławie Spychaju, zm. 9 lipca 1993 r. w Jarocinie, ostatnio stale zamieszkałym w Jarocinie.
W skład spadku po zmarłych wchodzą ich udziały w prawie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 355/19 postępowanie z wniosku wierzyciela PROTEGA T 1 Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty o stwierdzenie nabycia spadku po Szczepanie Karolczaku, zm. 25 marca 2018 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

logiem stosującym terapie wymierzone w komórki nowotworowe) kończy się wraz ze śmiercią pacjenta. Jednak zdarza się, że komórki nowotworowe zyskują zdolność do rozprzestrzeniania się na inne osobniki gatunku, u którego powstały.

Na przykład jeżeli różnorodność genetyczna genów głównego układu zgodności tkankowej jest niewielka w danej populacji, a do tego na skutek nagromadzonych mutacji i modyfikacji epigenetycznych ich ekspresja spada, to nowotwór może stać się w pewnym sensie odrębnym biologicznym patogenem. Na skutek genetycznego podobieństwa nowotworowych komórek lub rozmaitych manipulacji z ich strony organizm pierwszego gospodarza nie zniszczy nowotworu, a gdy dojdzie do przeniesienia takich komórek do kolejnego organizmu, nie zostaną one wykryte i usunięte (jak dzieje się choćby z odrzuconym przez biorcę przeszczepem), tylko rozgoszczą się i doprowadzą do choroby. Śmiertelnie niebezpiecznej. Przykładem tak działającego nowotworu jest rak pyska diabła tasmańskiego.

Liczebność diabłów tasmańskich w ostatnich dwóch-trzech dekadach znacząco spadła: od lat 90. do 2015 r. o ponad 90 proc. Przyzwyczajeni do tego, że duże, fascynujące zwierzęta mają się coraz gorzej przez działalność ludzi, moglibyśmy przypuszczać, że tak jest i z diabłami tasmańskimi. W tym przypadku to jednak nie aktywność człowieka jest największym zagrożeniem, lecz właśnie choroba – rak pyska przenoszony z jednego osobnika na kolejne. Guzy badane u tych zwierząt są genetycznie tożsame i mają wspólne pochodzenie. Wywodzą się prawdopodobnie od lemocytów, czyli komórek glejowych osłaniających wypustki komórek nerwowych. Rak pyska diabła jest chorobą bardzo podstępną, bo atakującą znacznie aktywniej osobniki silniejsze. Jest to skutkiem zachowań diabłów tasmańskich oraz sposobu przenoszenia się tego nowotworowego patogenu. Jego transmisja następuje głównie podczas podgryzania, będącego zachowaniem towarzyszącym kopulacji. Te zwierzęta, które są bardziej predysponowane do rozrodu i radzą sobie lepiej, mogą być częściej ofiarami choroby.

Jak to się dzieje, że komórki pochodzące od innego organizmu nie są rozpoznawane przez układ odpornościowy diabła tasmańskiego? Niestety różnorodność genetyczna genów głównego układu zgodności tkankowej jest wśród tych mięsożernych torbaczy nieduża, co sprzyja „akceptowaniu" komórek o cudzym zestawie genów, ale zbliżonym do własnych. Kluczowe wydaje się być jednak wyciszenie aktywności białek MHC na poziomie epigenetycznym.

11 tysięcy lat temu powstała rakowa linia komórkowa, która wywołuje tzw. mięsaka Stickera u kolejnych pokoleń psów.

Diabły tasmańskie nie są jedynymi kręgowcami, u których wykryto nowotworową chorobę zakaźną. Infekcyjnym guzem nękane są także psy oraz inne czworonogi należące do rodzaju *Canis*, czyli wilka.

Spotkać je może śmierć z powodu liczącego sobie około 11 tys. lat mięsaka (zwanego mięsakiem Stickera). To właśnie tyle lat temu, według szacunków, powstała rakowa linia komórkowa, kontynuowana pod postacią nowotworowych zmian u kolejnych pokoleń psów. Mięsak Stickera pierwotnie infekuje z reguły narządy płciowe, a ponieważ psy nie są zwierzętami monogamicznymi, patogen może się łatwo rozprzestrzeniać. Są to jednak zwierzęta udomowione, pod znaczącą kontrolą człowieka. O ile więc trudno znaleźć skuteczny lek dla diabłów i tym bardziej systemowo go stosować, o tyle wykonanie chemioterapii u psów, skierowanej na mięsaka zakaźnego, nie jest niczym nadzwyczajnym i przynosi dobre rezultaty.

Co zabija małże

Kanada jest istotnym producentem małży na światowym rynku owoców morza. Większość z nich pozyskiwana jest w tym kraju w okolicach Wyspy Księcia Edwarda. Tamtejsze populacje małgwi piaskołaza, osłabiane przez powszechną u tego gatunku białaczkę, stanowiły zmartwienie hodowców i poławiaczy. Wydawało się, że powoduje ją jakiś wirus – w końcu nie byłoby to nic nowego, bo od dawna wiadomo, że patogeny wirusowe mogą prowokować choroby nowotworowe, „mieszając" w genach gospodarzy, czego przykładem są niektóre herpeswirusy (do tej rodziny należy m.in. wirus ospy wietrznej) czy wirus brodawczaka ludzkiego (odpowiedzialny za nowotwór szyjki macicy).

Ale badania genetyczne wskazały innego winowajcę u małży. Okazało się, że podobieństwo między nowotworami różnych osobników, pochodzących z oddalonych miejsc, jest większe niż zgodność genetyczna nowotworu i jego gospodarza. Innymi słowy, komórki nowotworowe znalezione w zupełnie innej lokalizacji, u innych osobników, są ze sobą bliżej spokrewnione niż z komórkami chorujących małgwi. Gdyby białaczkę powodował wirus, to genetyczna bliskość byłaby odwrotna – musi więc chodzić o zakaźny nowotwór. Takie nowotwory nie są zresztą w gromadzie małży rzadkością. Wykrywano je u innych gatunków, także w populacjach bardzo od siebie odległych, np. bytujących u wybrzeży Francji i Chile. Cóż, w erze globalizacji łatwo i szybko przenieść można nie tylko osobnika gatunku inwazyjnego dla docelowego ekosystemu, ale także jego patogeny.

Być może choroby tak odległych nam organizmów jak małże nieprzesadnie nas martwią, ale skoro oprócz mięczaków nowotwory zakaźne występują też u psów i diabłów tasmańskich, to czy możliwe byłoby zakażenie nowotworem u człowieka?

Możemy odetchnąć z ulgą, bo do tej pory nie wykryto infekcyjnej, pasożytniczej choroby nowotworowej w naszym gatunku. Znane są jedynie rzadkie przypadki bezpośredniej transmisji, np. wraz z przeszczepianym organem. Nie znaczy to jednak, że nigdy nie będzie możliwe, żeby taki patogen wyewoluował – przy odpowiednich warunkach, okolicznościach i wystarczająco długim czasie istnienia *Homo sapiens*. Być może zresztą w historii naszego gatunku powstał już kiedyś nowotwór zdolny do przenoszenia się między osobami, ale wymarł wraz ze swoim gospodarzem bądź całą populacją, albo wciąż gdzieś czyha, w społeczności wolnej od najnowszych zdobyczy technologii komunikacyjnych, i po prostu jeszcze o nim nie wiemy.

© ŁUKASZ SAKOWSKI

Klątwa zwycięzców

RAFAŁ WOŚ

Komitet przyznający ekonomiczne Nagrody Nobla od dawna nie nadąża za tym, co w tej dziedzinie najciekawsze i najbardziej aktualne.

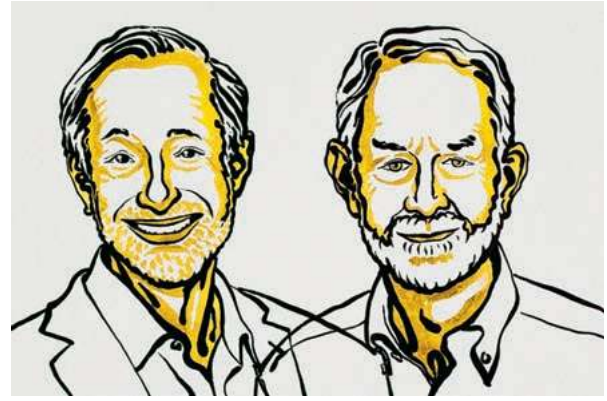

NIKLAS ELMEHED / NOBEL MEDIA

Paul R. Milgrom i Robert B. Wilson

W tym roku Nagroda Banku Szwecji w dziedzinie ekonomii ku czci Alfreda Nobla trafiła w ręce dwóch Amerykanów: Paula Milgroma z Uniwersytetu Stanforda oraz Roberta B. Wilsona z Harvardu. To typowy zestaw laureatów: jak dotąd wśród 86 pojawiły się tylko dwie kobiety, a dwóch na trzech pochodzi z USA. Mało zaskakujące jest także to, że wyróżniono autorów prac, które mają dla współczesnej debaty ekonomicznej znaczenie marginalne.

OBLICZA RACJONALNOŚCI Milgrom i Wilson zostali uhonorowani za opisanie zjawiska „przekleństwa (lub klątwy) zwycięzcy". Chodzi o sytuację, w której dochodzi do licytacji czegoś, czego wartość nie jest z góry ustalona. Sam termin wywodzi się z żargonu uczestników aukcji dotyczących praw do eksploatacji surowców naturalnych. Każdy z uczestników przetargu chciał wygrać i czerpać zyski z wydobycia. Nikt jednak nie był pewien, ile tych zysków faktycznie będzie. Być może złoże okaże się bardzo wydajne, a cena pójdzie w górę. A może będzie odwrotnie: wynikną po drodze niespodziewane kłopoty z eksploatacją, rynek zaś odwróci się od surowca. Gdy dochodziło do aukcji, wygrywał ją oczywiście najbardziej optymistycznie nastawiony uczestnik. W rzeczywistości jednak bardzo często okazywało się, że to on ją... przegrywał. W ostateczności bowiem zyski okazywały się niższe od zakładanych. W praktyce więc ten, kto dawał najwięcej, z reguły przepłacał, padając ofiarą wspomnianego przekleństwa zwycięzcy.

Prace noblistów poszły o krok dalej. Wilson pokazał np., że z powodu strachu przed klątwą zwycięzcy racjonalni uczestnicy aukcji obstawiają niżej, niżby w rzeczywistości mogli. A jeśli nie ma wśród uczestników gracza nieracjonalnego, to ostateczny wynik aukcji idzie w dół. W związku z czym nadzieje sprzedającego na uzyskanie bardzo dobrej ceny zazwyczaj muszą zostać zrewidowane. Są jednak takie rynki – dodawał swoje trzy grosze Milgrom – na których uczestnicy aukcji zaczynają się kierować „wartością osobistą". To np. oczekiwania, jakie nabywca ma wobec wymarzonego domu albo okolicy, w której się znajduje. To z kolei podnosi cenę licytowanego dobra, choć nie jest zachowaniem nieracjonalnym.

Badania Milgroma i Wilsona można więc wykorzystać przy konstruowaniu zarówno strategii kupna, jak i sprzedaży jakiegoś towaru. Nieważne, czy chodzi o stary mebel wystawiony w internecie, czy o częstotliwości radiowe oferowane przez rząd. I choć ich wnioski mogą być szeroko stosowane, nie dotykają żadnych kluczowych wyzwań naszych czasów. Jednym z nielicznych wyjątków od tej reguły była ubiegłoroczna nagroda: Abhijita Banerjeego, Esther Duflo i Michaela Kremera wyróżniono za refleksje nad problemem biedy na świecie. Ich innowacyjność polegała na tym, że zamiast tworzyć jeden pasujący do wszystkich biednych zestaw środków zaradczych, postawili na eksperymenty. Nie było to może szalenie wywrotowe, choć dla wielu ekonomistów i organizacji pomocowych działających wedle zasady „my wiemy lepiej, czego wam potrzeba" – pewnie dość przełomowe.

UPADAJĄCE DOGMATY Można zadać pytanie: dlaczego Komitet Noblowski jest tak zachowawczy? Pewnych wskazówek dostarcza historia nagrody. Była ona pomysłem szwedzkiego biznesu, zwłaszcza sektora finansowego. Chodziło o podniesienie prestiżu szwedzkiego banku centralnego i uniezależnienie go od wpływów politycznych – zwłaszcza nacisków socjaldemokracji, która podkreślała, iż znajduje się on poza bezpośrednią demokratyczną kontrolą i uchyla się od wspierania bieżącej polityki zwalczania bezrobocia albo przeciwdziałania kryzysom.

Jednak pewnie nawet sami pomysłodawcy nie spodziewali się, że znaczenie nagrody tak szybko przekroczy granice Szwecji. I znacząco ułatwi neoliberalny zwrot w polityce gospodarczej ostatnich 40 lat. Przez kilka dekad Noble z ekonomii zgarniali niemal wyłącznie ekonomiści prorynkowi, co przełożyło się na wyrugowanie z debaty na Zachodzie ekonomii innej niż ortodoksyjnie liberalna. To, że tak wielu z nas mówiąc „podatki", myśli: „najlepiej niskie", albo myśląc „państwo", dopowiada: „mniej efektywne niż rynek", zawdzięczamy m.in. doborowi laureatów tej nagrody.

Po roku 2000 zestaw noblistów zaczął się poszerzać, np. o tzw. neokeynesistów czy przedstawicieli ekonomii behawioralnej. Wszyscy oni mówią i myślą o ekonomii jednak w sposób dość zachowawczy.

Dzieje się to w czasach niespokojnych, gdy padają fundamentalne pytania o przyszłość, a prawidła ekonomii neoliberalnej chwieją się w posadach. Otwarte jest pytanie o dopuszczalną wysokość długu publicznego. Wygląda na to, że rola państwa w promowaniu innowacyjności powinna być większa niż dotąd. A inflacja jest we współczesnym świecie bardziej projekcją lęków niektórych ekonomistów niż faktycznym zagrożeniem. Tego wszystkiego jednak komitet przyznający ekonomiczne Noble zdaje się nie widzieć. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

310 756,83 zł
to kwota, jaką do końca września otrzymaliśmy z przekazanego nam przez Państwa 1% podatku w jubileuszowym roku 75-lecia „Tygodnika Powszechnego".

Dziękujemy –
to bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność
jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania"), kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Copernicus, Conrad
to festiwale – perły w koronie fundacyjnych przedsięwzięć. Razem z Lekcjami Czytania budują kulturę odbioru literatury czy nauki, edukują kolejne pokolenia świadomych odbiorców – obywateli.

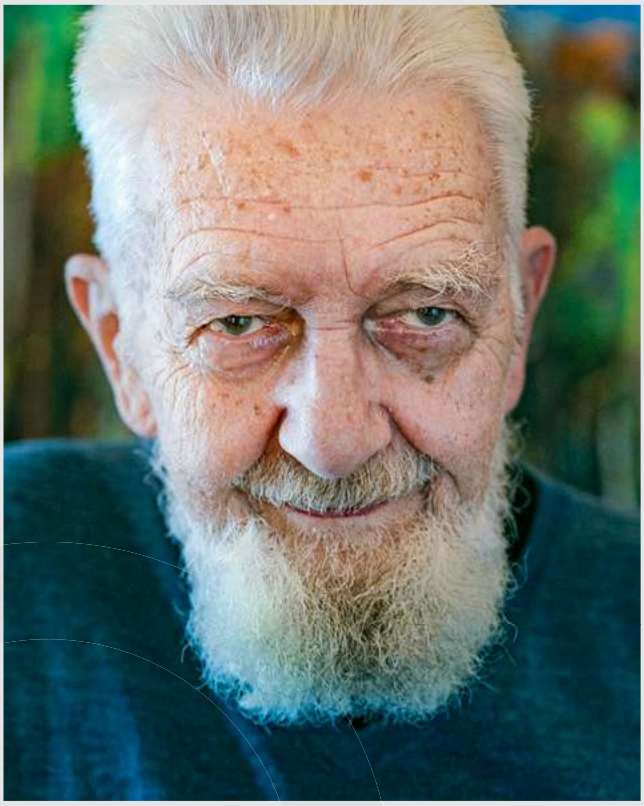

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Wdzięczność
wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za to bardzo wymierne potwierdzenie, że „Tygodnik" jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest Wam potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

ks. Adam Boniecki

i zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego

OGŁOSZENIE OPP

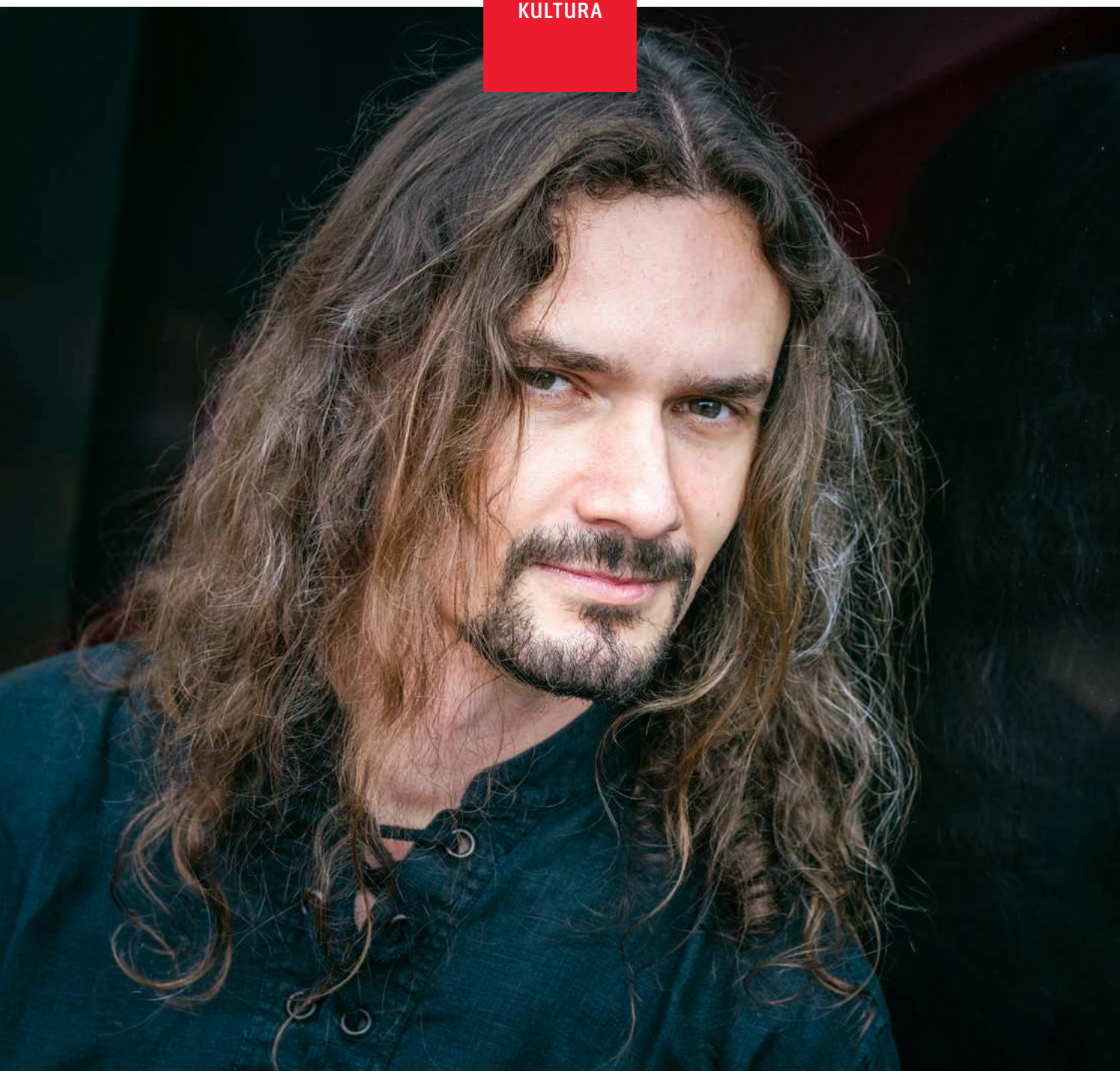

ZWROTNIK RAKA

W polskich powieściach sztuka opowiadania zanika, choć powinna być ich sednem. Tylko na gruncie fantastyki uprawia się jeszcze autentyczne fabuły.

TOMASZ PINDEL

ANNA REZULAK / KFP

Radek Rak, sierpień 2020 r.

Literacka Nagroda Nike trafiła w tym roku w ręce pisarza wydawanego przez oficynę postrzeganą jako środowiskowa i za książkę, która ewidentnie wpisuje się w nurt fantastyki. Czy wyróżnienie powieści „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli" Radka Raka to punkt zwrotny i kres wciąż pokutującego podziału na literaturę wysoką i fantastyczną?

Trzy kroki

Droga Radka Raka do Nike nie była specjalnie długa: wystarczyły mu trzy powieści wydane w ciągu sześciu lat. Powieściowy debiut, czyli „Kocham cię, Lilith", ukazał się w 2014 r. nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka, które ma długą tradycję publikowania fantastyki, lecz książka Raka nie była wcale tak prezentowana. Nic w tym dziwnego. W opowieści o młodym kuracjuszu z beskidzkiego sanatorium, który wikła się w erotyczne gry, sporo jest onirycznych wizji, ale gatunkowo raczej trudno byłoby ją przypisać do nurtu fantastycznego. Recenzje i reakcje czytelników były raczej ciepłe, ale nieentuzjastyczne, powtarzały się w nich zarzuty o narracyjne mielizny, niemniej dość powszechnie dostrzegano istotny atut tej prozy: język.

– Zachwycił mnie styl, bo choć to była jego pierwsza powieść, miał już dojrzały, wypracowany język. Taka świadomość środków na tak wczesnym etapie rzadko się zdarza – wspomina Agata Pieniążek, redaktorka, która na Raka trafiła, zainteresowała się szkicem jego pierwszej powieści i doprowadziła do jej wydania. – Rzadko kto tak dzisiaj pisze. Nie rozmawiałam z nim o tym, ale założę się, że po prostu przeczytał bardzo dużo bardzo dobrych książek.

Pieniążek od lat wydaje polskich autorów i wyszukuje ciekawych debiutantów. Fantastyki raczej nie czytuje, ale ma informatorów, którzy trzymają rękę na pulsie. O Raku powiedział jej Jacek Dukaj.

– Czytałem Radka od pierwszych opowiadań w „Nowej Fantastyce" – mówi Dukaj. Rak debiutował na łamach tego miesięcznika w 2011 r. – Było oczywiste, że to talent literacki i osobna wrażliwość. Na mnie działa szczególnie taka praca na języku: ugniatanie go i wyplatanie pod własną melodię, tak że w końcu przyjmujesz go za nową naturalność: tak się pisze, tak się mówi, tak się myśli. Zwłaszcza że trend w literaturze jest odwrotny: standaryzacja i przeźroczystość języka.

Druga powieść Raka – rozgrywające się w magicznym Lublinie „Puste niebo" – ukazała się dwa lata później nakładem wydawnictwa Powergraph. To rodzinna oficyna, prowadzona przez Katarzynę Sienkiewicz-Kosik i Rafała Kosika, pierwotnie agencja reklamowa (stąd ta mało literacka nazwa), ale że pierwsza wydana książka – tom Kosika inaugurujący cykl „Felix, Net i Nika" – okazała się niespodziewanie ogromnym sukcesem, działalność marketingowa ustąpiła wydawniczej. Powergraph kojarzony jest z literaturą dziecięco-młodzieżową i czystej wody fantastyką, acz „Puste niebo" trafiło do serii „Kontrapunkty", w której pojawiają się autorzy fantastykę uprawiający, ale w swoich niefantastycznych odsłonach. Chociaż do przejścia Raka do „środowiskowej" oficyny doszło w okolicznościach też jak najbardziej środowiskowych.

– Radka Raka poznałam na Polconie w Bielsku-Białej w 2014 r. – wspomina Sienkiewicz-Kosik. – Wieczorem spotkaliśmy się ze znajomymi i był tam również Radek. Zagadałam go, że podobno piękną książkę napisał, a on zapytał, czy może do Powergraphu wysłać swoją nową powieść. Którą oczywiście potem wydałam. Było to właśnie „Puste niebo".

Trzy lata później, w 2019 r., w tej samej serii ukazała się „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli".

Przebicie sufitu

Pierwsze egzemplarze „Baśni..." kupić można było na sierpniowym Polconie 2019 w Białymstoku. Polcon to główny konwent – zjazd miłośników fantastyki – wędrujący co roku do innego miasta: to tu bije serce polskiego fandomu, czyli ruchu fanowskiego.

Radek Rak był gościem imprezy, uczestniczył w dyskusjach panelowych, kręcił się po korytarzach z rozwianym włosem i w stroju kojarzącym się z chłopską sukmaną. Mówił powoli, z namysłem, jakby z dystansem. Odnosząc się do jednego z pytań opowiedział swoistą parabolę, jak to ze swojego gabinetu weterynaryjnego – Rak jest praktykującym weterynarzem – często słyszy zacięte dyskusje właścicieli psów, ↦

↦ którzy wykłócają się, czy zwierzęta należy odrobaczać co roku, co sześć miesięcy czy co kwartał, wręcz skaczą sobie do gardeł, gdy tymczasem, komentuje spokojnie Rak, można to robić i co roku, i co sześć miesięcy, i co kwartał. Pasuje to do pisarza, który za jedną ze swych najważniejszych lektur uznaje „Dziennik azjatycki" Thomasa Mertona, współgra z refleksyjnym tonem najnowszej powieści.

„Przypuszczałem, że książka jakoś zaistnieje w środowisku fantastycznym, że ktoś z fandomu ją zauważy. Ale nie przypuszczałem, że to wyjdzie poza sferę »lokalną«" – przyznał Rak w jednym z wywiadów. Środowisko faktycznie zauważyło, świadczy o tym liczba i ton omówień czy choćby tytuł „Książki Roku" przyznany przez redakcję „Nowej Fantastyki". Ale wiosenny sezon nominacji do nagród literackich przyniósł dwa wielkie zaskoczenia: „Baśń o wężowym sercu" znalazła się na liście pięciu tomów prozy nominowanych do Literackiej Nagrody Gdynia oraz na długiej liście nominacji, a potem krótkiej liście finalistów Nike. Wprawdzie w przeszłości do Nike nominowani byli Andrzej Sapkowski za „Narrenturm" i Jacek Dukaj za „Lód", ale obaj nie wyszli z pierwszej dwudziestki. Powieść Raka zauważyły też media głównego nurtu i krytycy.

Tylko dlaczego właściwie miałoby to być zaskakujące? Przecież jest to proza pod każdym względem udana: baśniowo-historyczna opowieść o Jakubie Szeli, przywódcy rabacji galicyjskiej z połowy XIX wieku, podana z rozmachem, pomysłem i językową wrażliwością. Pełna magii, ale także refleksji nad podziałami społecznymi. W kraju, w którym dobrych powieści wcale tak dużo się nie ukazuje, honory spotykające „Baśń..." nie powinny nikogo dziwić. A jednak dziwiły. Z prostej przyczyny: wszak to fantastyka, która, rzecz niebywała, wkracza na salony literatury wysokiej!

Murem oddzieleni

Na codzienność współczesnego konsumenta kultury podziały na fantastykę i niefantastykę, na kulturę wysoką i gatunkową zazwyczaj nie mają żadnego przełożenia: czytamy książki, oglądamy filmy i seriale nie zastanawiając się nad ich klasyfikacją, a akurat fantastyka obecna jest w dzisiejszej kulturze w stopniu wysokim. Jeśli jednak przyjrzymy się tym, którzy nazywani bywają dystrybutorami prestiżu – na gruncie literackim będą to czasopisma, krytycy, oficjalni recenzenci, gremia przyznające nagrody i tworzące programy festiwali literackich – podejrzliwy, pogardliwy albo lekceważący stosunek do fantastyki bynajmniej nie jest pieśnią przeszłości.

„Najpierw, w dzieciństwie, czyta się bajki, potem fantastykę, następnie fikcję, po nich reportaże, a kończy się na biografiach, wspomnieniach i książkach o drugiej wojnie. Tak mniej więcej wyglądają fazy życia czytelnika, chociaż oczywiście nie każdego, a czasami dojrzewanie bywa opóźnione" – pisała przed kilkoma miesiącami Kinga Dunin w „Krytyce Politycznej", w recenzji pt. „Ojciec ziemia jest na nas zły", nawiasem mówiąc: pozytywnej, pewnego cyklu *fantasy*.

Michał R. Wiśniewski, także niestroniący od fantastyki, na łamach „Gazety Wyborczej" całkiem na serio stwierdził, że „czytanie jest niebezpieczne, zwłaszcza czytanie fantastyki", bo „ideologicznie zaślepieni" pisarze mogą wciskać „słabiej ukształtowanym umysłom" groźne poglądy („Ideologie w pułapce metafor, czyli czytanie fantastyki szkodzi"). Trudno nie dostrzec w tych wypowiedziach co najmniej protekcjonalizmu, choć częstszą praktyką jest po prostu ignorowanie fantastyki.

Jeszcze w sierpniu tego roku Marcin Zwierzchowski, redaktor „Nowej Fantastyki", komentował w „Polityce", że choć w tegorocznych festiwalach Stolica Języka Polskiego w Szczebrzeszynie, Big Book, Literacki Sopot i Festiwal Conrada miało wziąć udział około dwustu ludzi pióra, nie przewidziano ani jednego twórcy czy twórczyni fantastyki („Festiwale literackie: fantastyka non grata?").

O fantastyce pisze się na łamach pism środowiskowych, fantastycznych pisarzy zaprasza się na konwenty, a jej krytyką zajmują się tylko fandomowi krytycy. Oczywiście są wyjątki, publicyści w rodzaju Wojciecha Orlińskiego czy Pawła Dunina-Wąsowicza, którzy doskonale znają polską literaturę gatunku (choć ten drugi programowo omija *fantasy*). Docenia się dzieła autorów o fantastycznym rodowodzie – jak Szczepan Twardoch czy Łukasz Orbitowski – ale dopiero wtedy, gdy od środowiska się odcięli. Jest też coraz więcej poważnych publikacji naukowych poświęconych polskiej fantastyce, efekt dojścia do głosu i stopni naukowych nowego pokolenia humanistów ukształtowanych czytelniczo przez Tolkiena, Sapkowskiego i innych. Ale podział i uprzedzenia wciąż są widoczne.

– Mur między fantastyką a tzw. głównym nurtem kruszeje od lat. Wciąż jednak stoi – zauważa Zwierzchowski. – Gdy obserwuję, jak pisząc o „Baśni o wężowym sercu" krytycy i media łamią sobie języki, opisując książkę na najróżniejsze sposoby, bez użycia słowa „fantastyka", obawiam się, że może potrwać to jeszcze długo.

Uczciwie trzeba jednak zaznaczyć, że środowisko fantastów także pielęgnuje poczucie odrębności i określenie „getto" częściej pada ze strony samego fandomu właśnie. „Jestem chłopakiem z getta. Gdyby SF było podobne do nowojorskiego Harlemu, byłbym czarny jak fortepian, nosiłbym włóczkowy beret i berettę, mówiłbym »Yo, Man« (...) Jestem więc chłopakiem z getta i zazwyczaj nie czytuję »Magazynu Literackiego«, bo to jest pismo białasów. Nie dlatego, bym nim pogardzał. Tylko że mnie to nie interesuje. (...) »Magazyn Literacki« podchodzi do nas, pariasów, z pewną ostrożną życzliwością, odrobinę zabarwianą litością i zażenowaniem, jaką rezerwuje się dla ludzi ciężko zaburzonych i ich dzieł albo takich osobliwych zjawisk z pogranicza cywilizacji, jak disco polo" – pisał 20 lat temu w „Feniksie" Jarosław Grzędowicz, jeden z poczytniejszych autorów polskiej fantastyki („Jak obronić getto"). Stosunek wielu czytelników i twórców do mainstreamu cechuje dwuznaczność: z jednej strony pewien żal, z drugiej satysfakcja z bycia kimś osobnym.

Spór o pryncypia

„Sytuacja (...) jest o tyle zabawna, że żyjąc w kraju Lema i Dukaja fantastyka nadal musi udowadniać, że nie jest Untermenschem literatury" – zauważa Radek Rak w rozmowie dla badloopus.pl. Patronat Lema, niekwestionowanego giganta polskiej prozy XX wieku, jest jednak niejednoznaczny: uznanie jego geniuszu wcale nie przekłada się na szacunek dla uprawianego przezeń gatunku, o którym zresztą sam mistrz mówił rzeczy raczej cierpkie – o jego stosunku do ruchu fanowskiego lepiej w ogóle nie wspominać. Trudnych relacji między głównym nurtem a fantastyką nie należy sprowa-

dzać do kwestii gustów czy środowiskowych przepychanek, bo we wzajemnych zarzutach dostrzec można poważną dyskusję nad współczesną literaturą, a ściślej: beletrystyczną prozą.

Cóż zarzucają fantaści mainstreamowi? Że jego proza zapomina o fabule i bohaterach, skupia się tylko na lingwistycznych popisach i stylistycznych fajerwerkach. Nie tylko nie bawi, ale też w ogóle nie mówi o niczym istotnym, lubuje się w jałowych psychologicznych wiwisekcjach. Klarownie wyraził to Jacek Dukaj, pisarz doceniony przez mainstream, od kiedy ze środowiskowej SuperNowej przeszedł do Wydawnictwa Literackiego (można by się zastanawiać, co jest tu skutkiem, a co przyczyną) w swoim „Lamencie miłośnika grubych cegieł": sztuka snucia opowieści zanika, a przecież to *storytelling* jest sednem powieści; tylko na gruncie fantastyki uprawia się jeszcze autentyczne fabuły.

Z kolei *mainstream* ma do fantastyki pretensje, że ogranicza się do celów rozrywkowych, pisana jest niedbałym językiem i grzeszy skłonnością do eskapizmu. W zarzutach tych dostrzec można charakterystyczną tendencję do oceniania gatunku na podstawie słabszych pozycji, zapewne stanowiących większość – ale czyż we wszystkich literackich szufladkach teksty wtórne i nieodkrywcze nie przeważają nad dobrymi? Podobnie kwestia języka: płaski styl cechuje większość prozatorskiej produkcji w ogóle, nie tylko w dziedzinie fantastyki, a kto choćby liznął Sapkowskiego, Brzezińskiej, Dukaja, Huberatha czy właśnie Radka Raka, raczej nie zarzuci im językowej nieświadomości.

I wreszcie eskapizm, koronny argument na rzecz niedojrzałości. W innym szkicu („Stworzenie świata jako gałąź sztuki", „Tygodnik Powszechny" nr 6 z 2010 r. oraz na powszech.net/stworzenie) Dukaj, naczelny obrońca fantastyki na mainstreamowych arenach, pisze, że przecież fabuły *science fiction* oferują „wytrącenie człowieka poza człowieka", rozciągają go „poza jego dotychczasowe granice", a to nie jest błaha ambicja. W rozmowie zaś dodaje: – Moim zdaniem to bardziej kwestia klasowa. Eskapizm to kultura warstw niższych: jedyna ucieczka dla tych, co nie mają innej ucieczki. Warstwy wyższe, zwłaszcza inteligencja z ducha pozytywistycznego, żyją w etosie powinności społecznych i sprawczości: literatura ma nie tylko być o realu, ale działać w realu. Ten podział lifestyle'owo-estetyczny nie tak łatwo przezwyciężyć. Ale zauważmy, że to podejście warstw niższych bliższe jest klasycznemu ideałowi artyzmu: sztuki dla sztuki.

Honory spotykające „Baśń" Raka nie powinny nikogo dziwić.
A jednak dziwiły. Z prostej przyczyny: wszak to fantastyka, która wkracza na salony literatury wysokiej!

Jaskółka czyniąca wiosnę?

Fakt jednak jest faktem: Radek Rak otrzymał Nagrodę Nike. Sukces niewątpliwy. W ciągu pierwszych dni od ogłoszenia werdyktu „Baśń o wężowym sercu" trudno było dostać w księgarniach. Może więc jest to dowód na to, że te wątpliwe podziały pękają?

Paweł Próchniak, przewodniczący jury tegorocznej edycji Nike, nie może zdradzić szczegółów dyskusji, ale zaznacza: – Wydaje mi się, że wśród tegorocznych jurorów nie było nikogo, kto uważałby, że fantastyka literacka nie jest pełnoprawną literaturą: jest, zdecydowanie. Choć, mam wrażenie, stosunkowo łatwo napisać gniota w kostiumie fantastyki. Ten podział rzeczywiście bywał i wciąż bywa akcentowany, ale wydaje mi się sztuczny: literatura zawsze jest „triumfem wyobraźni", nawet ta robiona z dokumentów i świadectw, twardo trzymająca się ziemi, wierna realiom itd., a tzw. fantastyka jest chyba właśnie przede wszystkim ruchem wyobraźni, stwarzającej, triumfującej.

– Bardzo chciałabym, aby pękła ta granica i aby czytelnicy, którzy zwykle mówią, że nie czytają fantastyki, co nie przeszkadza im zachwycać się Bułhakowem, Márquezem, Murakamim, a nawet Olgą Tokarczuk, docenili autorów takich jak Radek Rak, Wit Szostak czy Anna Kańtoch – mówi Katarzyna Sienkiewicz-Kosik. – Fantaści cieszą się, że dostrzeżono książkę fantastyczną, i to wspaniale, to nasze wspólne święto. A ja marzę o tym, aby czytelnicy poszukiwali ciekawych fabuł, nieograniczonej wyobraźni, pięknego języka, czyli nieszablonowych książek. One są również w fantastyce.

Z perspektywy środowiska nie wygląda to jednak tak optymistycznie.

– Część fandomu odtrąbiła zwycięstwo, bo ludzie są bardzo stęsknieni za docenieniem fantastyki – mówi Paweł Majka, pisarz i działacz fandomowy. – I to jest zrozumiałe, bo cały czas żyjemy w świecie, w którym ciąży na nas opinia „tych od gorszej literatury". W tym sensie sukces Radka to takie nasze „niech nas zobaczą". Natomiast mój optymizm w tym względzie jest raczej ostrożny. Po pierwsze, potrzeba czasu i pokolenia krytyków, dla których fantastyka nie jest obcym lądem, a po drugie więcej Radków Raków, czyli fantastów tak dobrze operujących słowem jak on.

Ostrożnie wypowiada się także Jacek Dukaj: – Jak będzie, zobaczymy. Radek nie wykonuje tradycyjnych gestów odcinania się od korzeni, jak inni autorzy docenieni poza światem fantastyki. Jestem jednak sceptyczny. Mechanizm docenienia „Baśni..." jest taki sam, jak zawsze w Polsce: gdyby nie kontekst społeczno-polityczny książki i utrafienie w moment historyczny – potomek chłopów daje literaturze głos niesłyszanej dotąd mniejszości – wszystkie wartości literackie przeszłyby bez echa, jak nieraz przechodziły. To nie jest przecież los wyłącznie książek niepoddających się tyranii realizmu. Tak samo przepada literatura psychologiczna, egzystencjalna, o losie człowieka w jego codzienności i uniwersalności. Bo nawet nie próbuje się sprzedać „problemowo".

– Sukces Radka Raka to kolejny kamyczek do ogródka krytyków literackich, przypominający im, że fantastyka to również wartościowa literatura – zauważa Marcin Zwierzchowski. I dodaje z pewną goryczą: – Sęk w tym, że ten ogródek pełen już jest takich kamyczków, a znalazłoby się i kilka solidnych głazów.

© TOMASZ PINDEL

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA GAZETA

Paweł Huelle na wiadukcie Weisera Dawidka w Gdańsku

Życie na wyspach

MONIKA OCHĘDOWSKA

Wierny tradycyjnym konwencjom Paweł Huelle bywa za nie karcony. Ale w jego staromodnym stylu kryje się wabiąca zmysłową kunsztownością pułapka. Mistrzowska zaiste.

Z Pawłem Huellem jest jak z Iwaszkiewiczem – nie da się go porządnie czytać przed czterdziestką. Dowód pierwszy, *ad reverentiam:* „kiedyś staroświeckość jego prozy mnie drażniła, dzisiaj mnie wzrusza", pisze o Huellem krytyk Dariusz Nowacki. Dowód drugi, *ad traditionem*: sonety Szekspira oraz ich tłumacz Stanisław Barańczak. Otóż do lektury Huellego przydaje się rozeznanie w rozpisanym na trzynastozgłoskowce doświadczeniu, gdy miłosne olśnienie zostaje jednocześnie spotęgowane i zmącone świadomością przemijalności piękna. Kwiat mdleje, więdnieje.

Rzecz kluczowa: jak to oddać w języku. Miłość to znak, pisze Szekspir, słowo. Więcej: znak „bez drżenia w twarz patrzący sztormom i cyklonom – gwiazda zabłąkanych łodzi". Tu się robi już chłodno od morza, blisko jesteśmy portu gdańskiego prozaika. Ale po co ten Iwaszkiewicz?

W ostatniej scenie „Tataraku" doktorowa z małego miasteczka, kobieta, jak się domyślamy, mniej więcej pięćdziesięcioletnia, flirtuje nad rzeką z młodym, pięknie zbudowanym, choć dość banalnym chłopcem. Całują się, Boguś wskakuje do jeziora narwać nieszczęsnego zielska i już nie wypływa. Gdy po trwającej zbyt długo akcji ratunkowej są znów sami na brzegu (niezwykła jest muzyczność tych scen – u Iwaszkiewicza zresztą grzech cielesności najskuteczniej obmywają dźwięki), Martę ogarnia gwałtowny przypływ namiętności. Obsypuje pocałunkami stygnące, jak pisze Iwaszkiewicz, „pokryte celofanem obcości" ciało chłopca. Schodząc ustami coraz niżej dotyka rąbka cytrynowożółtych kąpielówek Bogusia; ich błotnista woń budzi dreszcz. To aromat śmierci, ten sam, który

wydzielają roztarte w palcach liście tataraku.

U Iwaszkiewicza tak bywa: odkryta raptownie możliwość miłości pogłębia samotność człowieka, wzmaga jego poczucie odosobnienia (wiadomo, „żądza, raj obiecując, wiedzie w otchłań piekła" – Sonet 129). Ale tragizm jego bohaterów polega właśnie na konieczności zaakceptowania tego typu rewelacji, wszystko odbywa się tu przecież – jak powiedzieliby młodzi – bez dramy. Więcej: wreszcie Boguś nie plecie beznadziejnie o forsie, co tak drażniło doktorową. W pocałunkach Marty domyślamy się długo hamowanej potrzeby obnażenia, którą obiecuje miłość, ukazania się w pełni, ale realizuje się ona w akcie niecierpliwej lektury, pracy ust i dłoni. Nie w relacji z człowiekiem.

Finał „Tataraku" to świadectwo niespełnienia, które pisarzowi (Marta jest u Iwaszkiewicza strażniczką biblioteki) przynosi świat (Boguś ma rysy pozbawionego ambicji barbarzyńcy). Ale opowiada także o tym, że istnieje inny niż dotknięcie sposób dostępu do rzeczywistości. Mianowicie – wróćmy do Szekspira – słowo. Próba złowienia Bogusia kończy się fiaskiem dla Erosa, pozwala jednak zachować ciało niedoszłego kochanka w idealnej, posągowej formie, „na wieki zawrzeć w oczach" (czytelniczki Marty i nas, czytelników Iwaszkiewicza) zarys jego piękności.

Przyznajmy więc rację tłumaczowi Szekspira, który w jednym ze swoich chirurgicznie precyzyjnych wierszy kontestował: „mylą się ci, którzy mówią, że można siłą kochania, jak wyspę wśród morza, uchować coś przed zmianą". Oczywiście nie można, ale pisarze są przecież od dawania znaków zabłąkanym łodziom, od powtarzania, że to nie rzeczywistość jest ostatnim słowem, a słowo ostateczną rzeczywistością: dość przypomnieć zimną rączkę córeczki Jaira, nim zerwała się na wezwanie Chrystusa „*Talita kum!*" („Dziewczynko, mówię ci, wstań!").

Opowiadania bizarne

Tej właśnie Talicie nowy zbiór opowiadań Pawła Huellego zawdzięcza swój tytuł. Ale wiele więcej zawdzięcza Iwaszkiewiczowi. Wydany pod koniec lat 80. „Weiser Dawidek" – debiutancka i niezwykle wówczas głośna powieść gdańszczanina, trzydziestoletniego dziennikarza, wychowanka seminariów Marii Janion, skoncentrowana była wokół podwójnego śledztwa dotyczącego zaginięcia żydowskiego chłopca. Jedno prowadziła szkoła pospołu z milicją, a drugie, prywatne, niedowierzający swoim wspomnieniom narrator, Heller, świadek niezwykłych wypadków upalnego lata w końcówce lat 50.

Weisera poznajemy w czasie szczególnym, podczas wakacji, w które nie wolno się kąpać – cuchnące ławice zdechłych ryb bronią dostępu do morza. Pojawienie się Dawidka w pełni jednak wynagradza dzieciom tę niedogodność. Nie dość, że chłopiec świetnie gra w piłkę i posiada ukrytą kolekcję poniemieckiej broni, to na dodatek potrafi zahipnotyzować w oliwskim zoo panterę. Rozkochuje w sobie Hellera i jego przyjaciół, a następnie, podczas jednej z pirotechnicznych zabaw, nieoczekiwanie znika. Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Odtąd pierwsza miłość u Huellego – śladem Iwaszkiewicza – na zawsze zostanie naznaczona klęską. Oczywiście znaleźć zwłoki Weisera znaczyłoby wyjaśnić tajemnicę, dać czytelnikowi interpretacyjne klucze. Tymczasem chłopiec symbolizować ma wszystko to, czego wyłożyć się nie da.

Wokół tragicznego zniknięcia dziecka zbudowana jest także akcja „Tality" – pierwszego z dwunastu opowiadań nowego tomu. Tym razem jednak ciała nie musimy szukać, leży w otwartej trumnie, w bokówce bez okna. Jesteśmy na kaszubskich Pustkach podczas pustej nocy, w ostatni wieczór przed pogrzebem, gdy cała wieś gromadzi się, by śpiewem pożegnać zmarłego. „Tego dzisiaj się już nie robi" – myśli ciotka dwunastoletniej Bernatki, Maryjka. I rzeczywiście, wszystko w tym opowiadaniu „należy do przeszłości", ale nie z powodu stylu Huellego. To wiara w upiory dawno odeszła w niepamięć, podobnie jak lęk przed „czyśćcowym ogniem". Żyjemy w świecie bez tajemnicy.

Wierny tradycyjnym konwencjom prozatorskim Huelle bywa – szczególnie przez młodszą krytykę – karcony. Tymczasem jest w jego staromodnym stylu nie tylko coś, za czym, jak pokazała Nagroda Nike dla Radka Raka, nieustannie tęsknimy – Iwaszkiewiczowska swoboda gawędy. To świadomy zabieg estetyczny, ale też zwabiająca zmysłową kunsztownością pułapka, bo poczciwość narratorska autora „Tality" skontrastowana jest z ciemnymi losami jego bohaterów.

Spójrzmy: żałobnicy słowami odwiecznych kaszubskich pieśni opłakują tragiczną śmierć dwunastoletniej dziewczynki. Bernatka utopiła się zrywając rosnące nad rzeką wrzosy, pachnące – skojarzenie narzuca się samo – jak tatarak, śmiercią. Wierzono przecież – a przesąd ten miał przybyć skądinąd od morza, z północy – że kwitnące na chwilę przed Zaduszkami krzewy są zwiastunem nieszczęścia, symbolem żałoby. Przyroda u Huellego – jak i u Iwaszkiewicza – często staje się pełnoprawnym uczestnikiem zdarzeń.

Jest w „Talicie" jeszcze jeden Iwaszkiewiczowski moment, odwracający skądinąd porządki tej opowieści, gdy Maryjka, przyglądając się ułożonemu w trumnie ciału, postanawia zmyć nałożony dziewczynce w domu pogrzebowym makijaż, jakby chciała zerwać z dziecka maskę śmierci. Ponieważ, jak nakazuje zwyczaj pustej nocy, nie może zostawić ciała w izbie bez opieki, a nie ma pod ręką chusteczek ani ręcznika, zlizuje szminkę z ust Bernatki.

Pocałunek złożony śmierci będzie miał oczywiście konsekwencje. Ale Maryjka – symbolizująca idącego w parze z Tanatosem Erosa (szybko dowiadujemy się o jej plażowych – a jakże – romansach ze szwagrem) – jest także tą, która ma kontakt z zaświatami. Kontakt możliwy dzięki szczególnej umiejętności. Otóż pisze ona powieść, „Listy z dalekiego kraju" (dalekim krajem nazwane jest w żałobnej pieśni miejsce, w którym przebywają zmarli), ale pisze tak, powie jej siostra Regina, jakby „była lustrem, w którym się to wszystko odbija".

Gadzio, obcy jak ty

Fascynacja u Huellego rodzi się z różnicy, ale karmi tym, co niepojęte – pisał zachwycony „Weiserem" Jan Błoński. Dodając, że transcendencja u gdańskiego prozaika naznaczona jest elementem niesamowitości i baśni. Dotykanie rzeczywistości, jak dotknięcie Bernatki, pruje podszewkę oswojonego, bliskiego, jak się zdaje, świata. Jakkolwiek kiczowato wybrzmi ten epitet, mroczny sekret rzeczywistości ma w „Talicie" związek z dziecinną zabawą polegającą na zakopywaniu skarbów w pudełeczkach z szybką: pogrzebanych, choć wciąż należących do świata żywych, co więcej: niedojrzałych.

Dziś powiedzielibyśmy za Olgą Tokarczuk – wszystko to jest bizarne. ↦

↦ Przerażające, lecz także niepozbawione specyficznego humoru. Pusta noc, grzebanie w grobach i powroty z piekieł to osobliwe motywy twórczości Huellego. Jego bohaterowie podążają za czymś w ciemnościach, balansując na krawędzi światów, zmagają się z kaszubskim wiatrem i pustką lub – jak w świetnym opowiadaniu „Most" – chaosem. A wreszcie wariują, próbując zrozumieć nieskończone rozszczepianie się rzeczywistości, przypominającej maszynkę do produkcji płatków śniegu. Wszystkie te wątki wywodzą się z wydanego w połowie lat 90. w tomie „Pierwsza miłość" opowiadania „Mimesis".

Główna bohaterka opowiadania, menonitka, próbuje zgodnie ze swoją religią jak najlepiej naśladować Boga. Menonici – surowa wspólnota protestancka przypominająca amiszów, dla otoczenia zupełnie osobna, wyspiarska – uczą, że to Biblia, znak-słowo, jest prawdą ostateczną. A jednocześnie, że wszystkie dobre rzeczy pochodzą z tego, co rozpoznane. To, co na zewnątrz, jest z kolei przeklęte, naznaczone złem. „Mimesis" bardzo dobrze pokazuje, w jaki sposób bizarność potrzebna jest Huellemu do zrozumienia obcości.

Jak wiemy od Zygmunta Freuda, literacka groza, „niesamowitość" (*Unheimliche*) przywraca wyparte, sprawia, że osoba, która jej doświadcza, dotyka jakiejś granicy lub ją przekracza. Huelle w swoich książkach eksploruje napięcie między *heimlich* (domowym, bezpiecznym, wyspiarskim) i *unheimlich* (niesamowitym, wykraczającym poza granice rozumienia świata, przywracającym wyparte i wypartych). W najnowszej książce widzimy je zresztą doskonale, gdy w rajskim ogrodzie oliwskiego klasztoru, wśród jabłoni, grusz i śliw, autor każe wyrosnąć (przez jedną noc!) ogromnemu dębowi (opowiadanie „Dąb"). Albo wtedy, gdy wprowadza do miasta cygański tabor („Cyganka"). Albo gdy każe osiąść w Olszance kontrowersyjnemu dziedzicowi, który „przede wszystkim nie należał do towarzystwa" („Koncert").

Obcy, inny, wykluczony – gadzio, jak powiedziałaby bohaterka „Cyganki", nie nasz – a więc Żyd, szaleniec, dziecko i artysta to ulubiony bohater Huellego. Dlaczego? Ponieważ pragnienie porządkowania świata według kategorii wyznaczających granice i zależności między swoimi i obcymi, porządkiem i chaosem, jest odwieczną aspiracją europejskiej kultury.

> Obcy nosi na sobie ślad tego, co jest „poza domem", poza bytem, rozumem – tego, co niepojęte. Dlatego budzi lęk. Tyle że **niepojęte zawsze będzie warunkiem pojętego.**

Obcy nosi na sobie ślad tego, co jest „poza domem", poza bytem, rozumem – tego, co niepojęte. Dlatego budzi lęk. Tyle że niepojęte zawsze będzie warunkiem pojętego.

Zmienna geometria

Są jeszcze inne granice i mityczne wyspy, których kondycję z pieczołowitością od zawsze bada Huelle – to Europa Środkowa, Międzymorze, współczesna Atlantyda. Jego „Inne historie" z 1999 r. czy wydany dwa lata później „Mercedes-Benz", a potem „Castorp" pokazywały dawną Europę Środkową jako „idealne połączenie nowoczesności z pogodną ludycznością", jak zauważył w „Poruszonej mapie" Przemysław Czapliński.

Wszystkie wynalazki współczesności – auta, balony, lunety i aparaty fotograficzne –którymi u Huellego z zachwytem posługują się ich posiadacze, służą – pisał Czapliński – wprawieniu historii w ruch kolisty. Ludzie korzystają ze zdobyczy techniki nie po to, by dotrzeć do konkretnego celu, lecz by się bawić. Mieszczańska cyrkulacja pieniądz–piękno wstrzymuje historię, uniemożliwia jej ruch linearny, ale za tę cenę pozwala na spotkanie z grozą istnienia. Gdy wprawimy ją w ruch, rozbijemy maszynę produkującą płatki śniegu. Doświadczenia nieuchronnie stracą wyrazistość, a rzeczywistość – zakopany w lesie sekret, tajemnicę.

W opowiadaniu „Koncert" ten kolisty ruch mieszczańskiej historii, reprezentowany przez dziedzica Olszanki, Joachima Tollego, miłośnika technicznych nowinek i bon vivanta, zostaje jednak zaburzony – przełamany postacią młodej pianistki Ewy. Balon pęka. Kończy się wiek XIX, wybucha I wojna światowa i planująca naukę w wiedeńskich konserwatoriach dziewczyna musi się nauczyć grać zupełnie inaczej niż dotąd. Ćwiczenia kompozycji, którą dostaje od – co tu dużo mówić – starego dziwaka, umożliwiające jej utrzymanie (dziwak płaci jej pensję za granie), są upartymi zmaganiami z chaosem otaczającej rzeczywistości. Początkowo nieznośne, stają się wprawką do życia w nowym świecie, pchnięciem go na inne tory.

Huelle śladem innego swojego mistrza, Iwana Bunina, portretuje tu oczywiście znów upadek starego świata. Ale jego zmysłowy opis ludzi, ich obyczajów, wszystkie te detale i szczególiki są dowodem ciągłości historii, którą udaje się zachować dzięki literaturze. „Bunin napisał setki opowiadań, w każdym z nich potrafił zawrzeć kosmos" – pisał kiedyś Huelle na tych łamach. „Nie tyle rosyjski, ziemiański, przedrewolucyjny, co absolutnie uniwersalny kosmos spraw ludzkich. Niespełnionych miłości, naszych ludzkich nieudacznych działań, spraw brudnych, ale i pięknych – zwyczajnie – po ludzku". Mam wrażenie, że pisał o sobie.

Wyprawa w świat przynosi opowieść. Huelle, jak mały bohater „Cyganki", po raz kolejny zabiera nas, gadziów, do swojego kina. Odsyła do tego doświadczenia, gdy odcięci od domowych spraw zostajemy wchłonięci przez fikcję. Śmiejemy się i płaczemy, bo bardzo chcemy uwierzyć, nawet jeśli Dziki Zachód w wyświetlanym na ekranie „Winnetou" to tylko przaśna Jugosławia. Huelle daje nam, czterdziestolatkom czytającym oczyma swoich bohaterów „Tajemniczą wyspę" Verne'a, schronienie w dziecku.

Coś zresztą jest na rzeczy z tym wyspiarstwem szukających ukojenia w znakach. „Nie potrafisz cieszyć się życiem" – mówiła Annie Hall Alvy'emu Singerowi w filmie Woody'ego Allena – „właśnie dlatego, że jesteś jak Nowy Jork, wyspą dla samego siebie". A przecież Alvy był komikiem, opowiadał historie.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Paweł Huelle
TALITA
Znak, Kraków 2020

Smutek jest fotogeniczny

MACIEJ TOPOLSKI

Twórczość i biografia Julii Pirotte jest ofiarą przemilczeń. Otwarta w Warszawie wystawa „Powtórzenia" powinna to zmienić.

JULIA PIROTTE / ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY IM. EMANUELA RINGELBLUMA

Kobieta z dziećmi. Marsylia, 1941–1943

To był hojny podarunek. Julia Pirotte (1908–2000) otrzymała swój pierwszy aparat w prezencie od zamożnej paryżanki Suzanne Spaak, żony pisarza Claude'a Spaaka. Historia zapamiętała Suzanne nie tylko za sprawą portretu wykonanego przez René Magritte'a. Długo po śmierci (aresztowana w 1943 r., została zamordowana 12 sierpnia 1944 r.) otrzymała odznaczenie Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za pomoc 163 żydowskim dzieciom skierowanym do obozów zagłady. Aparatu, który podarowała Julii, ponoć nie używała.

Była to leica III wyprodukowana w pierwszych dniach II wojny światowej w Niemczech – ostatni model, za który odpowiadał inżynier i twórca słynnej firmy Oskar Barnack. Uzupełniony obiektywem elmar stanowił idealne narzędzie dla początkującej fotografki, która podczas pobytu w Belgii – w ramach działalności Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom – zapisała się na kurs fotografii i dziennikarstwa. Od tego podarunku miała rozpocząć się jej kariera.

Dzieci

Bawiące się w kałuży nad przystanią, gryzące się po nogach, śpiące w ramionach matki, ssące jej pierś, śpiące na bruku pod plakatem filmu „Tarzan znajduje syna" (1939), czekające przed sklepem. Patrzące w obiektyw litościwie, z zaciekawieniem lub podejrzliwie. To one pojawiają się najczęściej w archiwum fotograficznym Pirotte. Wszystkie są dziećmi czasów wojny, głodnymi i brudnymi, w łachmanach, w rozlatujących się butach, z bliznami.

Jeżeli można szukać gdzieś wyjaśnienia szczególnej obecności dzieci w archiwum Pirotte, to z pewnością w jej biografii naznaczonej utratą.

Straciła matkę w wieku sześciu lat. Mając 23 lata wyjechała do Francji, w poszukiwaniu siostry Mindli, która później została aresztowana w trakcie akcji deportacyjnej „Noc i mgła" i ścięta w Breslau przez Gestapo. Ojciec i macocha zginęli w getcie warszawskim, brat umarł na tyfus w głębi Związku Radzieckiego.

Fotografie dzieci – zwłaszcza te wykonane w Marsylii – wydają się odzwierciedlać również jej własne dzieciństwo. Spędzone w biedzie, w Końskowoli, małym żydowskim mieście nieopodal Puław, podporządkowane pracy fizycznej, z nielicznymi chwilami szczęścia. W jednym z wywiadów przyznała: „Czerpię niezwykłą przyjemność z fotografowania ludzi, w szczególności – tych małych. W moich pracach jest wiele smutku, ale przecież smutek jest o tyle bardziej fotogeniczny od radości. Jednak smutek sam w sobie nigdy nie przygnębia".

Kreatorki

Podczas wojny Pirotte pracowała jako fotoreporterka dla „Le Dimanche Illustré", dodatku francuskiego tygodnika „L'Excelsior", w tym czasie wykonała m.in. słynne portrety Édith Piaf i cykl zdjęć marsylskich.

Jedno z nich pochodzi z 1942 r., z dzielnicy Bompard. Do tamtejszego obozu zostały przeniesione żydowskie kobiety z dziećmi; mężczyźni trafili do nieodległego Camps des Milles. Musiał być piękny i spokojny dzień, kobiety rozmawiały i śmiały się, wyplatały torebki. Małe dziecko, jeszcze niewprawne ↦

JULIA PIROTTE / ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY IM. EMANUELA RINGELBLUMA

Ludzie na ulicy po kapitulacji Niemiec. Marsylia, maj 1945 r.

↦ w chodzeniu, bawiło się wikliną lub włóczką. Po wywołaniu zdjęcia, na odwrocie, Pirotte zapisała długopisem: „przed wysłaniem do Aushwięcimia".

To zdjęcie modelowe dla całej jej twórczości, łączy w sposób niewymuszony wielką historię z codziennością, piękno chwili z przeczuciem katastrofy. I jeszcze jedno – ukazuje istotną rolę podpisów, którymi Julia Pirotte oznaczała swoje zdjęcia, troszcząc się o ich właściwe odczytanie.

Marta Przybyło, kuratorka warszawskiej wystawy, opowiada: – Kiedy po raz pierwszy przeglądałam archiwum Pirotte, najbardziej uderzyło mnie uporczywe podpisywanie zdjęć, zwłaszcza tych, na których widoczna jest jej siostra. Pirotte pisze na tych portretach nie tylko, że jest to Maria Mindla Diament, ale i działaczka francuskiego ruchu oporu, która została zgilotynowana w 1944 r. To bardzo poruszające: myślenie o przyszłości archiwum, żeby nawet w wypadku rozproszenia cyklu każde zdjęcie z osobna przypominało o historii jej siostry.

Maria Mindla Diament była piękną kobietą. Portrety wykonane przez Julię Pirotte to potwierdzają. „Patrzy z nich smukła, skupiona dziewczyna o pociągłej twarzy, sarnich oczach i subtelnych rysach. W sytuacjach prywatnych – lekko rozbawiona, rozmarzona, ubrana w modne bluzki z marszczeniami przy rękawach, letnie sukienki ściągane w talii albo szeroki męski płaszcz. Rozmarzona, ale i pełna energii, głodna zmiany i życia" – piszą Julia i Lidia Pańków w książce „Kreatorki. Kobiety, które zmieniły polski styl życia".

Również na poetce Annie Kamieńskiej wielkie wrażenie wywrze los Mindli. Poświęci jej wiersz napisany w 35. rocznicę jej tragicznej śmierci, zakończony słowami: „Niepotrzebny jej nasz czas / czas się kończy głowa opada / lęk nad światem noc i mgła / ona idzie drobna wątła / Courage".

Na jednej z fotografii wykonanych przez Julię Maria leży z zamkniętymi oczami, dłońmi pod głową, w ciepłej plamie słońca. Zdjęcie, wykonane prawdopodobnie we Francji, emanuje spokojem. Niezwykłym w zestawieniu z losem, jaki miał ją spotkać. O jej śmierci Julia dowie się dopiero po wojnie.

Pogrom

Po wojnie i powrocie z Francji do Polski Julia Pirotte zaczęła współpracę z „Żołnierzem Polskim" i „Trybuną Wolności". To wtedy wykonała zdjęcia z pogromu kieleckiego w 1946 r. W Polsce jest dzisiaj najbardziej znana właśnie za sprawą fotografii „antyżydowskiej agresji"; choć dla niej samej paradoksalnie temat ten stanowił tabu.

Piotr Paziński, którego Pirotte była sąsiadką i przyszywaną ciotką, twierdzi: – Prawie do końca życia nie pozwalała podpisywać swoich zdjęć z pogromu kieleckiego. Było tak, że Pirotte jeździła po Kielecczyźnie fotografując na potrzeby Centralnej Agencji Fotograficznej, może też na potrzeby „Trybuny Wolności", jak Polska się odbudowuje, chłopi zbierają zboże. Wtedy dostała informację, że coś się dzieje w Kielcach. Zdjęcia ofiar, pogrzebów, zabandażowanych ludzi, lazaretu zostały wykonane

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY IM. EMANUELA RINGELBLUMA

Julia Piorotte, 1943 r.

Wystawa **POWTÓRZENIA. FOTOGRAFIE I ARCHIWUM JULII PIROTTE**, *Społeczne Centrum Fotografii w Warszawie, kuratorka Marta Przybyło.*

JULIA PIROTTE / ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY IM. EMANUELA RINGELBLUMA

Górnik Wincenty Pstrowski odpalający papierosa od lampy górniczej, w czasach PRL propagandowy wzór przodownika pracy, 1947 r.

przez nią. To był dla niej temat tabu, powodował autentyczny lęk towarzyszący jej, jak pamiętam, przez lata. Tuż przed śmiercią zgodziła się wystąpić w filmie dokumentalnym poświęconym pogromowi kieleckiemu jako świadek. Pirotte była jednak przekonana, i stąd mógł brać się lęk, że to wydarzenie, którym władza ludowa nie chciałaby się chwalić, że widziała zbyt wiele, że sfotografowała za dużo i grozi jej niebezpieczeństwo. Zostawiła sobie nielegalnie kilkanaście odbitek, a trzy filmy leicowskie oddała bezpiece. Może zostały zniszczone, może kiedyś się odnajdą.

Zachowane zdjęcia przedstawiają martwe ciała mężczyzn, rzędy trumien, pochody pogrzebowe, rannych leżących w łóżkach szpitalnych. Są poblakłe, źle skadrowane, emanujące przerażeniem, które musiała odczuwać nie tyle jako fotografka i świadek, ale i urodzona w sztetlu Żydówka. Zachowana część fotografii udostępniona jest dzisiaj m.in. w internetowym archiwum Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu Yad Vashem.

W sierpniu 1948 r. Julia Pirotte znalazła się na Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu, który otworzył przemówieniem Jarosław Iwaszkiewicz: „Szara ręka czasu, zrywając kartki kalendarza, sięga po kartkę dzisiejszego dnia inaczej niż zwykle. Ta kartka oznaczona jest cyfrą czerwoną, gdyż dzień to znamienny i radosny. Wśród wielu dni (...) on jeden jest oddany wielkim sprawom. Ze wszystkich bowiem stron świata przybyliście tutaj (...), aby spotkaniem swoim oznaczyć, czego chcecie dla świata i ludzkości". W trakcie trzech dni kongresu Pirotte wykonała zdjęcia Pabla Picassa, fizykochemiczki Irène Joliot-Curie, pisarza Martina Andersena Nexø czy Hewletta Johnsona. Ten ostatni, zwany „czerwonym dziekanem Canterbury", uchwycony został w trakcie płomiennej przemowy, z szeroko rozpostartymi ramionami.

Pirotte nie znalazła się na kongresie tylko dla fotografii. Julia i Lidia Pańków w „Kreatorkach" opisują szeroko zaplecze ideologiczne Julii Pirotte i jej rodzeństwa, zastanawiając się nad powodami wstąpienia do Komunistycznej Partii Polskiej (zamiast do Bundu – Powszechnego Żydowskiego Związku Robotniczego), nad zagrożeniami, „które stwarza ich aktywność", potem zaś – już po wojnie – nad propagandowymi zleceniami wykonywanymi niby to „z pogardą i po macoszemu". A wykonała ich wiele, np. do książek o tak znamiennych tytułach jak „Życiorys wykuty kilofem" (1947), „Polskie masy pracujące w walce o pokój" (1950), „Woła was węgiel" (1951) czy „Wzorem radzieckich budowniczych" (1953).

W propagandowej publikacji „Nasze przedszkole" Franciszki Kwiatek (1952), obok dialogów przedszkolaków o prezydencie Bierucie, który „musi dużo pracować", czy o tworzeniu Kącika Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, znalazły się wykonane przez Pirotte fotografie przedstawiające spotkanie z żołnierzem, wiązanie butów czy dentystkę leczącą dzieciom zęby. Wszystkie zdjęcia dowodzą wyczucia energii sytuacji w scenach zbiorowych, jak i wrażliwości na drobne gesty – niczym nie odbiegają one od poziomu prezentowanych na wystawach na całym ↦

↦ świecie zdjęć cywilów w Marsylii. Fotografia przedstawiająca dzieci bawiące się z wychowawczynią w Polsce Ludowej jest niejako kopią fotografii dzieci tańczących w Bompard.

Sytuacja polityczna nie tylko poskutkowała w 1935 r. fikcyjnym ślubem Julii z lewicowym działaczem Jeanem Pirotte'em (porzuciła wtedy imię i nazwisko Gina Diament oraz przyjęła belgijskie obywatelstwo). Mogła się też przyczynić do powojennego, ponad 30-letniego okresu milczenia Julii Pirotte: kiedy jej fotografie zaczęto wystawiać, komentować i nagradzać we Francji, Belgii i Stanach Zjednoczonych, Związek Polskich Artystów Fotografików konsekwentnie odmawiał jej przyznania członkostwa.

– Skąd to milczenie? Nie umiem powiedzieć – kontynuuje Piotr Paziński. – Może wchodziły w grę konflikty z samym środowiskiem fotografów? Musiała być osobą pryncypialną, konfliktową. Na pewno nie miała łatwego charakteru. Możliwe, że złożyła się na to jej przeszłość komunistyczna z lat 40. i 50., kiedy jako fotoreporterka dość gorliwie utrwalała władzę ludową. To można zresztą powiedzieć o wielu innych fotografach czy w ogóle twórcach. A może nie zauważono rangi jej zdjęć?

Niewiele pisze się o jej późniejszych, poetyckich, wyciszonych zdjęciach z Bułgarii czy Izraela. Jak np. to idealnie wykadrowane, a przedstawiające cień kobiety z dzieckiem na tle zachodzącego słońca nad Jeziorem Galilejskim z 1957 r. Albo zdjęcie z 1983 r. będące portretem młodej kobiety, które na odwrocie nosi frapujący, zapisany długopisem komentarz: „typy żydów". Czy miał to być początek cyklu portretów? Nie wiadomo.

W 2016 r. ukazała się powieść „Czarne liście" Mai Wolny, której jedną z głównych bohaterek jest właśnie Julia Pirotte. Książka rozpoczyna się sceną otrzymania pakunku od Suzanne (w domyśle Spaak): wewnątrz, pod liliową bibułą, znajduje się „najlepszy małoobrazkowy aparat fotograficzny, jaki można było dostać w Europie". Dlaczego biedna Żydówka, młoda komunistka, przyjęła prezent od należącej do ówczesnej elity, urodzonej w rodzinie belgijskich bankierów paryżanki? W jakiej sprawie miała walczyć Pirotte? Czy nie dla siebie, nie dla przetrwania? © MACIEJ TOPOLSKI

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Pinokio"

Zaklęte w drewnie

ANITA PIOTROWSKA

Dzisiejszy „Pinokio" to istota uwięziona w swoim dziecięctwie. Brzmi to zapewne niczym czerstwe morały Gadającego Świerszcza, lecz przypomina o bolesnym dorastaniu do rozumu i empatii.

Kiedy za film dla dzieci bierze się twórca „Gomorry" i „Dogmana", możemy się spodziewać co najmniej ryzykownych przekroczeń. Zwłaszcza że Matteo Garrone dał się już poznać jako baśniopisarz dla sprośnych dorosłych, kiedy w 2015 r. przeniósł na ekran neapolitański „Pentameron". Tym razem wziął na warsztat „Pinokia", jedną z najważniejszych książek dziecięcych wielu pokoleń Włochów i nie tylko. A że na świecie powstał dotąd prawie tuzin filmowych czy telewizyjnych adaptacji powieści Carla Collodiego, tym większa mogła być pokusa, by dzisiaj potraktować ją jedynie pretekstowo, o ile nie wywrotowo.

Bo przecież opowieść o drewnianej lalce, która chciała zostać prawdziwym chłopcem, to kopalnia współcześnie nośnych metafor. Na przykład tych związanych ze sztucznym człowiekiem albo z poczuciem inności w zbrutalizowanym świecie. Tymczasem Garrone wyszedł z założenia, że najmłodszym widzom po prostu należy się dobry film dziecięcy, bez zbytnio wyszukanych ukłonów w stronę dorosłej publiczności. A zarazem film traktujący swoją publiczność poważnie, bez disneyowskiego retuszu. I z grubsza taki właśnie zrobił, nie lekceważąc źródłowego przesłania, jakkolwiek sporo w nim też bardziej wytrawnych, mniej oczywistych smaków. Wyświetlanie filmu w wersji z dubbingiem tylko potwierdza, kto jest jego pierwszym adresatem.

Twórcy nowego „Pinokia" poszli także pod prąd dzisiejszej rozbuchanej technologii obrazu filmowego i narzucanej przez nią estetyki. Stąd historia ubogiego stolarza i chłopca z drewna wygląda chwilami tak, jakby bardziej była dziełem dłuta i młotka niż komputera. Ów rękodzielniczy szlif ujawnia się przede wszystkim w wykreowaniu postaci, wzorowanych zresztą na klasycznych ilustracjach Enrica Mazzantiego z pierwszego wydania książki w 1883 r. Widać to zwłaszcza w wyglądzie tytuło-

wego bohatera, który bardziej niż ożywioną kukiełką wydaje się... zdrewniałym dzieckiem (gra go perfekcyjnie ucharakteryzowany Federico Ielapi). Gdy filmowy Pinokio się porusza, słychać, jak cały trzeszczy i klekocze, ale jeśliby wystrugać z tego jakąś przenośnię, to mamy do czynienia nie tyle z dzieckiem zaklętym w drewnie, co z istotą uwięzioną w swoim dziecięctwie – mamioną, oszukiwaną, poniżaną, ogłupiałą pozorną wolnością. Brzmi to zapewne niczym czerstwe morały Gadającego Świerszcza, lecz właśnie o tym, co w książkowym oryginale było najważniejsze – o bolesnym dorastaniu do rozumu i empatii – przypomina nam ten dzisiejszy „Pinokio".

Garrone uchyla baśniowego klosza już wtedy, kiedy nakreśla surowe tło swojej opowieści, wzorowane m.in. na rycinach Goi. Zdjęcia, kręcone w Toskanii czy Apulii, nie chcą być malownicze w konwencjonalny sposób. Pejzaże, te lądowe i te morskie, wieją bezkresem. Chociaż urokliwe miasteczka wabią z daleka, to przy bliższym poznaniu osuwają się w ruinę, straszą biedą i brudem. Trudno też uwierzyć w potęgę edukacji, kiedy szkoła jest instytucją tak ewidentnie zidiociałą. Trudno zaufać sprawiedliwości, kiedy reprezentuje ją skorumpowana małpa. Fałszywa przyjaźń, uosobiona przez ślepego Kota i kulawego Lisa, wyrasta wprost z odrażającej chciwości. W filmie Garronego zwierzęta zostają maksymalnie uczłowieczone, co dzisiaj, w dobie zwiększającego się upodmiotowienia naszych braci mniejszych, może razić anachronizmem. Ponieważ jednak w większości przypadków to aktorzy odgrywają role zwierzęce, tym bardziej trzeba je potraktować jak w każdej porządnej bajce – po prostu alegorycznie.

I tylko stary Geppetto ze swoją na poły szaloną miłością do synka wyciosanego z pnia ratuje tutaj honor człowieczeństwa. Nie licząc istot *stricte* baśniowych, jak cudownie surrealistyczna Ślimaczyca czy Błękitna Wróżka, odtwarzana w swoim starszym wcieleniu przez zjawiskową Marine Vacth znaną z filmów François Ozona. Ale to rola kochającego ojca dźwiga „Pinokia" na wyższy poziom. Powierzenie jej Roberto Benigniemu wprowadza bezpośredni link do innej filmowej baśni, znanej jako „Życie jest piękne" z 1997 r. Czyli do bardzo czarnej komedii o ratowaniu dziecka w piętrowej scenerii obozu koncentracyjnego. Sam Benigni zdążył zresztą w 2002 r. nakręcić własną (i dużo słabszą) wersję „Pinokia", ze sobą w roli tytułowej.

Reżyser najnowszej adaptacji nie ukrywa w wywiadach, że tego właśnie brakuje mu we współczesnych filmach dla dzieci: portretu bezwarunkowej ojcowskiej miłości. Wystarczy spojrzeć, jak czułym gestem stary Geppetto wypełnia pęknięcia w czerepie drewnianego chłopca. Garrone nie szczędzi też swoim młodocianym widzom życiowego okrucieństwa. Poprzez drobne detale pozwala im poczuć w ustach smak głodu i przekonać się, co to znaczy, gdy rodzic „zawodowo klepie biedę". Abstrakcyjne, szczególnie dla dziecięcej wrażliwości, pojęcie własnej śmierci kilkakrotnie w filmie staje się ciałem. Jak przystało na baśń z krwi i kości, „Pinokio" stawia raczej na działanie terapeutyczne niż czysto eskapistyczne.

Czegoś jednak w tym filmie zabrakło. Jedni narzekają, że jest za mało „bizarny", drudzy – że pajacyk w cudacznym czerwonym kubraczku i takiejż szpiczastej czapce to po prostu głuptas, kłamczuch, uparciuch i leń, który do końca pozostaje „drewniany" i nie potrafi zmiękczyć naszych serc. Sęk, *nomen omen*, tkwi w rozegraniu głównego dramatu, jakim jest błądzenie po manowcach, zanim Pinokio odnajdzie wreszcie jedyny prawdziwy skarb. Skoro dzieją się na ekranie rzeczy potworne, a w wykreowanie sugestywnego, ponuro-groteskowego świata włożono aż tyle wysiłku, emocjonalna temperatura powinna być znacznie wyższa. Finał zaś bardziej oczyszczający. Powieść Collodiego w dosłownym tłumaczeniu nazywała się „Przygody Pinokia", choć przecież Garrone również chciałby przeskoczyć ów łotrzykowski schemat, odhaczający kolejne tarapaty. Zbyt często jednak zatrzymuje się w połowie tego skoku i upaja wizualną maestrią. ©

PINOKIO *(Pinocchio) – reż. Matteo Garrone. Prod. Włochy/Francja/Wielka Brytania 2019. Dystryb. Kino Świat.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Marona – psia opowieść

Animowany, reż. Anca Damian, Belgia/Francja/ /Rumunia 2019, Cinemax, 26 X, 20.00, 27 X, 11.45

Twórczyni animowanych dokumentów (m.in. „Drogi na drugą stronę" o Claudiu Crulicu) doskonale sprawdza się także w filmach dla dzieci. W „Maronie" spogląda na świat oczami tytułowej kundelki, która wyrastając z wieku szczenięcego doświadcza wszystkich wymiarów psiej niedoli. Niestety, zwłaszcza świat ludzki nie prezentuje się tu najlepiej.

2. Zniewoleni

Miniserial dokumentalny, reż. Simcha Jacobovici, Kanada/Wielka Brytania 2020, BBC Earth, 28 X, 23.00

Przez sześć kolejnych odcinków Samuel L. Jackson przybliża historię 400 lat handlu niewolnikami, który zbudował gospodarczą potęgę Nowego Kontynentu. Serial poświęca uwagę również pracy podwodnych ekip poszukujących wraków, jakie osiadły na dnie Atlantyku. Tysiące zniewolonych Afrykańczyków straciło życie, zanim jeszcze dotarło do amerykańskich wybrzeży.

3. Des

Miniserial, tw. Lewis Arnold, Luke Neal, Wielka Brytania 2020, HBO GO

Jeśli jest sens upamiętniać seryjnych morderców, to tylko w „angielskim" stylu – z mieszaniną ironii i autentycznej grozy. A do tego z wybitnie powściągliwą kreacją aktorską, jak ta stworzona przez Davida Tennanta, który wciela się w postać Dennisa Nilsena. Na przełomie lat 70. i 80. ów skromny londyński urzędnik miał na sumieniu życie co najmniej 12 chłopców i mężczyzn.

4. David Attenborough: Życie na naszej planecie

Dokumentalny, reż. Alastair Fothergill i inni, USA 2020, Netflix

Niestrudzony pisarz i podróżnik raz jeszcze firmuje swoim nazwiskiem alarmistyczną opowieść o świecie, który umiera na naszych oczach. Tym razem z bardziej osobistej perspektywy. 94-letni obecnie Attenborough wspomina swoje liczne podróże i odkrycia, wskazując na zatrważające zmiany, jakie zaszły w biosferze na przestrzeni minionych dekad.

JAN

Klata:
Niech jedzą jabłka

Pandemia zaskoczyła obóz Polskiej Zjednoczonej Prawicy. Na banalnie oczywiste, merytoryczne zarzuty o nieudolność i gnuśność odpowiadają tym, co dotychczas przysparzało im elektoratu: chamską agresją. Najwybitniejsi polscy aktorzy to marionetki (dla marszałka Terleckiego), nauczyciele są chciwcami, a powinni pracować dla idei (jak marszałek Karczewski), natomiast lekarze... lekarze są po prostu leniuchami – z wyjątkiem ewangelisty Szumowskiego, oczywiście, bo on nas dobrze zabezpieczył przed drugą falą. Z każdym ponurym dniem coraz bardziej widać, że słowa przewodniczącego Ryszarda Iwona Terleckiego o marionetkach więcej mówiły o Terleckim niż o Gajosie. W co pogrywają spanikowani rządzący, kiedy przychodzi czas weryfikacji ich sześcioletnich dokonań? *Nil desperandum*, Terlecki, Karczewski *et consortes*, nie lękajcie się demaskacji! Tak gracko walczyliście ze śmiertelną zarazą LGBT, to i z covidem powinniście sobie poradzić.

Gdzie jest Duda? Głowa państwa, było nie było. Głowa-Duda bez maseczki. Czy jeszcze pruje na skuterze w Juracie, czy nagrywa coś krzepiącego na TikToku, czy po prostu pogrążył się w smakowaniu „Balladyny" i nie może się oderwać w ramach narodowego czytania? Być może stawia patriotyczne maszty z premierem „zagrożenie minęło" Morawieckim. Co wciągniecie na maszt, włodarze? Czarną flagę? Rzućcie na pandemiczny odcinek wicepremiera Sasina, on jest sprawdzony, dobry do wszystkiego, czego się nie dotknął to... – taki wasz specyficzny nowogrodzki Midas, po prostu. A kiedy wam się pomysły na przetrwanie skończą, obraźcie lekarzy. Oto panaceum na kompromitującą nieudolność władzy.

Na zakończenie krzepiące przypomnienie: wicepremier Jarosław Kaczyński jest szefem nowego, specjalnego komitetu – komitetu do spraw bezpieczeństwa, więc każdy potencjalny chory w Polsce może się czuć bezpiecznie. O chorych nie wspominając. Dlaczego nie wspominając? Żeby się nie zarazić? Nie, nie wspominając dlatego, że oni muszą zadbać o siebie sami, przecież już zagłosowali. Niech jedzą jabłka. ©

Lektor:
Cień nienazywalnego

OPOWIEŚCI NIESAMOWITE Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO
Wybór, wstęp i noty o autorach: Maciej Płaza. Przełożyli Violetta Dobosz, Jerzy Jarniewicz, Barbara Kopeć-Umiastowska, Jerzy Krzysztoń, Robert Lipski, Irena Malanowska, Janina Mroczkowska, Jadwiga Olędzka, Maciej Płaza, Sławomir Studniarz, Aldona Szpakowska, Marcin Szuster, Maria Traczewska, Iwona Żółtowska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, ss. 512.

Lato 1816 r. było na półkuli północnej zimne i bezsłoneczne – gigantyczne ilości pyłu wyrzucone rok wcześniej w atmosferę przez wulkan na wyspie Sumbawa sprawiły, że klimat oszalał. Byron i Shelley z przyjaciółmi spędzali deszczowe dni w willi nad Lemanem, czytając przy kominku niemieckie opowieści niesamowite. Postanowili, że każdy stworzy własną – tak zrodziła się historia doktora Frankensteina autorstwa Mary Shelley. I opowiadanie, które napisał lekarz Byrona, John William Polidori.
„Wampir" Polidoriego otwiera teraz antologię przygotowaną przez Macieja Płazę – autora książki o pisarstwie Lema i dwóch powieści (drugą nagrodzono Angelusem) oraz tłumacza. Są tu utwory pisarzy bardzo sławnych, jak Edgar Allan Poe, Nathaniel Hawthorne, Charles Dickens, Henry James. Są klasycy gatunku, jak Sheridan Le Fanu z wampiryczną „Carmillą", jak Montague Rhodes James i oczywiście H.P. Lovecraft, którego Płaza jest znawcą i edytorem. Obok nich – nieznany u nas Walijczyk Arthur Machen (równocześnie Płaza opublikował przekład jego najważniejszej powieści „Wzgórze przyśnień") oraz znani już E.F. Benson i Walter de la Mare.
Zło i groza atakują z różnych stron: raz są ucieleśnione, innym razem – jak w „Żółtym Znaku" Roberta W. Chambersa – ich nosicielem jest tekst, albo – jak w „Małpiej łapce" W.W. Jacobsa – przedmiot. Groza bywa nienazywalna, jest niewiadomym, pozaludzkim istnieniem, jak w świetnym „Draństwie" Ambrose'a Bierce'a, albo w przydługich „Wierzbach" Algernona Blackwooda, gdzie siedliskiem wrogich mocy okazują się wyspy w rozlewiskach Dunaju. Na koniec zostawiłem wspaniałą „Żółtą tapetę" Amerykanki Charlotte Perkins Gilman, jedynej kobiety w tym zbiorze – monolog dotkniętej depresją bohaterki, którą nadopiekuńczość (a może ukryty sadyzm?) męża wpędza w szaleństwo.
To już czwarty tom „Opowieści niesamowitych", z tym że trzy wcześniejsze – z literatury francuskiej i rosyjskiej oraz z języka niemieckiego – były reedycjami książek sprzed lat, teraz otrzymaliśmy rzecz nową. Znakomita lektura na listopadowe wieczory! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Nasza movida

74 LITRY – TYLE WYNOSI REKORDOWE roczne spożycie wina na głowę, a zacny ten prymat przypada w udziale mieszkańcom Watykanu. Pije się tam prawie dwa razy więcej niż po drugiej stronie via Porta Angelica, na terytorium owego nieszczęsnego państwa, które 150 lat temu wyrwało papieżowi władzę nad Wiecznym Miastem – opłakane skutki tamtej detronizacji można rozważać choćby czekając pół godziny na autobus na przystanku, którego czubek ledwo wystaje z góry śmieci.

Metodologia amerykańskiego instytutu branżowego, który takie zestawienia corocznie ogłasza, ma uroczą prostotę cepa: dzieli się wielkość sprzedaży przez liczbę mieszkańców wziętą z oficjalnych danych – co wpędza nas natychmiast w statystyczną pułapkę. Skoro oficjalnie w Stolicy Apostolskiej „mieszka" niecały tysiąc ludzi i jest to nietypowa populacja – np. nie ma tam dzieci – to każde odchylenie i nietypowe zachowania (jak zakupy z niższym podatkiem dla rodziny zza muru) znacznie wykrzywiają wynik. Ale jak w każdym takim zestawieniu, tak i tu wartość poznawcza leży nie tyle w konkretnym wyniku, co w trendzie. A tu się okazuje, że sześć lat temu, u progu pontyfikatu Franciszka, Watykan też był na czele tego rankingu, ale z wynikiem o ponad 10 litrów słabszym. Nie naciągniecie mnie jednak na ryzykowne dywagacje, czemu tak się stało. Może po prostu było parę dobrych roczników?

Jeśli chodzi o wino – i tylko, niestety, o wino – mogę się bez problemu mierzyć na ilości ze statystycznym kardynałem. Trudno byłoby mi sobie wyobrazić, jak bym przetrwał to przygnębiające wejście w jesień, gdyby nie otwierane co wieczór listy w butelce od dalekiej dziewczyny. Moja nowa miłość zwie się górska garnacha, z niedocenianej okolicy, jaką są zbocza Sierra de Gredos w pobliżu Madrytu. Wywróci wam przekonanie o tym, czym jest hiszpańskie wino, szczególnie z tego szczepu. Zwykle się myśli: temperamentne, maksymalnie skoncentrowane, gęste i buchające owocem, intensywnie beczkowe – jak tancerka flamenco, totalnie kiczowata, która sprawia radość w swoim właściwym kontekście, ale spotkana na krakowskiej ulicy budziłaby śmiech. A to wino jest szczupłe, wymaga uwagi i cierpliwości, żeby rozpoznać złożone smaki ciemnych, soczystych owoców i suszonych ziół, to są szeptem wypowiadane słowa, których nie sposób zapomnieć. Tu powinienem napisać, że idealnie pasuje do jesiennych przysmaków, jak królik w grzybowej potrawce i pieczona dynia skropiona redukcją rosołu z bażanta – ale bym skłamał. Piję je do tego, co popadnie, zwłaszcza do żytniego chleba z twarogiem i garścią oliwek – bo to prawie zawsze popada w mojej samotniczej lodówce.

„Moje ciało to świątynia Dionizosa" – podzielam deklarację zobaczoną kiedyś na koszulce swojego przyjaciela. Zły teraz czas nastał, żeby rozwodzić się publicznie o zaletach naszego kultu. Czy się to komuś podoba, czy nie, alkohol to jeden z podstawowych społecznych klejów i rządy próbują go nieco osłabić, aby zniechęcić ludzi do bycia w kupie (za czym stoją ważne racje medyczne i nie będziemy ich tu podważać, choć jest to rubryczka wychwalająca zalety biesiady). Czasem to się odbywa z sensem – np. we Włoszech znacznie skrócono czas sprzedaży alkoholu na wynos, zarazem pozwalając działać knajpom swobodnie do północy. Chodzi w tym o tzw. movidę, czyli po naszemu pijane piąteczki na placach, skwerach i nadrzecznych murkach. Nie trzeba być docentem, żeby zrozumieć, że to młodzi na ogół mają mniej pieniędzy i piją z butelek kupionych w sklepach, zatem ten zakaz jest głównie wymierzony w nich, ale nie wprost, żeby nikt nie mówił o dyskryminacji.

W Polsce przebąkuje się o podobnych krokach, ale ograniczonych, oprócz stacji benzynowych, do tych strasznych osiedlowych wodopojów ulokowanych np. w dawnych kioskach. Czy w naszym paskudnym klimacie ludzie pijący tanie piwo na ławkach to aż taki epidemiczny problem? Być może. Jeśli miałbym wskazać jedną postać alkoholu, która w Polsce naprawdę niszczy ludzi i szkodzi rodzinom, to byłyby to małpki, pite ukradkiem, łyczkami. Chciałbym, aby zakazano ich sprzedaży, ale nie wieczorem, tylko właśnie rano i do południa, kiedy się idzie do pracy.

Skoro na jakiś czas znów mamy przestać być ciepłą gromadą, to trudno, pogódźmy się, a utrudnienia w nabywaniu czegoś do picia są w tym względzie skuteczne. Ważne jest jednak, aby to nie stało się okazją do purytańskiego skoku na bufet – ludzie gotowi odebrać nam radość z rozsądnie i z umiarem pitego alkoholu czają się w różnych instytucjach i ciągle ostrzą swoje prohibicyjne noże. Nie ma w dziejach ludzkości kultury, która nie znałaby środków wpływających na świadomość, i warto o tym pamiętać, gdy kiedyś będziemy rozliczali rządzących z odebranych chwilowo swobód. ©℗

PAWEŁ BRAVO

Rok temu z okładem pisałem o sławetnych pomidorach od magicznego sprzedawcy z krakowskiego placu Na Stawach. Od kiedy zamieszkałem w pobliżu, często go odwiedzam i teraz odkryłem u niego zielone owoce, które nawet w swej niedojrzałości są wspaniałe. Zielone pomidory to jest taka miłość nieduża, jak śpiewała Kalina Jędrusik, rzecz miła, ale na jeden raz lub góra dwa. Przyjemnie kwaskowate, dają poczucie, że się pomidorowy sezon wyciska do ostatka. Ostatnio zamiast smażyć, piekę je. W żaroodpornym naczyniu, lekko nasmarowanym oliwą. Tylko sól i pieprz. I koniecznie posypka. Dawniej lubiłem grysik kukurydziany – w tym roku zacząłem stosować bułkę tartą, a raz nawet, z braku bułki, kaszkę mannę. I to był genialny pomysł – część kaszki wraz z wodą z pomidorów stworzyła na dnie naczynia smakowitą, miękką błonkę.

ZMYSŁY

KOCHAŁAM INNY MANHATTAN

Na dwa tygodnie przed wyborami większość nowojorczyków ma więcej zmartwień niż tylko perspektywę reelekcji Trumpa. Oto portret miasta: w cieniu pandemii i polityki.

MARTA ZDZIEBORSKA Z NOWEGO JORKU

Keiko jest tego pewna: Bóg wybrał Trumpa. Tak zresztą napisane jest na okładce książki, którą Japonka wręcza mi na nowojorskiej Piątej Alei. Keiko twierdzi, że niewielki tomik to efekt rozmów, które japoński mistrz Ryuho Okawa prowadził z aniołami stróżami Donalda Trumpa i jego rywala Joego Bidena.

Keiko w to wierzy, bo należy do sekty Happy Science założonej przez Okawę. Ten były japoński finansista z Wall Street znalazł sposób na lukratywny interes: od ponad 30 lat wmawia ludziom, że jest wcieleniem „istoty wyższej z Wenus", i że potrafi nawiązać kontakt z duszami sławnych ludzi. Okawa, który kilka lat temu opublikował „wywiad" z aniołem stróżem Baracka Obamy, ostatnio wyjątkowo dobrze dogaduje się z opiekunem Trumpa. W swojej nowej książce przekonuje, że tylko obecny prezydent stawi czoło rosnącej potędze Chin i odbuduje gospodarkę USA, którą poturbował „chiński wirus". Okawa pisze, że Trump to silny lider, który zdaje sobie sprawę, iż „komunistyczne Chiny są równie groźne jak naziści".

Keiko deklaruje, że poprze reelekcję Trumpa. Dwa lata temu dostała obywatelstwo USA i teraz po raz pierwszy zagłosuje w wyborach prezydenckich. – Może nie jest najmilszym człowiekiem, ale jest skuteczny i potrafi zadbać o wolność i pokój na świecie – przekonuje, powtarzając za swoim mistrzem.

– Spójrzmy zresztą na to, jak prezydent szybko zwalczył koronawirusa. Chorował tylko przez kilka dni i od razu wrócił do rządzenia krajem – argumentuje Keiko, z którą rozmawiam tuż po wyjściu Trumpa ze szpitala. Prezydent trafił tam z objawami COVID-19. Według informacji z Białego Domu miał wysoką gorączkę i dwukrotnie odnotowano u niego spadek poziomu tlenu we krwi. Teraz wrócił już na kampanijny szlak i odwiedził m.in. kluczowe dla wyniku wyborów stany Floryda i Pensylwania. Według sondaży traci tam do Bidena odpowiednio 3 i 7 punktów procentowych.

Wokół Trump Tower

Spotkałam Keiko kilkaset metrów od miejsca, które jest symbolem deweloperskiego imperium Trumpa, wcześniej nowojorskiego biznesmena.

Zanim wybuchła pandemia, Trump Tower przyciągał tłumy. Dziś do miasta dociera garstka zagranicznych turystów, a wejście do słynnego wieżowca ochraniają uzbrojeni funkcjo-

DAVID DEE DELGADO / GETTY IMAGES

Strzeżone przez policjantów wejście do wieżowca Trump Tower przy Piątej Alei, na jezdni fragment antyrasistowskiego muralu. Nowy Jork, lipiec 2020 r.

nariusze. Przy skrzyżowaniu Piątej Alei oraz East 56th powstał też tymczasowy posterunek policji. Na początku października Trump Tower jest zamknięty dla zwiedzających. Przy barierce blokującej wejście stoi jedynie azjatycka turystka. Rozmawia z mężczyzną w czerwonej bejsbolówce z protrumpowskim napisem „Make America Great Again" („Uczyńmy Amerykę na powrót wielką").

Trump Tower to w ostatnich miesiącach nie tylko magnes dla zwolenników i przeciwników prezydenta; jego okolice to także centrum antyrasistowskich protestów. Po śmierci czarnoskórego George'a Floyda naprzeciw budynku powstał ogromny napis „Black Lives Matter" („Czarne życie się liczy"). Donald Trump skrytykował to na Twitterze, atakując burmistrza Billa de Blasia: zarzucił mu, że z jednej strony zgadza się na powstanie napisu na Piątej Alei, a z drugiej obcina o miliard dolarów budżet dla nowojorskiej policji. Mural wywołał sporo kontrowersji i był już kilkakrotnie zamalowywany farbą przez wandali.

Okolic słynnego wieżowca, podobnie jak samego Trumpa, szczerze nie znosi Judy. 62-letnia emerytka zaczepia mnie na Piątej Alei i ze złością wskazuje na książkę, którą dostałam wcześniej od Keiko. – Że niby Bóg wybrał Trumpa? – odczytuje tytuł z okładki. – Jak można wypisywać takie brednie! Przecież żaden nowojorczyk na to się nie złapie.

– Poznaliśmy się na Trumpie na długo, zanim wygrał wybory. Spójrzmy na te jego deweloperskie przekręty, zamiłowanie do panienek i bujanie się po klubach. Ten człowiek nigdy nie powinien zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych! – Judy podnosi głos. – Napisz proszę, że nie jest mi przykro, że złapał koronawirusa. Widziałam w telewizji, jak po powrocie ze szpitala pozował do zdjęć bez maski ochronnej. Przecież tak zachowuje się tylko imbecyl.

↦

Strach przed powtórką

Równie zagorzałą przeciwniczką Trumpa jest 73-letnia Adrienne z manhattańskiej dzielnicy Hell's Kitchen. Młodsza o rok od prezydenta, emerytka robi wszystko, co tylko zaleca się w dobie pandemii. Nosi maskę ochronną, często dezynfekuje ręce i stara się zachować od innych bezpieczną odległość. Adrienne zrezygnowała nawet z częstych spacerów do pobliskiego Central Parku, bo mówi, że zbyt wielu ludzi nie nosi tam masek.

– Myślałam, że może teraz, jak się już zaraził, Trump będzie zachęcał Amerykanów do odpowiedzialnego zachowania – mówi mi przez telefon. – A tymczasem co on robi? Przekonuje ludzi na Twitterze, żeby nie bali się wirusa i nie pozwolili, żeby zdominował ich życie. A przecież przeciętny Amerykanin nie ma szans na tak dobrą opiekę, jaką otrzymał Trump – dodaje Adrienne. Prezydent był leczony m.in. eksperymentalną mieszanką przeciwciał, która jest obecnie w fazie testów na ochotnikach.

– Jestem pewna, że gdyby to Joe Biden był u władzy, nie doszłoby do sytuacji, w której zakażonych jest już prawie 8 mln Amerykanów. Czy Trump kiedykolwiek przeprosił za to, że podważał ryzyko związane z koronawirusem i dążył do szybkiego odmrożenia gospodarki? On ma za nic życie innych ludzi – twierdzi Adrienne.

Emerytka boi się, że w Nowym Jorku dojdzie do powtórki z wiosny, gdy miasto stało się krajowym epicentrum epidemii. Już teraz w niektórych dzielnicach notuje się szybki przyrost zakażeń, m.in. w tych zamieszkanych przez ortodoksyjnych Żydów, którzy często nie chcą stosować się do restrykcji. Gubernator stanu Nowy Jork postanowił dmuchać na zimne i nakazał tymczasowo zamknąć tam szkoły i niektóre lokale usługowe.

Nie tylko Adrienne się tego obawia: wielu drży przed powtórzeniem się sytuacji z kwietnia, gdy w apogeum na COVID-19 umierało codziennie prawie 800 nowojorczyków.

Co się wydarzy

– Nie przeżyję kolejnego lockdownu! – wybucha Adrienne. – Uwierzysz, że przez 78 dni wychodziłam z mieszkania tylko po to, żeby wyrzucić śmieci? Gdy po raz pierwszy odważyłam się wyjść na ulicę, byłam tak sparaliżowana strachem, że przeszłam tylko trzy przecznice. Teraz zdarza mi się przespacerować nawet na Times Square.

– To jest już inny Manhattan niż ten, który kochałam. Jest mniej ludzi na ulicach. Pozamykano teatry na Broadwayu. Plajtują kolejne sklepy. Jak tak dalej pójdzie, stracę nawet mojego fryzjera. Przed pandemią był rozchwytywany przez aktorów, dziś walczy o każdego klienta i ledwo starcza mu na opłacenie czynszu – wylicza Adrienne.

Emerytka narzeka też na rosnącą przestępczość. Ma rację, wystarczy spojrzeć na policyjne statystyki: od maja do sierpnia w Nowym Jorku doszło do 791 strzelanin i 180 morderstw. To odpowiednio 140- i ponad 50-procentowy wzrost w porównaniu z podobnym okresem w 2019 r. W sierpniu wzrosła też liczba kradzieży z włamaniem (o 22 proc.). Ze wzrostem przemocy w ostatnich miesiącach zmagają się również inne miasta, jak Filadelfia, Chicago czy Kansas City.

Do niedawna Adrienne używała w swoim telefonie aplikacji, która informowała o przestępstwach w okolicy jej mieszkania. Teraz ją wyłączyła. – Nie mogłam spać spokojnie, wciąż dostawałam powiadomienia: a to, że kogoś pobito, a to, że komuś wyrwano torebkę, albo że doszło do bójki na noże – tłumaczy. Szczególnie bała się, gdy w mieście wybuchły zamieszki po śmierci George'a Floyda. – Nie rozumiem, dlaczego policja nie interweniowała, gdy jacyś zadymiarze rozkradali sklepy – oburza się.

Teraz obawia się również, że do nowych rozruchów może dojść po 3 listopada, po wyborach. Wszystko jest możliwe, bo Trump od miesięcy przygotowuje grunt pod kwestionowanie ich wyniku, m.in. krytykując głosowanie korespondencyjne, które stało się dziś popularne. Pytany niedawno przez reporterów, czy w razie przegranej przekaże władzę w sposób pokojowy, odpowiedział: „Zobaczymy, co się wydarzy".

Na czas wyborów Adrienne zamierza wyjechać z miasta. Pojedzie do syna, który mieszka w sąsiednim stanie New Jersey: – Zawnioskowałam o procedurę wczesnego głosowania, więc jeszcze przed wyjazdem będę mogła podrzucić moją kartę do lokalu. Przez te ataki Trumpa na głosowanie korespondencyjne boję się odesłać pakiet wyborczy pocztą.

Agitować każdy może

Zuccotti Park na Dolnym Manhattanie. Grupka ludzi czeka na spotkanie z Jo Jorgensen, kandydatką na prezydenta z ramienia Partii Libertariańskiej. Choć niebieskooka brunetka i wnuczka szwedzkich imigrantów może liczyć na zaledwie 2 proc. poparcia, objeżdża cały kraj. Na kampanijnym szlaku nie pominęła liberalnego stanu Nowy Jork, który z punktu widzenia walki o Biały Dom budzi mało emocji. Na trzy tygodnie przed wyborami Biden ma tutaj aż 28 punktów procentowych przewagi nad Trumpem i bez wątpienia zgarnie tutejszą pulę 29 głosów elektorskich (do zwycięstwa w wyścigu potrzeba poparcia 270 elektorów).

Ale dla Jo Jorgensen najwyraźniej wciąż liczy się każdy wyborca. W czerwonej marynarce marznie cierpliwie na wietrze i przedstawia typowe dla libertarian postulaty. – Jeśli zostanę prezydentem, obniżę podatki i zadbam o cięcia w budżecie federalnym – przekonuje, proponując obniżenie funduszy dla federalnego Departamentu Edukacji, armii i programów pomocy zagranicznej. – Nie godzę się na to, żeby marnotrawić pieniądze biednych amerykańskich podatników. I tak większość środków na wsparcie dla krajów rozwijających się trafia do rąk dyktatorów. Już prędzej przelałabym środki na działania fundacji George'a Clooneya, która od lat pomaga w Sudanie – przekonuje.

Jo Jorgensen ma też receptę na epidemię: pozwoliłaby, aby właściciele sklepów i restauracji mieli prawo decydować, czy ich klienci powinni nosić maski. Sprzeciwia się też nakazom pozostania w domu i innym restrykcjom ograniczającym wolność jednostki. Sama nie nosi maski, gdy robi sobie zdjęcia z ludźmi.

Miasto rozczarowań

Na fotkę z Jo Jorgensen skusiła się Courtney. 29-letnia graficzka przyszła na jej wiec, bo wciąż się waha, czy tak jak w 2016 r. zagłosować na Trumpa.

Courtney mówi, że rozczarowała się jego prezydenturą i reakcją na pandemię. Z drugiej strony wierzy, że to on najlepiej odbuduje gospodarkę i zadba o spokój na ulicach. Courtney dała się najwyraźniej porwać prezydenckiej retoryce „prawa i porządku". Trump wykorzystuje fakt, że w miastach zarządzanych przez Demokratów antyrasistowskie demonstracje wymknęły się spod kontroli, i straszy, że USA pod rządami Bidena pogrążą się w jeszcze większym chaosie.

MARTA ZDZIEBORSKA

Keiko należy do sekty Happy Science i wierzy, że Bóg wybrał Trumpa. Tak jest napisane na okładce książki, którą rozdaje na nowojorskiej Piątej Alei.

ARCHIWUM PRYWATNE

Po wybuchu pandemii w Nowym Jorku 73-letnia Adrienne nie widziała się ze swoim synem przez trzy miesiące. Po raz pierwszy spotkali się w Central Parku.

MARTA ZDZIEBORSKA

Jacob mieszka w Brownsville, jednej z najbiedniejszych dzielnic Nowego Jorku. Tylko dlatego stać go w dobie pandemii na opłacenie czynszu.

– Mam wrażenie, że odkąd w Stanach wybuchły protesty przeciwko brutalności policji, nowojorscy funkcjonariusze boją się interweniować – twierdzi Courtney. – Od dwóch lat mieszkam w Nowym Jorku i nigdy nie czułam się tak niebezpiecznie. W mojej okolicy na Upper West Side pojawiło się dużo bezdomnych i narkomanów. Wszędzie walają się zużyte strzykawki i śmieci. Kto to słyszał, żeby władze Nowego Jorku nie miały pieniędzy na oczyszczanie miasta? – dodaje. Istotnie, w ramach oszczędności w dobie pandemii miasto obcięło środki na wywóz śmieci.

– Od dzieciństwa chciałam przeprowadzić się do Nowego Jorku – mówi Courtney. – Jednak teraz coraz częściej zaczynam się zastanawiać, czy stąd nie wyjechać. To nie jest już miasto moich marzeń.

Artyści pod ścianą

Jacob Cohen, 34-letni wiolonczelista z Brooklynu, wyprowadzki z Nowego Jorku nie planuje. Na razie jest mu tu dobrze, bo za pokój w mieszkaniu, które dzieli z czwórką innych artystów, płaci tylko 550 dolarów miesięcznie. W dobie pandemii Jacoba ratuje też stanowy zasiłek dla bezrobotnych. Do niedawna mógł liczyć także na dodatkową pomoc od rządu federalnego.

– Uwierzysz, że na początku pandemii oprócz standardowego zasiłku dostawałem 600 dolarów tygodniowo? – wspomina Jacob. – To było coś! Takie pieniądze artyści widują bardzo rzadko. Na szczęście nie mam dużych wydatków i mogłem dzięki temu coś odłożyć. Wielu moich znajomych jest jednak w trudniejszej sytuacji. Do tej pory nie wylądowali jeszcze na bruku, bo do końca roku w Nowym Jorku obowiązuje zakaz eksmisji.

Jacob mówi, że niektórzy jego znajomi szukają już innych pomysłów na życie: – Dwie współlokatorki wyjechały do Kalifornii i pracują teraz na farmie organicznej. Znajomy artysta lalkarz przeprowadził się do Nowego Orleanu. Niestety tam też nie stać go na wynajem i mieszka pod mostem. W czasie pandemii nie ma pracy dla artystów. Wprawdzie organizowane są jakieś koncerty i projekty *online*, ale nie sposób się z tego utrzymać.

Przed pandemią Jacob miał dużo zleceń. Współpracował z teatrami, prowadził warsztaty muzyczne, grał na weselach i w metrze. – A wiesz, że w zeszłym roku występowałem w Warszawie? Gdyby nie pandemia, byłbym teraz na rezydencji artystycznej na Litwie – mówi.

– Jedyne, co mogę teraz robić, to grać na wiolonczeli w parkach. Zresztą to też się zaraz skończy, bo w Nowym Jorku robi się coraz chłodniej. W tym całym nieszczęściu brakuje jeszcze tego, żebym stracił ubezpieczenie zdrowotne – dodaje.

Jacob nawiązuje tu do faktu, że tydzień po wyborach Sąd Najwyższy USA ma rozstrzygać w sprawie, która może doprowadzić do zniesienia powszechnego systemu ubezpieczeń, od jego twórcy nazwanego Obamacare. Jeśli sędziowie orzekną na korzyść strony pozywającej – administracji Trumpa i 20 republikańskich stanów – wówczas ubezpieczenie zdrowotne stracą miliony ludzi, w tym Jacob.

– Republikanie działają wbrew interesom przeciętnego Amerykanina – przekonuje wiolonczelista. – Biden musi wygrać! On co prawda nie ma za grosz charyzmy, ale uważam, że każdy będzie lepszym prezydentem od Trumpa. Oglądałem jego debatę telewizyjną z Bidenem i byłem załamany. Trump nie pozwalał Bidenowi nawet dokończyć zdania. W życiu nie widziałem tak toksycznego polityka – dodaje Jacob, który nie będzie miał okazji obejrzeć drugiego starcia Biden *vs* Trump. Zaplanowaną na 15 października debatę odwołano, bo prezydent nie zgodził się na udział w formie *online*, zaproponowanej po tym, jak zachorował.

Zagłosuj przeciwko niemu

Na dwa-trzy tygodnie przed wyborami w liberalnym Nowym Jorku panuje pełna mobilizacja. Najlepiej widać to na Times Square, gdzie do udziału w głosowaniu zachęcają nawet reklamy sklepów z odzieżą i alkoholem.

Po Times Square krąży dwóch performerów przebranych za Trumpa. Jeden trzyma w ręku tablicę z napisem „Zagłosuj przeciwko niemu". Drugi – kroplówkę z podwieszoną butelką z wybielaczem. To nawiązanie do wpadki prezydenta, który przekonywał, że wstrzykiwanie środków do dezynfekcji może pomóc w walce z COVID-19.

Jeśli tracący w sondażach Trump po raz kolejny wszystkich zaskoczy i jednak wygra wyścig o Biały Dom, to na pewno nie dzięki nowojorczykom. A pomyśleć, że przyszły prezydent wychowywał się w dzielnicy Queens i przez lata brylował wśród tutejszych elit. Dziś Nowy Jork go tu nie chce.

© MARTA ZDZIEBORSKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Odkrycia i wskazówki

Niestety – a mówimy to zimno, ale też szczerze i z troską – wiele wskazuje, że rząd polski jest przeciwnikiem wszystkiego i wszystko jest przeciwnikiem rządu polskiego. Pochyliwszy się nad tym znakomitym zdaniem, uznaliśmy, że wreszcie udało się nam dokonać syntezy na miarę owej sławnej syntezy termojądrowej. Nie ma dziś nikogo, kto byłby w stanie dzisiejszość opisać mocniej i trafniej.

Tak. Spostrzeżenie, że nie ma w świecie przyrody ożywionej, ale i nieożywionej – od wirusa po czarną dziurę – żadnego elementu stworzenia szczerze przyjaznego polskiemu rządowi, najszerzej otwiera drzwi do dyskusji, ale też do wszystkich czynności umysłowych, których uruchomienie wydawało się już niemożliwe. Niemożliwe, bo optymistycznie zmyleni, kiedyś tam, uznaliśmy za pewnik, że jednak są w świecie przyrody ożywionej bądź nieożywionej jakieś elementy, zjawiska, istoty bądź stworzenia rządowi polskiemu przychylne. Węgrzy, dajmy na to – biorąc skojarzenie pierwsze z brzegu. Otóż sto razy się już okazało, że nie są. Albo – weźmy – Trump. Też nie jest, choć wydaje się, że jest. Można tu dopowiedzieć, że zapewne on, Trump, chciałby z całego serca rządowi polskiemu przychylić nieba, ale niestety nie do końca kuma, o co biega. Wypada przeprosić Czytelników za porzucenie standardów polszczyzny i za użycie mowy tak szalenie potocznej, ale są chwile, kiedy tylko mowa potoczna jest w stanie oddać to, co pomyśli głowa. Otóż Trump nie kuma, choć wszędy jest reklamowany jako ten, co kuma aż nadto, o czym świadczy choćby liczba nieruchomości, które sobie kupił bądź zbudował. To pokazuje skalę jego niekumania spraw polskich.

Lornetując horyzont, zarówno stojąc na Kasprowym, na brzegu Odry, na pustej dziś plaży w Łebie, w zimnym, nadbużańskim trzcinowisku – nie widzimy nikogo, kto by stamtąd, z dalsza, z zewsząd, do nas machał z przyjaźnią. Kto by wołał – dla przykładu – *zdrastwujtie*! Hej! Serdecznie pozdrówcie komisarza bezpieczeństwa narodowego Jarosława Kaczyńskiego! Albo: *guten Morgen*! Niech żyje Gowin, przekażcie mu pozdrowienia z zagranicy! albo: prezydent Duda to geniusz! Halo, przekażcie same serdeczności Joachimowi Brudzińskiemu i ukłony dla Beaty Szydło! Koniecznie pozdrówcie Sasina! Nie, nikt tak nie woła, nie pisze, nikt tak nie myśli. Jak świat szeroki – nikt. Naokoło nas jest pustka i cisza, przerywana słabymi chrząknięciami dzików chorych na afrykański pomór świń, próbujących wtargnąć nielegalnie na terytorium III RP, by zjeść nam ziemniaki i wygnieść oziminę.

To wszystko oczywiście tylko potwierdza nasze tradycyjne osamotnienie w świecie, poczucie opuszczenia, niezrozumienia i uruchamia zawsze w nas drzemiące poczucie tzw. wiecznej krzywdy przenoszonej w Polsce drogą płciową. Nikt nas nie kocha, a rządu polskiego szczególnie. Ktoś teraz powie, żebyśmy wreszcie przestali, wyczerpał się bowiem już zapas chusteczek. Jak długo – do stu tysięcy beczek zjełczałego, polskiego leku na COVID-19 – można smarkać w rękaw? Byśmy wreszcie, jak Wildstein – któremu brakuje już chyba tylko dyplomu zasługi dla hutnictwa bądź pszczelarstwa – napisali coś do śmiechu. Słusznie. I tu się zgadzamy, że nie tylko Jarosławowi Kaczyńskiemu zdarza się pójść retorycznie na łatwiznę, nam też. Wszyscy bowiem, wbrew pozorom, jesteśmy ludźmi i mamy słabsze momenty w twórczości, zwłaszcza gdy nie staje węchu ani smaku.

No więc, by w tych osobliwych, ale przecież ciężkich chwilach wskazać Czytelnikom kogoś dającego solidną dawkę rozrywki, zalecamy uważną obserwację szefa tutejszej służby sanitarnej, niejakiego Jarosława Pinkasa. Nikt Was tak nie rozbawi i równocześnie nie strwoży, nie wybije z rutyny mierzenia temperatury. Nie zrozumiecie polskości, nie pojmiecie opatrzności, nie pojmiecie, w czyich rękach jesteście, Wy i Wasze dzieci, z wnukami. Nie odczytacie prawidłowo swej przyszłości bez patrzenia na tego pana, i bez słuchania cóż to ma on do powiedzenia, dajmy na to, o przyrodzie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

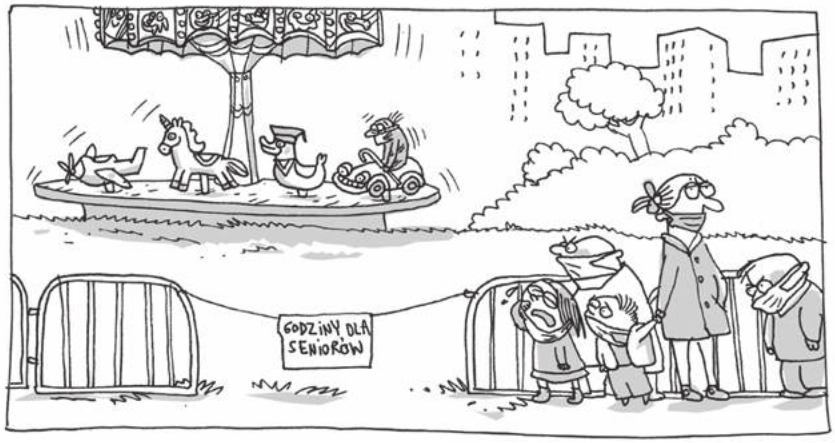

weź, prenumeruj!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES manago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Każda sytuacja życiowa ma dobrą stronę. Każda czegoś uczy. Tylko trzeba umieć to uchwycić i tego się złapać, a nie rozmyślać o nieszczęściach.

ALICJA GAWLIKOWSKA-ŚWIERCZYŃSKA

O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, CZAS, NADZIEJA, WIARA, ŻYWIOŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają Autorzy i Autorki „Tygodnika” oraz ich wybitni rozmówcy.

DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego” dostępne w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz jako e-book na powszech.net/dobrezycie

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE MARTYNA WÓJCIK-ŚMIERSKA DLA „TP”

TYGODNIK POWSZECHNY

WSPÓŁWYDAWCA
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA
PRZEKRÓJ
RMF Classic

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

CONRADFESTIVAL

widzialne
i niewidzialne

19–25.10
2020

Adeline Dieudonné / Roy Jacobsen / Etgar Keret / Sigrid Nunez / Elif Shafak

międzynarodowy festiwal literacki
www.conradfestival.com

organizatorzy

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA
kbf:
operator programu
KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

dofinansowano

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
TEMPLETON RELIGION TRUST
Projekt realizujemy przy wsparciu Templeton Religion Trust